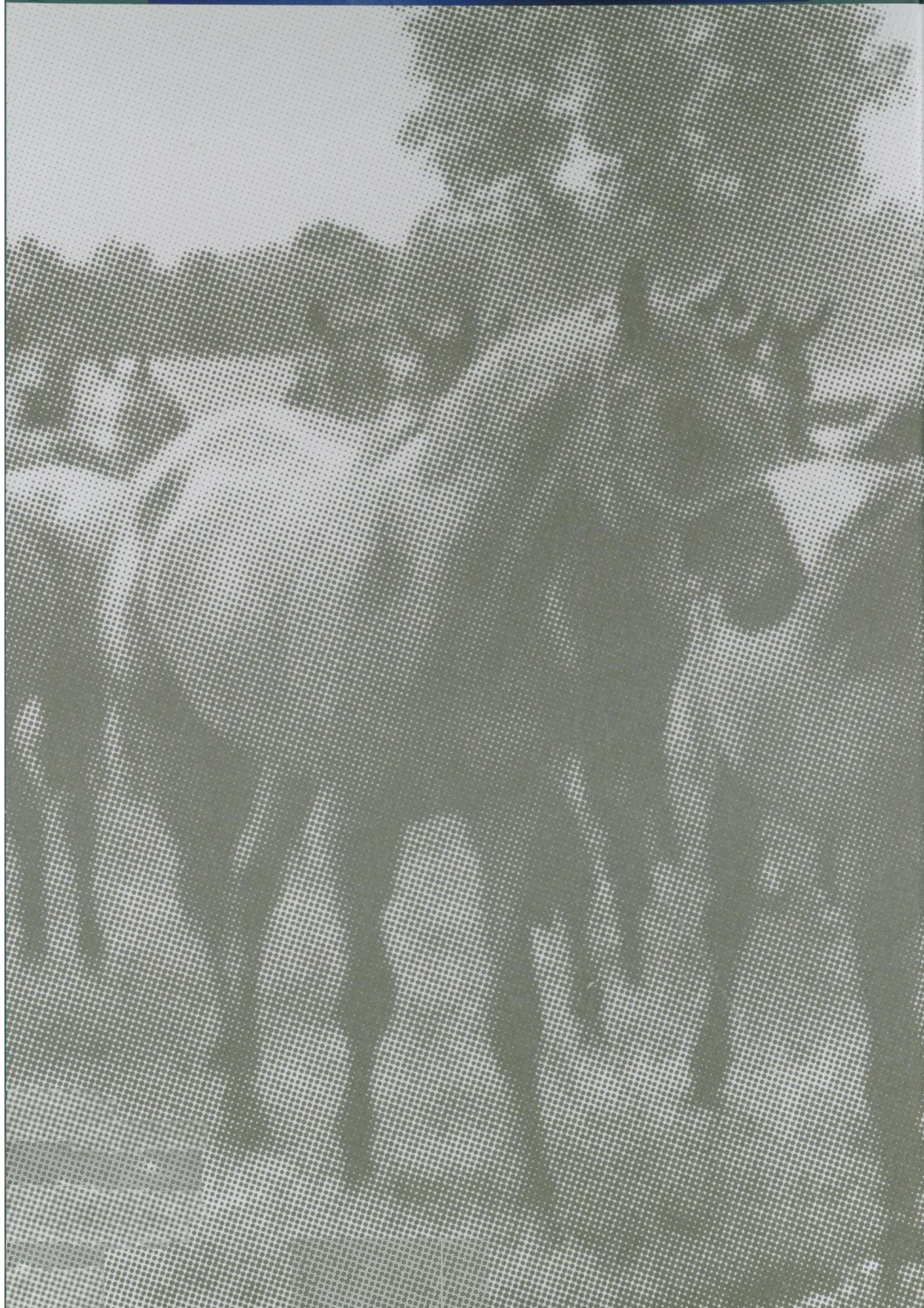




OSIODŁANE WSPOMNIENIA

Leszek Karpina





OSIODŁANE WSPOMNIENIA

Leszek Karpina

Ami i Arturawi
z wyrazami sympatii
Jeneh Karpine

Spotkanym w siodle...

kwieciec 2021

Qui non habet equum, vadat pedibus
(Kto nie ma konia, niech idzie pieszo)

SPIS TREŚCI

Wstęp.....	9
1. Pierwsze kroki.....	13
2. Partynice	20
3. Limonit, Skaleń i inne.....	24
4. Władek.....	27
5. Pan Stanisław i jego muszkietierowie	30
6. Pani Ela	35
7. Wróbel	42
8. Wyścigi	48
9. Partynickie przypadki	58
10. Sport.....	65
11. To i owo.....	70
12. Słowiki	75
13. Olek	83
14. Sieraków.....	86
15. Hubertusowe wariacje.....	109
16. Mikano	119
17. Willy	122
18. Koral i Niedoceniony	127
19. Świat westernu	130
20. Książ.....	137
21. Saksy	145
22. Mazurki	151
23. Rozmaitości.....	157
24. Towarzystwo	164
Posłowie.....	174

WSTĘP

Moja przygoda z końmi – kiedy wspominam jej początki – była nieunikniona. Pojawieniu się ich w moim życiu towarzyszyło tyle wydarzeń i okoliczności, że prędkiej czy później konie musiały zawładnąć mną niemal całkowicie. Niemal, bo przez wiele lat nieobce mi były też Tatry i niepowtarzalna atmosfera Podhala, żeglowanie po mazurskich jeziorach czy tenis i narty uprawiane do dziś z wielkim upodobaniem.

To jednak konie były i są najważniejsze. Zawsze, gdy musiałem wybierać, jak spędzić wolny czas, one miały ostatnie słowo. Jakże mogło być inaczej, skoro urodziłem się na wrocławskich Partynicach i mieszkam tam do dziś, w dużej mierze właśnie przez konie. Każdy wrocławianin wie, że jeśli Partynice, to tor wyścigów konnych i... te specjalne dni, w których odbywają się gonitwy. Od zawsze, szczególnie wieczorami, towarzyszy mi dochodzący z partynickich stajni zapach słana, koni i ściółki, na której stoją.

Już w szczenięcych latach ojciec mój Telesfor zabierał mnie w niedziele wyścigowe na partynicki tor, gdzie chłonałem specyficzną atmosferę tam panującą. Odświętnie ubrana publiczność, kolorowe barwy kamzołów, w które ubrani byli jeźdźcy w zależności od stajni, którą reprezentowali, błyszczące konie pokazywane na padoku przed każdą gonitwą – robiły na mnie ogromne wrażenie. Było w tym miejscu coś tak niezwykłego, jak w teatrze, gdzie nie tylko aktorzy, ale i widzowie mają do odegrania swoje ściśle przypisane role.

Idąc na tor, przechodziliśmy przez ulicę Jeździecką, gdzie w dwóch kamienicach mieszkali pracownicy partynickiego toru. Podobnie jak na pobliskiej ulicy Partynickiej, przy której wśród nowoczesnych bloków stoi do dziś stary, kryty czerwoną dachówką domek, będący kiedyś zakładowym lokum rodzin zatrudnionych na torze. Sama ich obecność na naszym osiedlu, często jeździeckie ubrania, w których szli do pracy i z niej wracali, a także ich rozmowy – głównie na tematy wyścigowe – sprawiały, że siłą rzeczy my, także tu mieszkający, czuliśmy się częścią tej społeczności.

W latach 1965–1973, a więc w czasach, które wspominam, kierownikiem wrocławskiego toru był Władysław Schmidt – były ułan 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich, któremu



poświęcam sporo uwagi w dalszej części tej książki. Żona pana Władysława była kobietą szlachetnej urody i ogromnej erudycji. Czasy ówczesne były siermiężne, a większość z nas żyła bardzo skromnie. Nie ominęło to także rodziny Władka. Pani Kamila, bo tak miała na imię jego żona, a także córka Basia i syn Mariusz – notabene mój kolega z ławy szkolnej – co kilka dni pojawiali się na mojej ulicy Skrajnej, gdzie u państwa Zbryków, prowadzących regularne gospodarstwo rolne, zaopatrywali się w mleko „prosto od krowy” i różnego rodzaju nabiał. Ja również byłem tam wysyłany. Z wypiekami na twarzy przysłuchiwałem się opowieściom pani Kamili i jej dzieci, odślaniającym kulisy zamieszkiwania na torze wyścigowym, a czasami nawet wspomnieniom sięgającym ułańskich czasów głowy rodziny.

Partynice w owych czasach były częścią miasta na wskroś rolniczą. Czasy – jako się rzekło – były trudne, więc niemal każdy próbował ratować domowe dochody hodowlą a to świnek, a to krów czy drobnego inwentarza w postaci królików i drobiu.

Gospodarzem całą gębą u zbiegu ulicy Partynickiej i Skrajnej był pan Micek. Oprócz skromnego domku dysponował on stodołą, oborą, a także stajnią, w której stała piękna, gniada klacz imieniem Lida. Wykorzystywał ją do prac polowych, a także w czasie żniw i w zaprzęgu.

Do dziś wspominam chwile, gdy mój ojciec korzystał z wędzarni pana Micka, gdzie powstawały wspaniałe, pachnące wędliny, a ja w tym czasie byłem sadzany przez gospodarza domu na grzbiet Lidy. Nie posiadałem się ze szczęścia, gdy ze mną siedzącym na niej, klacz wyprowadzana była ze stajni i oprowadzana po sporym podwórku. Przez wiele lat Lida była dla mnie uosobieniem najpiękniejszego konia na świecie.

Rodzice moi, podobnie jak większość rodzin osiadłych w powojennym Wrocławiu, to ludzie pochodzący z Kresów Wschodnich. Zamieszkując w małych miejscowościach, mieli stały kontakt z końmi, które stanowiły wówczas podstawowy środek lokomocji. Wprawdzie wśród moich przodków specjalnych tradycji jeździeckich się nie doszukałem, to jednak konie zapisały się w życiorysie mojej mamy w szczególny sposób.

Wiosną 1940 roku ojciec został aresztowany przez NKWD i osadzony w więzieniu w Stanisławowie. Przez wiele miesięcy odosobnienia w wilgotnej celi nie usłyszał, z jakiego powodu pozbawiono go wolności. Dopiero pod koniec 1940 roku pojawił się u niego sowiecki lejtnant, który z kartki odczytał wyrok: [Wosiem let dalekowostocznych rabot za poddzierżanie burżujskiej własci]. Nie było wcześniej żadnych przesłuchań, rozprawy, więc ojciec spytał, dlaczego pozbawiono go wolności. W odpowiedzi usłyszał: [eto nie moje dieło].

Miejscem zsyłki miały być prace przy wydobywaniu złota w kopalniach Kołomy. Każdy – kto choć trochę interesuje się historią – wie, jak straszne to miejsce, usłane trupami tysięcy Polaków.



Do ojca w końcu uśmiechnęło się szczęście. Po miesiącach podróży w bydlęcymi wagonami i oczekiwania w obozie przejściowym w Buchcie Nachodce na transport statkiem na Kołymę, zdołał dostać się do formującej się w Rosji armii generała Andersa. Przeszedł potem z 2 Korpusem Polskim cały szlak bojowy a po zakończeniu wojny w 1947 roku przyплыł ze Szkocji do portu w Gdyni, skąd dotarł do podwrocławskiej wsi Wierzbno, gdzie oczekiwała już na niego moja mama Józefa.

Jej los po aresztowaniu ojca był nie do pozazdroszczenia. Wielokrotnie z nowo narodzoną Elą – moją najstarszą siostrą – zmuszona była uciekać, tak jak stała, przed brankami urządzanymi przez enkawudzistów lub banderowców. Jak opowiadała, działo się to wielokrotnie i tylko niezwyktemu szczęściu zawdzięczały swe ocalenie.

Szczęściu, ale też i koniom. Obie przez jakiś czas ukrywały się u krewnej Klary Karpiny, nauczycielki z Podrudnego koło Kamionki Strumiłowej, nieopodal Lwowa. W chwilach zagrożenia prosiła ona o pomoc znajomego imieniem Marcin, a ten na wieść, że zbliżają się Sowieci bądź ukraińscy nacjonałiści, zaprzęgał konie, ładował na bryczkę lub sanie matkę i malutką wówczas Elę, i czym prędzej wywoził je do pobliskich lasów, gdzie przeczekaliwali niebezpieczeństwo.

Po latach, gdy byłem już studentem prawa i któregoś upalnego, czerwcowego przedpołudnia zgłębiałem tajniki prawa cywilnego, do drzwi naszego mieszkania zapukał starszy mężczyzna. Mimo że odświętnie ubrany, widać było od razu, że pracuje na roli, o czym świadczyła jego opalona, czerstwa twarz i spracowane dłonie.

Zapytał o mamę, a kiedy potwierdziłem, że jest w ogrodzie z tyłu domu, westchnął głęboko i opadł na krzesło. Kiedy przywołałem mamę, na jego widok rozplakała się donośnie. Przybysz również nie mógł powstrzymać się od płaczu i po chwili oboje głośno szlochali.

Byłem wstrząśnięty i dopiero po dłuższej chwili dowiedziałem się, że nowo przybyły to ów pan Marcin, który wielokrotnie przy pomocy koni ratował moją matkę i siostrę od niechybnej śmierci, a w najlepszym przypadku zsyłki na Daleki Wschód.

Okazało się, że po wojnie, kiedy drogi matki i Marcina (nazwiska, niestety, nie udało mi się poznać) się rozeszły, los rzucił go do Szczecina. Tam, w trakcie wizyty u mojego wuja Emila Rosławskiego, męża wspomnianej wyżej Klary, znanego adwokata, dogadali się, że pochodzą z tych samych stron. Od słowa do słowa wuj poinformował swego klienta, gdzie mieszka moja mama.

Ojciec mój praktycznie nie pił alkoholu. W czasie wizyty pana Marcina, która przeciągnęła się do kilku dni, zasada ta została odłożona na bok. Nigdy wcześniej ani później nie oglądałem ojca w tak „wesołym nastroju”.

Na Muchoborze Wielkim we Wrocławiu, po wojnie, osiedlił się najstarszy brat mojego ojca, Antoni – mój stryj. Urodzony w 1888 roku był

25 lat starszy od mojego ojca. Jego syn Franciszek, a więc mój stryjeczny brat, jako porucznik Wojska Polskiego został rozstrzelany w 1940 roku w Charkowie. Jego nazwisko figuruje na liście katyńskiej. Stryj Antoni zapisał się w mojej pamięci posiadaniem ogromnych, sumiastych wąsów, którymi okropnie drapał przy kordialnych powitaniach oraz tym, że miał siwego konika, zwanego przez wszystkich po prostu Siwkiem.

Siwek był pierwszym w moim życiu koniem, którego próbowałem dosiadać samodzielnie. W tym celu wyprowadzałem go ze stajni, okrywałem workiem po owsie, a na szyi wiązałem sznurek. Tak „osiodłanego” prowadziłem do barierki na mostku położonym nad rowem melioracyjnym, gdzie usiłowałem ustawić go tak, by za pomocą tej barierki wspiąć się na jego grzbiet. Jak pamiętam, próby te kończyły się z reguły niepowodzeniem, gdyż Siwek – jeśli już został doprowadzony do barierki, a ja wdrapałem się na najwyższą rurę – niespiesznie robił trzy kroki w bok lub do przodu, tak że całą procedurę musiałem rozpoczynać od początku. Gdy wreszcie jakimś sposobem udało mi się zająć miejsce na jego grzbiecie, po kilku krokach spadałem z Siwka, najczęściej zsuwając się na ziemię po jego zadzie. Pamiętam śmiech mojej starszej siostry Teresy, gdy przerażony wrzeszczałem: „Tata, tata! Chodź szybko, bo koń mi się kończy”.

W pamięci utkwiły mi jeszcze dwa zdarzenia z udziałem Siwka.

Któregoś dnia stryj Antoni, powożąc bryczką zaprzęzoną w Siwka, przyjechał do naszego domu na Partynicach. Nie mogłem oderwać wzroku od odświętnie ubranego powożącego i jego wyglansowanych, wysokich butów. Stryj zabrał mnie z siostrami na przejażdżkę po okolicy, a ja pyszniłem się jak paw, widząc zazdrość w oczach moich kolegów.

W 1963 roku stryj Antoni zmarł. Trumna z jego ciałem dotarła na Cmentarz Grabiszynski wieziona na furce ciągniętej przez wiernego Siwka. Miałem wówczas dziesięć lat. Dystans z Muchoboru Wielkiego na Grabiszynek, wraz z innymi żałobnikami, pokonałem pieszo, idąc za furką. Do dziś pamiętam, ile to kosztowało mnie wysiłku i jaki byłem dumny, że jak dorośli i Siwek, także i ja dałem radę.

I wreszcie książki. Od szczenięcych lat, kiedy tylko posiadałem umiejętność czytania, zaczytywałem się w lekturach, w których nieodmiennie królowały konie. Powziąłem w ten sposób przekonanie, że umiłowanie koni to szczególna cecha Polaków i ja nie mogę być od niej wolny.

Triumfy polskich hufców w bitwie pod Grunwaldem, szarże husarii pod Kircholmem, zdobywanie wąwozu Somosierry przez szwadron Kozietulskiego, czy wreszcie heroizm polskich ułanów w kampanii wrześniowej utwierdziły mnie w przekonaniu, że prędzej czy później konie zajmą w moim życiu poczesne miejsce. I o tym właśnie spróbuję opowiedzieć w tej książce.

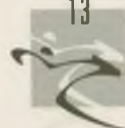


PIERWSZE KROKI

Tej niedzieli przed południem słońce stało już wysoko nad monumentalnymi dębami, klonami i miłorzębami, w które bogato wystrojony jest kameralny i jakże mi bliski park Kleciński na wrocławskich Partynicach. Okolony od południa rzeką Ślezą, wbrew swej nazwie, nie jest położony w Klecinie. To wrocławskie dziś osiedle leży po drugiej stronie rzeki, a swą nazwę wywodzi od słowa Klettendorf, którym określano przed wojną wieś usytuowaną na południu Breslau. Klecina słynęła przede wszystkim z cukrowni, której wyziewy od października do marca zatruwały powietrze okolicznym mieszkańcom. Za to okres od kwietnia do października wypełniały zupełnie inne doznania. To czas sezonu wyścigowego na wrocławskim torze Partynice.

Tego dnia od wczesnego przedpołudnia dochodził do mych uszu jakże dobrze znany mi od lat dźwięk. Ulicą Skrajną, przy której mieszkam do dziś, płynął strumień ludzi. Panie ubrane bardzo odświętnie, panowie również – nierzadko w garniturach i pod krawatem. Wszyscy okazywali podekscytowanie – głośnym rozmowom i sporom nie było końca. Niemal każdy trzymał w ręku niewielką książeczkę, wszyscy studiowali je zapamiętane, kreśląc w nich tajemnicze znaki i wpisy. W jednym tylko całe to towarzystwo było zgodne. Ich celem był, odległy od mojego domu o około pół kilometra, tor wyścigów konnych Partynice. Zaczynał się kolejny dzień wyścigowy.

Tor partynicki ma swoją, już ponad stuletnią, historię. Do końca XIX wieku i w pierwszych latach dwudziestego stulecia wyścigi konne we Wrocławiu odbywały się na terenie sąsiadującym z obecnym parkiem Szczytnickim. Kierowało nimi, założone w 1832 roku, Śląskie Towarzystwo Wyścigów Konnych i Wystaw Zwierząt Hodowlanych, które teren dla urządzenia toru wyścigowego dzierżawiło od miasta Breslau. Pod koniec XIX wieku dzierżawa ta dobiegła końca, a miasto wyraziło zgodę na jej przedłużenie jedynie do 1907 roku. W tym miejscu planowano wybudowanie monumentalnej hali, która miała upamiętniać zwycięstwo Prus w ramach koalicji antynapoleońskiej nad armią francuską w tzw. bitwie narodów w październiku 1813 roku pod Lipskiem.



Ostatecznie hala ta, będąca na owe czasy cudem architektury zaprojektowanym przez Maxa Berga, powstała pod nazwą Jahrhunderthalle, tj. Hala Stulecia. Do dziś, wraz z pobliskim parkiem Szczytnickim i ogrodem zoologicznym, a także tzw. Pawilonem Czterech Kopuł, gdzie mieści się Muzeum Sztuki Współczesnej, należą do największych turystycznych atrakcji Wrocławia.

Tymczasem wyścigi konne znalazły swe nowe miejsce na południu Wrocławia, we wsi Partynice. Właścicielem tego terenu była rodzina Juliusa Schottländera. On sam był jednym z najbogatszych przedsiębiorców i posiadaczy ziemskich. Znany był także jako wielki filantrop. To on kilka lat wcześniej podarował miastu teren, na którym urządzono park Południowy.



Pamiątkowy medal 100-lecia Wrocławskiego Toru Wyścigów Konnych

Nie jest do końca jasne, czy teren dzisiejszego toru został darowany, wydzierżawiony czy kupiony, pewnym jest tylko, iż trwająca od 1905 roku budowa toru i niezbędnych zabudowań dobiegła końca już w 1907 roku. Do dziś zachowały się budynki stajni, kas totalizatora, tak zwany domek trenerów, trybuna główna, mała trybuna, a także tzw. loża zarządu i charakterystyczny pawilon herbaciarni, zwany potocznie okrągłakiem. Zabudowa i plan, według którego urządzono tor partynicki, do złudzenia przypominają tory wyścigowe w Bremen, Kolonii czy Düsseldorfie. Gościłem na nich wielokrotnie i zawsze czułem się tam jak na Partynicach.

Z osobą Juliusa Schottländera wiąże się dla mnie ciekawe wydarzenie. Ten najzamożniejszy obywatel Wrocławia był właścicielem licznych wsi i majątków. Jego główną siedzibą był reprezentacyjny pałac na Partynicach (Hartlieb) usytuowany w parku Klecińskim, w sąsiedztwie którego zamieszkuje.





Tor wyścigowy Partynice

Pewnego dnia, latem 2004 roku, na Partynicach odbywały się jednocześnie wyścigi oraz zawody w skokach przez przeszkody. Ustawiono je na pięknym, zielonym hipodromie, który powstał staraniem zapaleńców, na czele ze Staszkiem Borkowskim – skoczkiem sportowym, trenerem koni wyścigowych, a prywatnie jednym z moich najbliższych przyjaciół. W przerwie między konkursami, które spikerowałem, wyskoczyłem na chwilę do domu, gdzie akurat trwał remont dachu polegający na wymianie wszechobecnego w tych czasach eternitu na piękną, czerwoną dachówkę. Przysiadłem na moment w ogrodzie i wtedy na posesji pojawiły się cztery starsze osoby mówiące po niemiecku. Okazało się, że są wnukami ochmi-strzyni i ogrodnika, zatrudnionych przed wojną w pałacu Schottländerów, a zamieszkałych wtedy w moim domu. Zasiadliśmy do krótkiej rozmowy, w trakcie której dowiedziałem się m.in. że Julius Schottländer wraz z najbliższą rodziną zdołał uniknąć Holokaustu i osiedlił się w Szwajcarii, gdzie do dziś zamieszkują jego potomkowie. Co ciekawe, szef dekarzy, którzy remontowali dach na moim domu, opowiedział mi potem, że jego firma na zlecenie wnuków Schottländerów wyremontowała okazały grobowiec tej rodziny, mieszczący się na Cmentarzu Żydowskim przy ulicy Ślężnej we Wrocławiu.

W trakcie przebiegającej miło pogawędki, któryś z moich rozmówców zapytał o tor wyścigowy, wyrażając obawę, że już pewnie dawno nie istnieje albo popadł w ruinę. Z sentymentem wspominali czasy, gdy jako dzieci przez dziurę w płocie przedostawali się na tereny toru, gdzie z wypiekami na twarzach śledzili gonitwy. Niewiele myśląc, postanowiłem pokazać im, jak wygląda ów zrujnowany tor i zaproponowałem, żebyśmy razem tam pojechali. Odczuwałem ogromną radość i satysfakcję, gdy na ich twarzach rysował się grymas zaskoczenia, widząc odrestaurowane budynki, wypielęgnowaną bieżnię wyścigową i barwny tłum tłoczący się przy szrankach parkuru. A kiedy jeszcze zafundowałem im po kuflu piwa i kiełbasce z bigosem, nie posiadali się z zachwytu. W podzięcie podali mi swe adresy, nalegając bym koniecznie odwiedził ich w Hamburgu, gdzie mieszkają, ja jednak nigdy nie skorzystałem z tej propozycji.

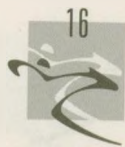
Na partynicki tor jako dziecko chadzałem w towarzystwie ojca, mama raczej nie przejawiała zainteresowania wyścigami. Ojciec również nie obstawiał wysoko gonitw, raczej podziwiał konie i ich wysiłek. Z upływem lat zacząłem na torze bywać samodzielnie i by uniknąć kupowania biletów wstępu – podobnie jak moi niemieccy rozmówcy – przedostawałem się tam przez dziurę w płocie od strony rzeki Ślęzy, kto wie, być może, przez tę samą, co oni.

W owym czasie tor wrocławski jako obiekt prowincjonalny, obok toru w Sopocie, wchodził w skład przedsiębiorstwa Państwowe Tory Wyścigów Konnych z siedzibą na warszawskim Służewcu. Powojenne wyścigi konne rozgrywane we Wrocławiu nigdy nie miały takiej rangi, jak te odbywające się na Służewcu. Wprawdzie i tu zdarzały się międzynarodowe meetingi, jednak zawsze tor wrocławski pozostawał w cieniu Warszawy.



Gonitwa przeszkodowa. Lata 60. XX w.

Tor w Sopocie ma zupełnie inny charakter. Wyścigi są tam rozgrywane głównie w sezonie letnim, kiedy na Służewcu i Partynicach trwa wakacyjna przerwa, a konie tam biegające dowożone są z Warszawy i Wrocławia.



Wrażenia z pierwszych, dziecięcych wizyt na partynickim torze pozostają niezapomniane. Atmosfera tego miejsca była niepowtarzalna. Podekscytowany tłum bywalców wyścigowych, konie prezentowane na padoku przed gonitwami, nerwowe oczekiwanie na hasło: „Bomba w górę!” i wreszcie okrzyk sędziego startera: „Jazda!”, następnie tych kilka minut samego ścigania – tworzyły rodzaj misterium, któremu poddawali się wszyscy. Gdy konie osiągały celownik, słychać było zewsząd okrzyki radości wygranych bądź złożeń przegranych. Ci pierwsi biegli czym prędzej do kas po wypłatę, przegrani zaś, drąc zakupione bilety, długo debatowali o swej porażce, najczęściej autorytatywnie stwierdzając, że konie, na które postawili, na pewno by wygrały, gdyby nie dosiadający ich jeźdźcy, najpewniej przekupieni przez innych graczy.

Mnie w tym czasie zakłady wyścigowe z uwagi na wiek i szczupłość środków finansowych, jakimi dysponowałem, zupełnie nie podniecały. Zafascynowany obserwowałem raczej reguły, które wypełnić musiały konie mające wystartować w wyścigu. Wyglądałem więc koni doprowadzanych na padok, gdzie były siodłane przez trenerów bądź koniuszych. Jeźdźcy wcześniej przechodzili do pomieszczenia, gdzie urzędował tzw. sędzia u wagi. Tam stawali na ogromnej szali i jeśli ich waga była zgodna z wymogami danej gonitwy, dosiadali przytrzymywanych przez luzaków koni.

Niezwykle istotne było, by siodłany koń miał właściwie dociągnięty popręg, a także tzw. obergurt, czyli dodatkowy pas przytrzymujący siodło od góry. Konie wyprowadzane na padok stępowały po owalnej ścieżce najpierw bez jeźdźców, potem dopiero – podsadzani przez luzaków – zajmowali oni miejsce w siodłach.

Ważnym było w tym momencie, by ponownie sprawdzić działanie popręgu i najczęściej raz jeszcze go podciągnąć, gdyż konie przy siodłaniu odruchowo nabierają powietrza do płuc, by zmniejszyć jego ucisk. Wielokrotnie zdarzało się, że nienależycie sprawdzony popręg powodował obsuniecie się siodła, a to z kolei uniemożliwiało, a przynajmniej znacząco utrudniało, rywalizację konia w gonitwie.

Po zejściu z padoku konie udawały się na start, majestatycznie stępując, aż do wyjścia na tor. Tu obowiązane były pokazać się publiczności w tzw. forkentrze, czyli skróconym galopie, by następnie skierować się do maszyny startowej.

W czasach, gdy jako dziecko zacząłem pojawiać się na torze, nie istniało coś takiego jak maszyna startowa, a sędzia starter puszczał konie do gonitwy z tzw. ręki. Dopiero po latach na Partynicach pojawiła się maszyna startowa na 10 stanowisk. Dziś konie startują z maszyny liczącej 20 boksów startowych.

Oblicze wrocławskiego toru, w okresie gdy zacząłem się tam pojawiać i potem w latach 70. i 80. XX w., wyglądało – delikatnie mówiąc – nie najlepiej. Siermięga tamtych czasów i prowincjonalność toru, wobec

rozwijającego się Służewca, aż kluty w oczy. Trybuny wyścigowe, stajnie i inne budynki pokryte były lizajami tuszczącego się tynku lub farby. Pamiętam takie sytuacje, że wobec braku pieniędzy na zakup mioteł, którymi wypełniano płoty wyścigowe, posłużono się dla ich zastąpienia gumowymi pasami transmisyjnymi napędzającymi maszyny rolnicze.

Powszechną plagą tamtych czasów był brak zainteresowania graczy zawieraniem zakładów w kasach totalizatora, gdyż wygrane były tam niewielkie. Spora ich część wolala obstawiać u przesiadującego na małej trybunie tzw. boka, który oferował większe zyski w przypadku wygranej.

Zdumiewające z dzisiejszej perspektywy jest to, że zwyczaj te, mimo iż powszechnie znane, przetrwały tak długo i dopiero z początkiem lat 90. XX w. zaczęły powoli zanikać. Tajemnicą poliszynela było także i to, że nielegalni bukmacherzy mieli swoistą sztamę z grupą nieuczciwych jeźdźców, którzy w owych czasach niezwykle często próbowali dorabiać sobie w ten sposób do swych lichych pensji.



Komisja Techniczna na stanowiskach

Z tego rodzaju oszukańczych zachowań w szczególnej pamięci utkwiły mi dwa przypadki, gdy pracowałem już w Komisji Technicznej czuwającej nad zgodnym z przepisami wyścigowymi przebiegiem rywalizacji na torze. Otóż w jednej z gonitw rozgrywanych w połowie lat 80. lub 90. ubiegłego stulecia – dziś już dokładnie nie pamiętam – jeden z dżokei wziął od grupy graczy dużą sumę pieniędzy, by koń, którego dosiadał – zdecydowany faworyt gonitwy – nie wygrał i nie zajął płatnego miejsca w wyścigu



rozgrywanym na dystansie 1700 metrów. Jeździec ten, którego nazwisko doskonale pamiętam, ale zachowam je dla siebie, od samego startu czynił nadludzkie wysiłki, by wywiązać się z umowy. Wstrzymywał więc konia wszelkimi możliwymi sposobami. Ten jednak był koniem niezwykle ciągnącym i nic sobie nie robił z wysiłków dżokeja. Gdy, mając dwieście metrów do celownika, zorientował się on, że nie zdoła zaspokoić oczekiwaniń opłacających go graczy, a jego koń swobodnie wygrywa o kilka długości, wyrzucił nogi ze strzemion i dał nura w rosnący wzdłuż bieżni żywopłot. Naiwny myślał, że wmówi wszystkim, iż po prostu spadł z konia wskutek wypadku. Komisji Technicznej to jednak nie przekonało, czego efektem było spieszenie go (zakaz startu w gonitwach) do końca sezonu wyścigowego.

Innym razem pewien spryciarz również wziął sporą kasę za to, by nie wygrać gonitwy. Nie dość, że koń miał inne zdanie na ten temat i wygrał łatwo, to jeszcze tego samego dnia wieczorem znaleziono, tego skądinąd znakomitego dżokeja, nad pobliską Ślężą ciężko pobitego, z ustami



Rys. Paweł Mazurek

Gonitwa płaska. Rys. Paweł Mazurek

pełnymi nietrafionych biletów, które zakupili jego mocodawcy.

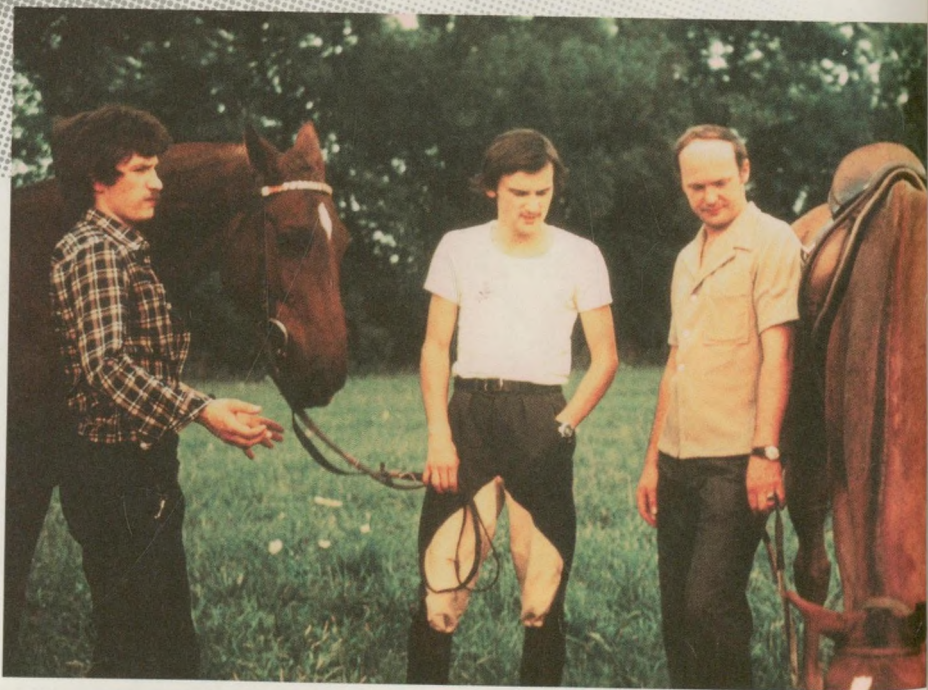
Jak wspominałem, wydarzenia te miały miejsce w czasach, gdy byłem już sędzią wyścigowym i jeździeckim, a także należałem do Rolniczego Ludowego Klubu Sportowego Partynice.

Zanim jednak do tego doszło, dostałem na Partynicach niezłą szkołę życia.

PARTYNICE

Partynice to, jak powszechnie wiadomo, osiedle na południu Wrocławia, gdzie znajduje się tor wyścigów konnych. Nazwa ta tak nieodłącznie wiąże się z wyścigami, że niemal zawsze, gdy ktoś mówi: „Idę na Partynice”, oznacza to, że wybiera się na tor, a nigdzie indziej.

W czasach licealnych Partynice niejako przegapiłem, choć wielu moich kolegów z ławy szkolnej już wtedy próbowało swoich jeździeckich umiejętności. Ja wtedy pasjonowałem się piłką nożną, zaczynałem też wędrowki po tatrzańskich szlakach. Tymczasem Bolek Wyszatycki, Mirek Dudziak, Janusz Jaroch i inni, których już nie pamiętam, każdą wolną chwilę spędzali w partynickich stajniach.



Na łące. Od lewej: autor, Mirek Dudziak, Marek Rafalski

Bolek Wyszatycki całe zawodowe życie poświęcił koniom, pełniąc kierownicze funkcje m.in. w Kwidzynie i Łącku. Mirek Dudziak przez jakiś czas praktykował jako aspirant trenera w jednej z wrocławskich stajni wyścigowych – o ile



pamiętam, u Vasile Hutuleaca – potem zafascynował się jazdą w stylu western, napisał też książkę o pracy z koniem i maluje piękne obrazy o tematyce końskiej. Mam kilka z nich w swojej kolekcji, a szczególnie cenię sobie ten, który przedstawia kentrującego konia dosiadanego przez jednego z najlepszych na świecie dżokei – Lestera Piggotta.

Mimo że ciągle z dala od partynickiego życia, konie gdzieś tam wciąż chodziły mi po głowie. Dopiero w 1974 roku postanowiłem na dobre nauczyć się jeździć konno i tak trafiłem do szkółki jeździeckiej na Partynicach, którą prowadził wówczas Marek Rafalski – później wieloletni starter wyścigowy, a wcześniej utalentowany jeździec sportowy w kategorii skoków przez przeszkody. W swoim dorobku ma m.in. czwarte miejsce w drużynowym konkursie skoków przez przeszkody rozegranym w 1963 roku na Mistrzostwach Europy Juniorów w Rotterdamie.

Jazdy miałem trzy razy w tygodniu. Zanim jednak wsiadłem na konia, musiałem przejść swoistą unitarkę. Pamiętam, że konie przeznaczone do nauki jazdy i rekreacji stały w ciemnej stajni, w której wcześniej trzymano owce. Nie były to wierzchowce dużej klasy. Raczej jakieś „odrzuty” ze Służewca, które zakończyły z różnych powodów wcześniej karierę wyścigową, lub półkrewki bez predyspozycji wyścigowych bądź hodowlanych. Większość z nich miała zwichrowane charaktery, co sprawiało, że ich przydatność do nauki jazdy była mocno wątpliwa.

Rozpocząłem, jak każdy w tych czasach, od wyrzucania obornika z boksów, który wywoziłem na tzw. płytę gnojową, skąd później był sprzedawany m.in. hodowcom pieczarek. Oczywiście nie obeszło się też bez czyszczenia koni i to nie tylko tych, których miałem akurat tego dnia dosiąść, ale też koni, na których trenowali starsi koledzy. Miarą dobrego wyczyszczenia konia była ilość zgrzebeł odbitych na posadzce stajni. Jeśli instruktor bądź trener uznali, że jest ich za mało, pracę trzeba było kontynuować, aż do skutku.

Wreszcie przyszła nauka siodłania konia. Pamiętam, że za pierwszym razem skompromitowałem się do cna, kiedy po założeniu ogłowia i zarzuceniu siodła na grzbiet konia, na próżno szukałem przystułu, do których mógłbym zapiąć popręg. Nie wiedziałem, że ukryte są pod tybinką, którą wystarczyło odchylić, by znaleźć właściwe sprzączki. Zaaferowany zgłosiłem prowadzącemu jazdę, że dostałem wadliwe siodło i dopiero on, w obecności zaśmiewających się do łez masztalerzy, uświadomił mi, jaki jestem jeszcze zielony.

Miałem wówczas dwadzieścia jeden lat, byłem wysportowany i pełen ochoty do nauki. Jednak godzina jazdy pod okiem instruktora czasem dawała tak w kość, że do domu wracałem na ostatnich nogach. Szczególnie męczyła jazda bez strzemion oraz – na dalszym etapie szkolenia – wykonywanie elementów woltyżerki. Mimo że nie było mi lekko,



nie narzekałem. Spełniało się moje marzenie, a z każdym dniem czułem się w siodle swobodniej, i czerpałem z tego coraz większą radość.

Metody trenerskie, jakimi posługiwał się Marek Rafalski czy inni instruktorzy, były niczym w porównaniu z tymi, jakie stosował wobec adeptów jeździectwa mjr Henryk Stabiński, zwany „Łyda”. Ten były kawalerzysta opiekował się w latach 60. XX w. sekcją jeździecką LZS, działającą na wrocławskim torze, która miała w treningu kilkanaście koni sportowych. Czasami w jego ręce wpadali jeźdźcy zupełnie zieloni i wówczas miał w zwyczaju posługiwać się językiem wręcz przeniesionym z maneży przedwojennej Polski.

Zaczynało się niewinnie. Jeśli uczeń nienależycie pracował w galopie, major rzucał: „Synciu, pamiętaj – dupa kawalerzysty powinna być wielka jak miłosierdzie boskie...”. Innym razem, gdy zastęp szedł anglezowanym klusem, wyławał on najłabszego i głośno łąał słowami: „Co tak stoisz w tych strzemionach, jak ta kurwa na balkonie w narodowe święto”. Najgorsze było to, gdy pilny kursant pod koniec kilkutygodniowych treningów usłyszał: „Z ciebie będzie ułan, jak z mojego chuja niemiecki Zep-pelin”. Wszystkich komend wydawanych przez Łyde należało wysłuchać w milczeniu i nie odzywać się, dopóki siedziło się na koniu.

Jeden z moich starszych kolegów opowiadał mi, że kiedyś – w czasie tęgiej zimy – koń, na którym ćwiczył na ujeżdżalni, poniósł i galopem zbliżał się do skrytego pod śniegiem rowu melioracyjnego. Przerażony jeździec dobywał wszelkich sił i sposobów, by go zatrzymać, jednak próby te nie zdały się na nic. Wówczas, łamiąc zakaz, zaczął głośno wzywać pomocy, na co usłyszał wykrzyczane przez mosiężną tubę słowa majora: „Synciu! Napisz do mnie długi list...”.

Wielką trudność w owych czasach stanowiło zdobycie butów i spodni do jazdy konnej. Ja zaczynałem po prostu w gumowych, wysokich kałozach i elastycznych spodniach, które wyludziłem od mojej starszej siostry. Szczęśliwcami byli ci, którzy kupowali używane służbowe bryczesy od masztalerzy, a skórzane, wysokie buty po dziadkach znajdowali gdzieś na strychach.

Kiedy swobodnie już czułem się w siodle, także i ja zdołałem nabyć od znajomego masztalerza ze stajni wyścigowej, sznurowane od przodu, sukienne bryczesy. Były one według ówczesnej mody, podobnie zresztą jak dzisiaj, koloru stalowego i miały tę właściwość, że w czasie zimy dobrze trzymały ciepło, niestety, w lecie też.

Moda na jeździectwo stawała się coraz powszechniejsza, więc nie trzeba było długo czekać na pojawienie się szewców, którzy zaczęli wytwarzać buty do jazdy konnej. Pierwsze takie buty, już z tzw. bączkiem pod ostrogę, wykonał dla mnie szewc, którego nazwiska zapomniałem, ale pamiętam do dziś, że miał swoją pracownię u zbiegu ulic Wróbla i Kruczej



we Wrocławiu. Nie miał żadnej konkurencji, więc na nowe buty oczekiwać trzeba było wiele miesięcy. Kiedy po kilku przymiarkach stałem się szczęśliwym posiadaczem butów, należało zdobyć drewniane prawidła, które włożone do nich zapobiegały ich zniszczeniu, czy choćby zdefasowaniu. Tu nieocenionym okazał się stolarz nazwiskiem Wasielica, prowadzący swój zakład w Rawiczu. Trudnił się on przede wszystkim wyrobem trumien, bo to zawsze pewny interes, ale szybko zauważył też boom na jeździectwo i natychmiast uzupełnił swą ofertę o drewniane prawidła do butów jeździeckich. Do dzisiaj w garażu przechowuję swoje ostatnie buty do jazdy konnej z prawidłami od mistrza Wasielicy.



Ogłowie, buty i siodło – przez lata używane



nogi za popręg i właściwa praca całego tułowia jeźdźca powodowały, że Skaleń miękko zagalopowywał i to zawsze na właściwą nogę.

Posiadał jeszcze jedną umiejętność, którą lubiłem się popisywać, szczególnie gdy miałem damską publiczność. Otóż przesunięcie obu tydek jednocześnie do tyłu za popręg powodowało, że Skaleń, głośno rżąc, stawał efektownie dęba. Potrafił przy tym wytrzymać kilka chwil w takiej pozycji, a ja, kłaniając się dwornie, wyobrażałem sobie, iż nie jestem gorszy niż, popularny wtedy, niejaki Zorro.

Skaleń nie znosił, gdy prowadzono z nim lekcję na lonży. Robił wtedy wszystko, by się od niej uwolnić. Pamiętam, że kiedyś w zimie jeden z kolegów mojej dziewczyny próbował go lonżować a potem zaprowadzić do stajni. Skończyło się na tym, że przejechał na brzuchu około dwustu metrów i zatrzymał się dopiero na drzwiach boksu Skalenia. Nie byłem tym zbyt zmartwiony, gdyż instynktownie kolega ze studiów nie przypadł mi do gustu.

Podobnie umaszczony, a więc także kasztanem, był Limonit. Nie pamiętam już jego pochodzenia, ale utkwiło mi w pamięci, że w całej stawce szkółkowych koni był najlepiej ujeżdżony. Miał za sobą starty w konkursach skoków przez przeszkody i pewnie dlatego nigdy nie odmawiał skoku, nawet wtedy, jeśli mało wprawny jeździec źle naprowadził go na przeszkodę. W czasie gdy przed jazdą rozdzielane były konie, wszyscy najchętniej życzyli sobie właśnie Limonita bądź Skalenia, który też przejawiał zdolności skokowe, startując wcześniej w konkursach niższej rangi.



przeżoną w Ajaxa i Dornalitzę, w dniu 6 września 1978 roku miałem pojechać do ślubu. Wcześniej wyposażono ją w efektowne lampy i przystrojono kwiatami. Wyglądała pięknie, tak więc ceremonia zapowiadała się bajecznie. W dniu ślubu od rana tak się rozpadało, że o jeździe bryczką do urzędu stanu cywilnego, a potem do kościoła nie mogło być mowy. Skończyło się na tym, że pojechaliśmy taksówką w postaci rozklekotanego fiata 125p. Taką samą po weselnej zabawie wróciliśmy do domu. Czekałem na nią, z moją świeżo poślubioną żoną Beti, na postoju taksówek przy ulicy Nankiera we Wrocławiu. Była godzina czwarta nad ranem, a my w strojach weselnych oprócz napoczętej butelki wódki nie mieliśmy przy sobie ani grosza. W końcu upragniona taksówka nadjechała, a jej właściciel bez namysłu zgodził się odwieźć nas na Partynice za tę niepełną flaszkę. Na dodatek, gdy zajechaliśmy pod dom i ja z pewną dozą zażenowania wręczyłem mu półlitrowkę, oddał ją nam i rzekł: „Zatrzymajcie ją sobie na szczęście w nowym życiu”. I odjechał.

Spośród moich pierwszych partynickich koni pamiętam jeszcze kasztanowatego Anonima. Był to wyjątkowo uparty koń, nikt nie lubił na nim jeździć. Jednak właśnie na takich trudniejszych koniach najlepiej szlifowało się swoje umiejętności.

Przez moje ręce na Partynicach przewinęło się jeszcze wiele koni. Nigdy nie byłem zawodnikiem, więc koni sportowych należących do kolegów z klubu dosiadałem tylko okazjonalnie. Najczęściej dane mi było siodłać konie pełnej krwi angielskiej, które trafiały na Partynice przeważnie po nieudanej karierze wyścigowej na warszawskim Służewcu. Przebywały tu niejako w przechowalni, do czasu gdy nie zdecydowano o ich dalszym losie. A ponieważ musiały być codziennie ruszane, najczęściej właśnie takim jak ja przypadają do jazdy.

Doskonale pamiętam jeszcze jasnogniadego Norda, na którym wygrałem bieg myśliwski na wrocławskich Osobowicach, czy szpakowatego



Autor na walachu Anonim

latach wraz z rodziną przeniósł się do wieszowca przy parku Południowym, gdzie na ostatnim piętrze zajmował niewielkie mieszkanie. Niewielkie – ale jakie?

Na ścianach wszystkich pokoi wisiały obrazy znakomych malarzy międzywojnia. Szczególne wrażenie robiły dzieła Władimira Hofmana – urodzonego w czeskiej Pradze symbolisty, czy te, które wyszły spod ręki Kazimierza Sichulskiego – lwowskiego folklorysty Młodej Polski, a także najbardziej wyrazistego przedstawiciela tego okresu – Józefa Mehoffera.

W takim anturazie popijaliśmy dereniówkę i inne nalewki, słuchając z przejęciem opowieści gospodarza domu o jego militarnych przygodach. Władek nie dość, że był porucznikiem 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich, to po licznych perypetiach ostatecznie wojował w szeregach 1 Dywizji Pancерnej generała Maczka, gdzie konia zastąpił mu znakomity na owe czasy czołg typu Sherman.

Tradycje Jazłowiaków zaszczerpił grupie entuzjastów, którzy kultywowali je na Dolnym Śląsku. Wtedy sporo ułanów jazłowieckich jeszcze żyło, częste więc były z nimi spotkania, pełne wspomnień i opowieści. Atrakcją w środowisku stały się wykonane przez Marka Gajewskiego repliki lanc używanych przez kawalerzystów tego pułku. Do dziś kopię takiej lancy przechowuję w swoim domu.

Marek Gajewski – znany przez dekady wytwórca ostróg, wędzideł, munsztuków i innych urządzeń służących głównie jako kielzna – był jednym z inicjatorów nazwania hipodromu w Morawie koło Strzegomia imieniem 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich. Stało się tak w lipcu 1991 roku. W pobliżu

trybun stanął okazały kamień informujący o nowym patronie tego miejsca. Niestety, Władek uroczystości tej nie dożył. Zmarł krótko przedtem, bo w maju tego samego roku. Trumna z jego ciałem została przewieziona do miejsca wiecznego spoczynku na Cmentarzu Grabiszyńskim przez parę śląskich ogierów ze Stada Ogierów Książ.

Przez wiele lat po zakończonym dniu wyścigowym jeździliśmy na ten cmentarz z Anną Ganowicz – wieloletnim sędzią wyścigowym – gdzie przy grobie Władka wychylaliśmy z piersiówki po łyku nalewki. Żadna z nich jednak nie mogła równać się z władkową dereniówką.

W-w.5.10.1984.

Drogi Speaker-ze!

Niech Ci Bozia wynagrodzi jak WSOWZ nie może. Masz natomiast u nas Jazłowiaków przy najbliższej okazji "dużą wódkę" oraz dozągoną pamięć, za z sercem odczytaną historję pułku i komentarz przy wręczeniu nagrody. Przedewszystkiem zaś przepraszamy Cię za to, że zerwaliśmy Ciebie rano a Ty przyjąłeś i budzenie i propozycję speaker-owania bez bólu isserdecznie.

Przy okazji dopisz sobie do żurawiejek drugą do 14 pułku :

Przywiózł żółta pełne kiesy
To jest ułan z pod Odessy

Notabene rozeszła się ona t.zn. forsa bardzo szybko bo ją przebulali i słusznie

Narazie ściskamy Cię mocno

Władysław Jazłowski
Władysław Schmidt

List Władka Schmidta do autora



Hipodrom w Morawie słynie z rozgrywanych na nim corocznie zawodów Pucharu Świata we Wszechstronnym Konkursie Konia Wierzchowego. Pomysłem rodziny Konarskich, a szczególnie Maryli i Grzegorza, było kilka lat temu utworzenie nagrody dla najlepszego jeźdźca zawodów w postaci brązowej repliki pułkowego orła Jazłowiaków. Jako fundator wręczałem tę nagrodę kilkakrotnie.

Władek był człowiekiem niezwykle pogodnym i dowcipnym. Pamiętam, jak kiedyś po suto zakrapianej kolacji odwoził mnie do domu swym kultowym volkswagenem garbusiem. Tego wieczora Wrocław spowity był tak gęstą mgłą, że widoczność była niemal zerowa. W pewnym momencie Władek zatrzymał auto. Stwierdziliśmy, że poruszamy się rowem melioracyjnym, a dalszy przejazd zablokowany jest przez betonowy przepust. Władek rzucił: „Wysiadać! Tu nawet moim Shermanem nie dałbym rady”.

W moich domowych archiwach zachowała się szczególna pamiątka po Władku. Jest nią list, jaki otrzymałem od niego z podziękowaniem za to, że jako spiker na ogólnopolskich zawodach konnych, rozgrywanych na hipodromie Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu, opowiedziałem o historii jego pułku i skomentowałem nagrodę ufundowaną przez Jazłowiaków.

Do listu załączona była fotografia z następującym podpisem na odwrocie: „P. por. Żurowski i p. por. Tychonowicz – patrol 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich na dzień 8 grudnia 1936 roku. Do klasztoru w Jazłowcu rokrocznie nowomianowani oficerowie meldowali swój przyjazd”.



Patrol



PAN STANISŁAW I JEGO MUSZKIETEROWIE

W 1974 roku pałeczkę po Władku Schmidcie przejął Stanisław Przybylak. Kierował torem do 1982 roku i ponownie w latach 1990–1993. Staszek, bo także z nim po kilku latach przeszedłem na ty, to koniarz z krwi i kości.

Na tor wrocławski przyszedł prosto ze stadniny koni w Nowej Wiosce, gdzie był zastępcą szefa do spraw hodowli. Wcześniej na podobnym stanowisku pracował w Plękitach. Zaczynał w Stadninie Koni Posadowo jako skromny asystent. Akurat Posadowo kojarzy mi się w sposób specjalny. Co roku, przebywając na końskich wakacjach w Stadzie Ogierów Sieraków, obowiązkowo każdego 22 lipca jeździłem do nieodległego Posadowa na zawody w skokach przez przeszkody. Same zawody nie należały do najwyższej kategorii, ale słynęły z tego, że w przerwach między konkursami odbywały się pokazy zaprzęgów. Te budziły ogromne emocje i podziw publiczności. Widziałem tam zaprzęgi nawet 17-konne, jak i konie idące w tzw. szydło – wszystkie pięknie dobrane maścią



Zaprzęg w tzw. szydło



i eksterierem. Pamiętam taki dzień, kiedy spiker zawodów ogłosił, że na hipodromie znajduje się już 5000 osób, a dla innych zabrakło biletów.

Z początkiem lat 90. XX w. rozpoczął się powolny upadek stadniny – podobnie jak innych państwowych stad i stadnin w Polsce. Któregoś dnia, będąc w Posadowie, spotkałem ówczesnego premiera Waldemara Pawlaka, który przechadzając się po stajniach, perorował i zapewniał, że stadnina z taką tradycją zostanie otoczona szczególną opieką. Jak kończyły się takie obietnice polityków, wszyscy dobrze wiemy.



Pokaz zaprzęgów – Posadowo, lata 90. XX w.

Akurat, gdy Staszek Przybylak pojawił się na Partynicach, ja zacząłem pobierać tam lekcje jazdy konnej. Staszek dość obojętnie spoglądał na szkółkę jeździecką, interesowały go przede wszystkim wyścigi, a także zawodnicy działającego przy torze Rolniczego Ludowego Klubu Sportowego Partynice. Często można było go spotkać w pobliżu ujeżdżalni na koniu. Zawsze miał jakąś krytyczną uwagę pod adresem szkółkowiczów i nieukrywam, że obawialiśmy się jego wizyt. Budził duży respekt, staraliśmy się więc schodzić mu z drogi.

Kierowanie w tym czasie torem nie należało do łatwych. Partynice były torem prowincjonalnym i nie znajdowały specjalnej pomocy ze strony kierownictwa przedsiębiorstwa. Traktowanie Wrocławia przez Warszawę przypominało mi opowieść Sławomira Mrożka o parszywym kotku. Każdy grzech swego pana kot brał na siebie, przytłaczając to pojawieniem się

kolejnego wykwit na skórze, zaś jego pan cieszył się niezmiennie dobrym zdrowiem i samopoczuciem. W końcu pan tak nagrzeszył, iż kotek tak sparszywał, że padł.

W przypadku Partynic do tego nie doszło, ale każde niepowodzenie przedsięwzięcia jako całości przez lata niezmiennie przypisywano torowi wrocławskiemu. To tu ściagały się pośledniejsze konie, tu mniej inwestowano, tu kierowano na przechowanie konie ze Służewca, z którymi nie było co począć. Ta ostatnia praktyka była dla mnie korzystna, gdyż nie brakowało mi koni do jazdy.

Sekcja jeździecka działająca przy torze uchodziła w owym czasie za jedną z najlepszych, nie tylko na Dolnym Śląsku. O jej sile stanowili skoczkowie: Jan Pawlaczek, Michał Przybylak, Wojtek Wójcik i Krzysztof Ksztoń. Oczywiście była też Ela Morciniec, ale o niej w dalszej części tych wspomnień. Nie sposób zapomnieć o Staszku Borkowskim, najstarszym spośród wymienionych wyżej skoczków. To on pozwalał mi stępować swoje konie po treningu, to on przekazał do szkółki Limonita, na którym startował wcześniej w konkurencji skoków. Szczególnie upodobał sobie – wyhodowanego w Stadninie Koni Żołędnicza – Jontka, na którym wygrał niejeden konkurs. Skacząc pod innym jeźdźcem w terenie przez rów z wodą, Jontek podciął sobie szkłem od butelki staw skokowy, dostał potem ochwatu i już po tej kontuzji się nie podniósł.

W stawce koni jeżdżonych przez Staszka pamiętam też urodziwą, pełnej krwi Sabenę wyhodowaną w Stadninie Koni Kozienice, Bysława – też folbluta, a także San Siro, którego wcześniej jeździł Hubert Szaszkiwicz – postać, której w świecie końskim nie trzeba nikomu przedstawiać.

Szczególnie uzdolnionym, a przy tym niezwykle przystojnym jeźdźcem był Janek Pawlaczek. Jego dosiad i prowadzenie konia w parkurze były stawiane innym za wzór. Z koni, których dosiadał, zapamiętałem Błyska i Surmę. Janek wiecznie otoczony był wianuszkiem kobiet. Jak on to robił, że nie trafiały na siebie – on jeden tylko wiedział.

Jasiu – bo tak do niego wszyscy się zwracaliśmy – zamieszkiwał nieopodal toru, w zakładowym mieszkaniu Stacji Hodowli i Unasienniania Zwierząt, gdzie miałem ćwiartkę etatu jako radca prawny. Odwiedzaliśmy się więc często. Któregoś dnia oświadczył mi, że wyjeżdża z Polski do USA. Zdjął ze ściany portret skarogniadego konia stojącego obok biało-czerwonej stacionaty. Obraz przedstawia Gaudeamusa – o którym za chwilę. Podał mi go, wyrażając nadzieję, że się nim troskliwie zaopiekuję. Nie pomylił się – do dziś Gaudeamus wisi na ścianie w moim gabinecie. Przed paroma laty dowiedziałem się, że Jasiu, który ostatecznie wylądował w San Diego w Kalifornii, przedwcześnie zmarł.

Bardzo dobrą stawką koni dysponował przez całą swoją karierę Michał Przybylak – syn Staszka. Spośród nich zdecydowanie najlepsza była



Czasza, kasztanowata, duża folblutka, wyhodowana w Stadninie Koni Kozienice. Pamiętam, jak Michał wygrywał na niej na Partynicach konkurs potęgi skoku, w którym skacząc ostatecznie mur o wysokości 180 cm, pokonał po zaciętej walce Czesława Koniecznego z Książa. Podobny konkurs wygrał na niej na Polach Marsowych wrocławskiego Stadionu Olimpijskiego. Miał też do swojej dyspozycji Denwera, bardzo trudnego do jazdy folbluta, dosiadał również półkrewków Batisto i Hacjendy, był wreszcie Doker – duży kasztanowaty folblut. Karierę sportową Michała przerwał poważny wypadek. Dziś zamieszkuje on w kameralnym domku po rodzicach na terenie toru. Zajmuje się prowadzeniem szkółki jeździeckiej, a ponieważ ma do tego szczególny dar i cechuje go nad wyraz miłe usposobienie, jest bardzo lubiany wśród młodzieży.

Od 1998 roku szkoleniem młodych adeptów jeździectwa, oprócz Michała, zajmuje się także Jacek Pękalski. Ongiś znakomity skoczek i wieloletni reprezentant WKS Śląsk Wrocław. Początkowo na Partynicach szkolił wyłącznie jeźdźców sportowych, obecnie udziela też nauk najmłodszym na kucach.

Kolej na Wojtka Wójcika. Miał on do dyspozycji Riala, na którym startował przez wiele lat, ale niewątpliwie brylantem w stawce jego koni był Gaudeamus. To koń pełnej krwi hodowli rumuńskiej, który trafił do Polski po likwidacji toru wyścigowego w Bukareszcie. Wojtek miał dość



Gaudeamus. Autor nieznan

ciężką rękę i nie zawsze udawało się mu znaleźć wspólny język z Gaudeamusem. Ponieważ był to koń wybitny, szybko trafił w ręce Rudolfa Mrugały z Mosznej. Popularny Rudek startował na nim z powodzeniem w dużych konkursach nie tylko ogólnopolskich, ale i międzynarodowych. Możliwości tego konia nie zostały w pełni wykorzystane w Polsce. Po jakimś czasie sprzedano go do USA i co się z nim dalej działo, nie wiem.

I wreszcie Krzysztof Ksztoń. On również nie miał zbyt lekkiej ręki w pracy z koniem. Na swoich koniach Dalmor, Biskwit czy Jasion nie odniósł zbyt wielkich sukcesów. Jego kariera skoczka skończyła się, kiedy został powołany do wojska, w którym zresztą zrobił niemałą karierę, dochodząc do stopnia pułkownika.

Staszek Przybylak był dobrym gospodarzem Partynic. To wtedy powstały dwa bloki mieszkalne dla pracowników toru. Każda stajnia wyścigowa zyskała karuzelę, czyli kołowrót do stępowania koni, na torze pojawiła się maszyna wyposażona w dziesięć boksów startowych. Przez wiele lat Staszek był też komisarzem wyścigowym, czyli sędzią pracującym w Komisji Technicznej. Sam spędziłem tam ponad 35 lat i wiem, jak nieocenione dla nas było jego doświadczenie. Zawsze spokojny, nie ulegał emocjom, rzadko się mylił. Był wielkim wsparciem dla mnie, gdy przez kilkanaście lat przewodniczyłem temu gremium. Obecnie Staszek z uwagi na wiek nie udziela się już aktywnie w sporcie ani na wyścigach. Mamy stały i choć niezbyt częsty, to jednak serdeczny kontakt.

Miłością życia Staszka jest wieloletnia księgowa wrocławskiego toru Marysia Dębowska. W bardzo stonowany a jednocześnie zabawny sposób opowiadają oni o sobie nawzajem, zawsze w trzeciej osobie – per pan Stanisław, pani Marysia. Ci, którzy znają ich wzajemną atencję, słysząc ten kamuflaż, uśmiechają się porozumiewawczo, ale zawsze życzliwie, bo to niezwykle sympatyczna para ludzi Partynic.



PANI ELA

Niekwestionowaną, pierwszą gwiazdą partynickiego sportu była Elżbieta Morciniec. Do jej osiągnięć nie zbliżył się żaden z zawodników Rolniczego Ludowego Klubu Sportowego Partynice. Cztery tytuły mistrza Polski w ujeżdżeniu, w latach 1979, 1982, 1984 na Frezie oraz w 1989 roku na Hajmonie. Trzykrotnie, a to w latach 1981, 1983 i 1985, srebrna medalistka tych mistrzostw na Frezie, a w 1988 roku na Hajmonie. Na tym samym koniu była jeszcze brązową medalistką w 1987 roku. Uczestniczka igrzysk olimpijskich w 1980 roku.

Ezzy wyobrażała sobie, że tak potoczy się jej kariera, gdy w wieku 15 lat mama zaprowadziła ją na ulicę Mieszczkańską we Wrocławiu, gdzie miała swoją siedzibę sekcja jeździecka Wojskowego Klubu Sportowego Śląsk? Jakiś czas wcześniej z wypiekami na twarzy i ogromną zazdrością obserwowała jeźdźców WKS-u w pochodzie pierwszomajowym. Jako mała dziewczynka nie bawiła się lalkami, jak jej koleżanki. Jej zabawkami były wyłącznie figurki koni.

Gdy była jeszcze uczennicą szkoły podstawowej, któregoś dnia wybrała się na wyścigi na Partynice. Wizyta ta przypieczętowała decyzję: zrobię wszystko, by jeździć konno. W tym czasie szefem jeźdźców trenujących przy ulicy Mieszczkańskiej był niezapomniany Janusz Gottwald. Niechętnie przyjął niesforną dziewczynkę do grona skoczków, bo o ujeżdżeniu nikt tam wtedy nawet nie myślał.

Zacząła więc Ela od skoków, a treningi prowadził wtedy „Łyda”, czyli mjr Henryk Stabiński. Jazdy odbywały się na otwartym maneżu, niezależnie od pory roku. Nie było wtedy krytej ujeżdżalni, dopiero po latach zaadaptowano na nią pobliski budynek. Wrocławianie, a szczególnie miłośnicy koszykówki, halę tę znają dobrze. To tutaj swe mecze rozgrywali koszykarze Śląska – 17-krotni mistrzowie Polski. Dziś jest to ich sala treningowa.

Już pierwszego dnia „Łyda” zrobił Eli test na lonży. Miała pokazać, czy potrafi poprawnie anglezować. Nie wiedział, że Ela często z rodzicami wyjeżdżała na wieś, gdzie na dwóch roboczych koniach dość dobrze sztukę tę opanowała. Mało kto dziś pamięta, że w wojskowym klubie Ela dosiadała między innymi pełnej krwi Burzywoja, pruchniańskiej klaczy



Elby – na której później startował Jan Kowalczyk, klaczy Garda, czy wreszcie Hrabiego – konia chodzącego w latach późniejszych duże konkursy pod Franciszkiem Ciebelskim.

To właśnie, dosiadając Hrabiego, Ela, na którymś treningu pokonywała umieszczone na koziołkach drągi, tzw. cawaletki. Szło jej znakomicie, więc „Łyda” zaordynował: „Pokaż jak to się robi!”. I pokazała, tyle że na ostatnim drągu razem z Hrabią leżeli na ziemi. Skutek – złamany obojczyk. Pierwsza, ale nie ostatnia, sportowa kontuzja.

W latach 60. XX w. sekcję jeździecką WKS Śląsk rozwiązano, a konie, podobnie jak praktykowano z piłkarzami, przekazano do Legii Warszawa, gdzie trenerem był major Wiktor Olędzki, były oficer 2 Pułku Ułanów Grochowskich. Wspominam o tym znakomitym jeźdźcu, ponieważ w tych czasach to właśnie byli kawalerzyści stawali się trenerami jeździectwa, a wielu z nich obejmowało kierownicze stanowiska w stadach i stadninach. Jakże inaczej niż obecnie, gdy tzw. dobra zmiana do hodowli koni posyła producentów kafelków czy specjalistów od komunikacji tramwajowej.

Po maturze Ela spróbowała dostać się na medycynę i zostać lekarzem. Świetnie poszły jej egzaminy pisemne, przed nią więc pozostały już tylko ostatnie, ustne. Sęk w tym, że w tym czasie miała startować w Mistrzostwach Polski Juniorów w Sopocie. By zdążyć na samolot do Gdańska, wycofała papiery z uczelni. Studentką medycyny więc nie została, tyle tylko, że w zawodach zajęła odległe miejsce.

W domu nie czekało na nią nic dobrego, pojawiły się groźby, że musi pójść do pracy i zerwać ze sportem. Ostatecznie wylądowała na germanistyce. Na trzecim roku wyszła za mąż za pracownika naukowego ze swojego wydziału, dziś już profesora tej uczelni. Pojawiły się dzieci: Asia, mieszkająca dziś w Cambridge, przebywający na stałe w Berlinie Paweł i wreszcie Michał, a jakże, też osiadły za granicami Polski, w Madrycie.

Nasze drogi zbiegły się w 1974 roku. Wtedy Ela trafiła do sekcji jeździeckiej LZS, prowadzonej przez Władka Schmidta, ja stawiałem pierwsze kroki w szkółce. W hierarchii jeździeckiej dzieliła nas przepaść. Ja raczkowałem w siodle, zaś Ela od kilku lat startowała już w skokach przez przeszkody.

Kiedy kierownikiem Toru Partynice został Staszek Przybylak, do klubu trafiły nowe konie. Były to ogiery i klacze po zakończonych karierach wyścigowych, a więc zupełnie surowe jako konie sportowe. Kiedy Ela, podniekcytowana perspektywą otrzymania nowego konia do treningu, weszła do stajni i zapytała: „A który to dla mnie?”, wskazano jej, stojącego w ostatnim boksie, szczupłego kasztana, którego eksterier nie powalał na kolana.

Był to Frez, czteroletni koń o trudnym – i jak się później okazało – bardzo chimerycznym temperamencie. Ela wielokrotnie przeżywała na nim w parkurze dramatyczne momenty. Kiedyś na zawodach w Jarosławcu Frez przeskoczył szranki, bo nie zamierzał pokonać trasy, tak jak życzyła



sobie Ela. Innym razem w Targoszynie stojący obok mnie Leszek Filipczuk krzyknął: „Padnij!”. I słusznie, bo Frez tak bezczelnie ignorował kolejne przeszkody, że drągi niemal fruwały w powietrzu.

W końcu Staszek Przybylak, widząc, że Frez kariery skokowej nie zrobi, zasugerował Eli, by spróbowała z nim popracować ujeżdżeniowo. I rzeczywiście, w tej właśnie dyscyplinie Frez okazał się niezwykłym talentem. Z początku Ela trenowała sama, a raczej, jak to zawsze podkreślała,



Ela Morciniec i jej Frez

Frez trenował ją a ona jego. Efekty przyszły nadspodziewanie szybko. Po trzech miesiącach wystartowała w Mistrzostwach Polski w Sopocie, gdzie, ku ogólnemu zaskoczeniu, była piąta, zostawiając za sobą wielu specjalistów dresażu.

Wielkim współautorem późniejszych, niebywałych sukcesów Eli stał się Tadeusz Łanowy. To on wspólnie z ówczesnym dyrektorem Stada Ogierów Książ – Zbyszkiem Dąbrowskim sprowadzili do Polski niemieckiego olimpijczyka z Loebnitz – Wolfganga Müllera, który na długie lata stał się konsultantem polskich ujeżdżeniowców, szczególnie Eli, z którą zaprzyjaźnił się rodzinnie. Zażyłość ta trwa do dziś, mimo że oboje dawno już zakończyli swe kariery sportowe.

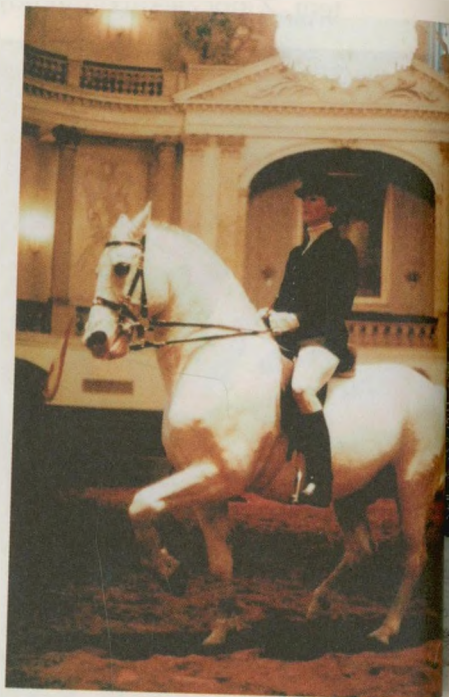
Nadszedł rok 1979. Na czworoboku w Książu Ela zdobyła swe pierwsze złoto na mistrzostwach Polski. Sędziujący te zawody – dyrektor słynnej wiedeńskiej Spanische Hofreitschule – Kurt Albrecht tak zachwycił



się dosiadem Eli, że zaprosił ją do Wiednia. Tam przez ponad miesiąc ćwiczyła na siwych lipicanach, pod okiem bereitra Huberta Eichingera. Poznałem go **osobiście**, gdyż później często przyjeżdżał do Wrocławia, a także Książa czy Drzonkowa, **gdzie** uczestniczył w zgrupowaniach polskiej kadry.

Od wielu lat spędzałem swe każde wakacje, wraz z grupą przyjaciół, w **Stadzie** Ogierów w Sierakowie, gdzie odbywaliśmy **na** wielkopolskich ogierach wspaniałe jazdy w Puszczy Noteckiej. Nie znam w Polsce lepszego terenu do treningu z koniem. I właśnie tam wrocławscy jeźdźcy z Partynic mieli w 1980 roku swe zgrupowanie. Uczestniczyła w nim oczywiście i Ela z Frezem.

Pewnego dnia zadzwonił telefon. Ówczesny dyrektor Stada Ogierów w Kwidzynie przekazał wiadomość, że polscy ujeżdzeniowcy, obok skoczków i wkkwistów, jadą na olimpiadę do Moskwy. Ela tak wspomina ten czas: „Wiedziałam, że Frez nie jest gotowy i nie sprostą wymaganiom konkursu olimpijskiego. Niewiele więc myśląc, skłamałam, że jest kulawy i nie może startować. Telefon zadzwonił kilka dni później. Józef Zagor, który miał prowadzić zgrupowanie przedolimpijskie, oznajmił, że ma dla mnie konia, który nazywa się Sum. Jeździła na nim u niego juniorka, a koń jest uzdolniony. W rzeczywistości Sum niewiele umiał i **nie** za dużo w tak krótkim czasie **można** było go nauczyć. Na zgrupowaniu panowały szampańskie nastroje. Ekipa dresażystów w składzie: Wanda Wąsowska – chyba na Damazym, Józek Zagor na Heliosie, a także Boguś Misztal i ja, mając świadomość niewielkich szans, trenowaliśmy bez obciążeń, ciesząc się na wspólny, olimpijski start. Tyle że była to olimpiada powszechnie zbojkotowana przez świat zachodni a np. ekipy ujeżdzeniowej NRD gospodarze w ogóle nie zaprosili, bo Niemcy byli za dobrzy. Pamiętam wszechobecnych żołnierzy pilnujących nas na każdym kroku. Kiedyś jeden z nich, gdy po raz nie wiem który, **nie** chciałam już podporządkować się jego poleceniom, wrzasnął: [diawczka, budu strelat!] A strzelaj – odparłam, i dopiero po latach zdałam sobie sprawę, że **to** nie były żarty. Zajęliśmy czwarte miejsce, **ale** ono nie cieszyło. Dość powiedzieć, że konkurs olimpijski w konkurencji ujeżdżenia w ogóle **doszedł** do skutku, bo w ostatniej chwili dojechali Rumuni”.



*Ela Morciniec na stażu
w Spanische Hofreitschule*



Z upływem lat zaprzyjaźniłem się z Elą, a każdy jej sukces świętowaliśmy w klubie przez wiele dni. Wygrane na Frezie, Hajmonie czy Oparze były spektakularne. Ela była pierwszym polskim jeźdźcem, który wygrał poza granicami Polski konkurs Grand Prix.

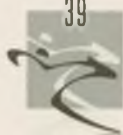
Najpiękniejsze jednak były wspólne chwile, spędzane na Partynicach w stajni czy na placu treningowym. Po jeździe przesiadywaliśmy



Ela Morciniec na Samborze

jeszcze długo w siodlarni, gdzie kwitło życie towarzyskie. Były to czasy jakże różne od dzisiejszych. Wszystko, od ostróg po siodła, trzeba było zdobywać. Na korytarzu w stajni sportowej, położonej w podwórzu obok końskiego ambulatorium, królowała wielka, dwudrzwiowa szafa, w której Ela trzymała swój sprzęt. Dopiero po latach Tadeusz Łanowy, który wspierał Elę przez całą jej karierę, własnoręcznie, u szczytu stajni zbudował dla niej siodlarnię z prawdziwego zdarzenia. W zimie było tam szczególnie miło, bo ogrzewał nas wielki, akumulacyjny piec, na którym z upodobaniem zasiadaliśmy.

Z czasem, gdy byliśmy już z Elą w wielkiej komitywie, po jazdach trafialiśmy do mojego domu, gdzie Beti z niebywałą wyrozumiałością tolerowała ubłocone buty i zapachy stajni, które przynosiliśmy ze sobą. Do dziś nie mogę się nadziwić jej pobłażliwości, z jaką traktowała Tadeusz Łanowego, który – nakarmiony przez nią czekoladowym tortem – miał zwyczaj wycierać usta w śnieżnobiałe firanki.



Mijały lata, aż nadszedł moment, kiedy spełniło się kolejne marzenie Eli. Wraz ze świeżo poślubionym muzykiem i kompozytorem piosenek Tomkiem Szwedem zakupiła niewielki dom wraz z zabudowaniami gospodarczymi – w tym oczywiście i stajnią. Miejsce to Ela nazwała Brzozówką, gdyż położone było w zagajniku pełnym brzoź. Żartowaliśmy w towarzystwie, że ona, germanistka, a on, muzyk, gospodarzą w sposób sobie tylko wiadomy, tzn. sadząc zboże i siejąc ziemniaki.

Małżeństwo Eli nie wytrzymało próby czasu. Wyjechała do Indii, gdzie najpierw przez trzy miesiące, a potem jeszcze niemal pół roku zgłębiała tajniki hinduskich sztuk relaksacyjnych. Tam pewnego dnia, jadąc na rowerze na wąskim mostku, wyprzedzała ją riksza, która gwałtownie zajęchała jej drogę. Efekt – koszmarny upadek i długo leczona kontuzja lewej ręki.

Po powrocie z Indii Ela trafiła do Aromeru, klubu Eryka Stępniewskiego – prywatnie męża znanej aktorki Grażyny Szapołowskiej. Zbudował on pod Warszawą piękny – jak na owe czasy – ośrodek, gdzie ujeżdżenie trenowała m.in. jego córka Romy.

Kolejny ośrodek, w którym się znalazła, to klub jeździecki Bór Toporzysko-Folwark. Nie zagrzała tam długo miejsca. Powróciła do Wrocławia, gdzie próbowała odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Udzielała lekcji i konsultacji. Rodzice przyszłych dresażystek chętnie oddawali swe pociechy pod opiekę takiej sławy. Dziś już nie udziela się w swej ukochanej dyscyplinie.

Od kilku lat planujemy wspólny wyjazd do Wiednia na pokaz słynnej Hiszpańskiej Szkoły Jazdy i koncert wiedeńskich filharmoników. Jakoś nie udało się tego pomysłu zrealizować wcześniej, ale w tym roku byliśmy już bardzo zdeterminowani. Niestety, pandemia koronawirusa znów pokrzyżowała te plany.

Frez został uroczyście pożegnany na Partynicach w latach 90. XX w. Stało się to w trakcie mistrzostw Polski w ujeżdżeniu i przeniesionych z pobliskiego Książa zawodów CDI. Przystrojony w piękny, kwietny wieńiec zaprezentował się po raz ostatni wrocławskiej publiczności. Miałem to szczęście pracować wtedy przy mikrofonie, jako spiker zawodów. Z niemałym wzruszeniem odczytałem słowa, jakie Frez „przygotował” na swoje pożegnanie.



SZANOWNI PAŃSTWO!

Nie była to pomyłka w programie, która czasami zdarzała się nam z Panią Elż - nie jest to również kolejna wpadka techniczna organizatorów - to po prostu ja chciałem Państwa pożegnać i podziękować wszystkim tym, którzy przez 12 lat moich startów przeżywali ze mną na torze wyścigowym, parkurach i czworobokach moje wáloty i upadki.

Nie zobaczymy się nigdy więcej na Mistrzostwach Polski w zawodach międzynarodowych i konkursach "GRAND PRIX". Żegnaj się z wami w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, bez żalu do tych, którzy mówili, że nie mam talentu, warunków eksterierowych, czy też to, że byłem mało pracowity i sumienny w treningu.

Wraz z moją amazonką Elżbietą Morciniec oraz przy pomocy grona życzliwych mi ludzi wpisałem się jako pierwszy w historii polskiego ujeżdżenia na listę zwycięzców zawodów międzynarodowych w 1979 r. w Lipsku w konkurencji "St. JEROME", by w dwa lata później wpisać polskiego konia na listę zwycięzców w konkursie "IMPER.IO".

Mój kolega "DAMIAN" w Flondzie wzbogacił historię naszej konkurencji o zwycięstwo w konkursie "IMPER.II.O".

Ja, jako pierwszy z polskich koni w 1984 r., przywoziłem z Gery do Polski pierwsze zwycięstwo w konkursie najtrudniejszym "GRAND PRIX".

Życzę moim młodszym kolegom uspełnienia tej listy zwycięstw w konkursach "GRAND - PRIX - SPECJAL" oraz najtrudniejszych kirasch.

Na 40 jubileuszowych Mistrzostwach Polski zdobyłem swój kolejny siódmy medal i wyrównałem wynik mojego kolegi "HELIOSA".

Panie Prezydencie mam nadzieję, że za lata startów w barwach Wrocławia na hipodromach Austrii, Bułgarii, Czechosłowacji, NRD, RFN, Węgier i Związku Radzieckiego zasłużyłem na łaskawy obłob na pięknej i gościnniej Dolnośląskiej Ziemi.

Żegnaj kobiecy, szkoleniowców, działaczy i Panią Elżbietę Morciniec i proszę Pana koniuszego Zygmunta Olczę do mojej ostatecznej rundy honorowej w ręku, a moich kolegów o rundę pod jeźdźcami.

"F R E Z"

Mowa pożegnalna Freza



WRÓBEL

Wróbel lub Maciek – tak wszyscy do niego się zwracają, choć jego pierwsze imię to Grzegorz. Nigdy jednak nie zdarzyło mi się usłyszeć, by ktoś powiedział do niego: Grzesiu.

Grzegorz Wróblewski, a więc Maciek lub Wróbel, przyszedł na Partynice w 1982 roku z Sopotu. Obdarzony żyłką sportowca od początku zdecydował, że na Partynicach pojawią się wyścigi przeszkodowe. Nie było to proste, bo utarte od lat zasady ścigania się we Wrocławiu koni półkrwi zakładały, że po przyjeździe jesienią na tor konie po osiągnięciu wieku trzech lat startowały w gonitwach płaskich, a po zakończeniu sezonu wracały do macierzystych stadnin. Szybko wprowadził regułę, że wyselekcjonowane półkrewki o zdolnościach szybkościowych i skokowych pozostawały na drugi rok w treningu, by potem biegać w steeplach i płotach. W późniejszych latach do wszystkich 6 stajni wyścigowych trafiały też folbluty – oczywiście, by biegać w gonitwach płotowych bądź przeszkodowych.

W 1983 roku Wróbel stworzył Stajnię Wrocław. Początkowo konie z tej stajni biegały w innych barwach, gdyż ta została zgłoszona dopiero rok później. Szefem jej był oczywiście Maciek, ale łącząc tę pracę z kierowaniem całym torem, nie byłby w stanie wszystkiego sam dopilnować. I tu dopisało mu niebywałe szczęście. Od niespełna dwóch lat na torze wrocławskim pracował Zygmunt Olszta. Znakomity kiedyś jeździec przeszkodowy pasował jak ulał do funkcji koniuszego w stajni Maćka. Od początku stał się dla Wróbla tym, kim dla sienkiewiczowskiego Kmicica był wachmistrz Soroka. Bardzo dbał o powierzone mu konie, zdejmując z Maćka znaczną część obowiązków. W późniejszych latach Zygmunt z sukcesami trenował konie w barwach Stajni Pruchna. Jego żona Basia najpierw pracowała w końskim ambulatorium – po śmierci Zygmunta w 1997 roku przejęła po nim stajnię wyścigową.

Zygmunt Olszta, z którym pozostawałem w wielkiej przyjaźni, zachorował, gdy przez Wrocław przelewała się powódź stulecia. Szpital, w którym przebywał został zalany aż do parteru. Do dziś tak sobie myślę, że gdyby nie ta powódź, to, być może, Zygmunt miałby większe szanse i przetrwałby najgorzej.





Zygmunt Olszta i autor przed Stajnią Wrocław

Pamiętam wzruszającą chwilę, gdy zebraliśmy się w jego mieszkaniu następnego dnia po jego odejściu. Jego syn Kuba, już wtedy zdradzający niezwykle talenty kulinarne, przygotował tort, rodzaj ogromnej napoleonki. Był on tak samo słodki, jak i słony, gdyż Kubuś w trakcie przyrządzania go obficie podlewał masę łzami. Dziś to znakomity specjalista od cybernetyki, podobnie jak jego starszy brat Paweł, od wielu lat zamieszkały w USA i pracujący u słynnego Billa Gatesa.

Z pierwszych koni ze Stajni Wrocław zapamiętałem kasztanowatego, pełnej krwi Dokera, na którym imiennik Maćka, Grzegorz Wróblewski, wygrał na Partynicach gonitwę przeszkodową na dystansie 3000 m. Konia tego wyhodował Jarosław Koch w Stadninie Koni Widzów. Z Jarkiem, wieloletnim hodowcą koni pełnej krwi, zetknąłem się bliżej kilkanaście lat później. On i jego żona Jaga, córka niezwykle zasłużonego dyrektora Stadniny Koni w Janowie Podlaskim – Andrzeja Krzyształowicza, należą do naszych najbliższych przyjaciół. Do Jagi i Jarka jeszcze na stronach tej książki wrócę.

Wśród ludzi Partynic nie ma zapewne nikogo, kto nie pamiętałby, wyhodowanej w Stadninie Koni Jaroszkówka, ciemnogniadej klaczy Rewolta. W 1983 roku, pod okiem trenera Tadeusza Dębowskiego, wygrała derby

półkrwi, a już rok później 9 września 1984 roku na międzynarodowym me-
etingu we Wrocławiu, pod amateorem Andrzejem Trybą, była druga w go-
nitwie na 3000 m z przeszkodami, dla 4-letnich i starszych koni. W 1985
roku Rewolta zadebiutowała w Pardubicach, gdzie w gonitwie Kladrubska
Cena była druga. Do stajni Maćka trafiły też ogiery Trzos i Nil. Pierwszy
z nich w 1988 roku w Pardubicach wygrał pod słynnym Josefem Vaňą Me-
moriał kpt. Poplera – trudną gonitwę przeszkodową na dystansie 3200 m.
Rok wcześniej w tej samej gonitwie w Pardubicach triumfował Nil, wyho-
dowany w Stadninie Koni Rzezczna – również pod dżokejem Josefem Vaňą.
Co ciekawe, Memoriał kpt. Poplera to jedyna gonitwa w Pardubicach,



*Polska ekipa w Pardubicach – październik 1984 r.
Stoją od lewej: Sylwester Pule, Wojciech Chaboski, Jacek Olejnicki, Jerzy Elias, Grzegorz Wróblewski, Stanisław Kuśmirek, Zygmunt Olszta*

w której konie startują z tzw. oranicy, czyli zaoranego podłoża. We wszyst-
kich innych start odbywa się na trawie.

Bardzo dzielnym koniem, który startował w barwach Stajni Wro-
cław, był Baton wyhodowany w Stadninie Koni Pruchna. Wygrywał on wiele
wyścigów przeszkodowych we Wrocławiu, a w Cenie Weltawy, gonitwie
steeplovej na 4000 m, był w Pardubicach drugi.

W 1984 roku, w ramach międzynarodowego meetingu wyścigowego
we Wrocławiu, rozegrano gonitwę przeszkodową na dystansie 5000 m.
Była to pierwsza w historii Partynic Wielka Wrocławska. Rangę gonitwy

podniosła zgoda ówczesnego dyrektora toru wyścigowego w Pradze i jednocześnie szefa tamtejszego Jockey Clubu – Stanislava Waksmundskiego – na to, by stała się ona eliminacją do słynnej Wielkiej Pardubickiej.

Wielką Wrocławską wygrał wówczas wałach Emanuel, wyhodowany w Stadninie Koni Golejewko. Jako zwycięzca tej gonitwy Emanuel w tym samym roku wystartował w Wielkiej Pardubickiej. Bez problemu pokonał trzy pierwsze przeszkody, w tym tzw. Małą Wodę, po czym zmierzył się z najtrudniejszą przeszkodą tego wyścigu, jaką jest Wielki Taxis. Przeszkoda ta to potężny żywopłot, za którym znajduje się głęboki rów i zeskok położony niżej niż odskok. Emanuel, najeżdżając na nią, miał sporo miejsca,



Pardubice – Velka Woda

by należycie wyliczyć odskok, co dało pełny i piękny skok. Lądując, jednak przewrócił się, wykonując trzy pełne salta – po czym padł martwy. Sekcja zwłok wykazała, że przyczyną tego było pęknięcie aorty. Ponadto koń miał nienaturalnie mały mięsień sercowy. To tłumaczyło, dlaczego Jacek Olejnicki, startując na nim w zawodach WKKW, na crossach zwykle tracił w końcówkach, których Emanuel po prostu nie wytrzymał.

Wyjazdy Maćka z wrocławskimi końmi do Pardubic odbywały się corocznie. I tu okazywało się, jak nieocenionym opiekunem koni był Zygmunt Olszta. Dniami i nocami nie spuszczał z nich oka, karmił, okrywał derkami, wcierał regenerujące maści, czy wreszcie stępował je w rękę.



Maciek tymczasem brylował na salonach.

Większość ekip startujących w Pardubicach nocowała w tych czasach w hotelu Złoty Szczupak. Tam Wróbel nie pozwalał nikomu od siebie odpocząć. Był duszą towarzystwa, gawędziarzem i kawalarzem. Jego energia udzielała się wszystkim, a zabawy w Złatej Štice trwały do późnych godzin nocnych.

W pamięci utkwilo mi jedno zabawne zdarzenie. W ogromnej restauracji hotelowej, przy jednym ze stolików, siedziała elegancka pani w towarzystwie małego synka trzymającego na sznurku dmuchany balonik. W pewnym momencie balon wymknął się z rąk malca i wylądował pod sufitem. Wezwani na pomoc kelnerzy, o błyszczących brylantyną fryzurach, bezradnie rozkładali ręce. Tylko nie Wróbel. Błyskawicznie ustawił trzy stoły jeden na drugim, na najwyższym umieścił jeszcze krzesło, po czym wspiął się na samą górę, chwycił balonik i zwrócił go uradowanemu chłopczykowi. Sala wybuchła owacjami dla Maćka, a ten skłonił się głęboko wszystkim i rzucił: „Do usług”.

Nieposkromionej energii Wróbla byłem świadkiem wielokrotnie. Ale nie tylko w zabawie ją wylądowywał. Był tytanem pracy – nieraz dziwiliśmy się, że po wspólnych nocnych zabawach, my przychodziliśmy do pracy ledwie żywi, a on świeży i pachnący pojawiał się w biurze, jak gdyby nigdy nic.

Podczas niemal 8-letniej obecności Maćka na wrocławskim torze służyłem mu swą wiedzą jako radca prawny. Każdy, kto go zna, wie, jak trudna



Josef Vaňa przed startem do gonitwy



to była rola. Uparty, obstawał przy swoim, mimo iż nierzadko się mylił. Dopiero po latach, i to niechętnie, przyznał mi, że akurat w tych sprawach to ja częściej miałem rację.

W maju 1990 roku w kontrowersyjnych okolicznościach Maciek został zwolniony ze stanowiska kierownika wrocławskiego toru. Zarzuty, jakie stawiała mu ówczesna Dyrekcja PTWK w Warszawie, były dęte,



Grzegorz Wróblewski na koniu Cedr – Mistrzostwa Polski Oldboyów, Brzeg 1996 r.

by nie powiedzieć wydumane. Ale to temat na inne opowiadanie. Niedługo potem Maciek znalazł się w Stadzie Ogierów w Książu, gdzie został dyrektorem po wygraniu konkursu. Przetrwał na tym stanowisku do jesieni 1991 roku. Śmiejąc się, opowiadał mi potem, że był ostatnim dyrektorem wyłonionym w konkursie, odwołanym przez radę pracowniczą. Akurat w skład tej w Książu wchodził m.in. traktorzysta, masztalerz i koniuszy. Ot takie czasy. Niedługo potem rady pracownicze odeszły do historii.

Dziś Maciek ze swą żoną Beatą prowadzi sklep jeździecki w Warszawie. Widujemy się sporadycznie, ale często rozmawiamy przez telefon. Oczywiście Maciek „sprzedaje” mi nowe – jego zdaniem – kawały, a ja, udając, że słyszę je po raz pierwszy, zaśmiewam się do łez.

WYŚCIGI

Wyścigi konne na wrocławskich Partynicach oglądałem nie tylko z trybun. Przez 35 lat byłem sędzią wyścigowym, zasiadając w Komisji Technicznej. Ostatnich kilkanaście lat spędziłem tam jako jej przewodniczący. Na mnie i kolegach spoczywała wielka odpowiedzialność, gdyż werdykty wyścigowe musiały zapadać i być ogłaszane nie później niż przed następną gonitwą, a orzeczenia te nie podlegały zaskarżeniu. Dopiero po latach w przepisach wyścigowych znalazło się miejsce dla Komisji Odwoławczej, czyli sądu wyścigowego II instancji. Mam ogromną satysfakcję, że przez lata przewodniczenia Komisji Technicznej we Wrocławiu, Komisja Odwoławcza nie uchylła ani razu naszych orzeczeń.

Zaczynałem w drugiej połowie lat 70. XX w., kiedy Komisji Technicznej przewodniczył Olek Metner – później mój wieloletni przyjaciel. Był wtedy prominentnym dyrektorem wielkiego przedsiębiorstwa, ale też zagorzałym miłośnikiem koni. Nawyki dyrektorskie powodowały, że pod rządami Olka w Komisji Technicznej nie było łatwo. Często jego ocena trudnych sytuacji w gonitwie była kompletnie odmienna od mojej, co prowadziło do zażartych sporów. Na szczęście o werdykcie decydowała większość głosów, a równowaga w głosowaniu, kiedy to decydował głos przewodniczącego – czyli Olka – była rzadkością.

Skład Komisji Technicznej przez lata zmieniał się nieustannie. Z czasów, kiedy pojawiłem się na wieży sędziowskiej, pamiętam Staszka Słowika i Grzesia Hermana. Z Warszawy, by nas wspomóc, często przyjeżdżał Andrzej Ryńca – ówczesny zastępca dyrektora PTWK, Tadeusz Milanowski – słynny „Milano”, czy Jurek Eliaszk jako sędzia starter, a także Andrzej Szydlik, Krystyna Karaszewska i Krzysztof Wolski. Dobrze pamiętam też Władysława Byszewskiego, Stanisława Łukomskiego, Henryka Helaka oraz Adama Wąsowskiego – wieloletniego lekarza weterynarii na służewieckim torze.

W ostatnich latach trzon komisji, poza mną jako przewodniczącym, stanowili: Anna Ganowicz, Józek Śnieżek, Staszek Przybylak, Grześ Ciszewski i Henryk Geringer. Na krótko, bo chyba tylko na jeden sezon wyścigowy, dołączył do nas



**WROCLAWSKI TOR WYŚCIGÓW
KONNYCH-PARTYNICE**



program

*wyścigów
konnych*



**7
niedziela
29 czerwca 2003
godz. 11.30**

**Nagroda „Okręgowego Związku
Hodowców Koni we Wrocławiu”**

7(155) ISSN 1234-53-50

Program wyścigowy

Kuba Kasprzak, wcześniej praktykujący jako sędzia na celowniku. To on wespół z Józkiem Śnieżkiem w 2004 roku pojechał na kilkudniowy staż do Francji, by na tamtejszych torach zgłębiać tajniki wyścigów kłusaków. Przez lata stał się niekwestionowanym autorytetem w tej dziedzinie. Od 2014 roku pracuje w dziale hodowlano-wyścigowym Polskiego Klubu Wyścigów Konnych w Warszawie, a także udziela się w pracach Komisji Technicznej na Służewcu.

Emocji, nie tylko sportowych, na wyścigach nigdy nie brakowało. Pamiętam, jak w sezonie 1981 roku niezadowoleni gracze gromadą wyszli na tor i trzymając się za ręce postanowili zablokować start gonitwy.



Sytuacja stała się niebezpieczna, gdyż na tor powoli zaczęły wychodzić już konie, a buntownicy nie zamierzali ustąpić. Wreszcie wszystkie konie zameldowały swą obecność na torze, ale zdezorientowani jeźdźcy nie wiedzieli, czy mają rozpocząć próbny galop. Zapanowała grobowa cisza. W tym momencie Olek Metner krzyknął: „Jazda!”. Pierwszy ruszył dżokej Ryszard Warsz, za nim Lesław Wołowiec, Jurek Surynt, a po nich reszta. Błyskawicznie znaleźli się przed kordonem graczy, którzy w ostatniej chwili „pękli” i rozpiezchli się na boki.

Innym razem, niezadowolony z orzeczenia Komisji Technicznej gracze, obłożyli wieżę sędziowską gazetami, usiłując nas podpalić, a kiedy to się nie udało, obrzucili ją kamieniami, wybijając szyby. Do dziś pamiętam Staszka Słowika demonstrującego nam pościę szkłem w wielu miejscach piękny, nowy garnitur.

Przez kilka lat obowiązki sędziego wyścigowego łączyłem z funkcją sprawozdawcy wyścigowego. Nie bardzo mi się to podobało, gdyż uważam, że praca komisarza technicznego jest aż nadto absorbująca, by łączyć ją jeszcze z mówieniem do mikrofonu. Niektórzy twierdzą, że dobrze mi szło i z przyjemnością słuchali mojego głosu dobiegającego z głośników. Bardzo się starałem, by mówić poprawną polszczyznę i z należytą dykcją. Tej przez lata uczył mnie Bogdan Treliński. Był on pracownikiem telewizji, a na wyścigach dorabiał sobie jako spec od nagłośnienia. To on nauczył mnie też miłości do muzyki bluesowej, sam zresztą grał na basie w znanej wrocławskiej kapeli Blues Connection razem z Jackiem Baranem, znanym wrocławskim muzykiem bluesowym i rock and rollowym.

Z tym moim spikerowaniem wiąże się wiele wpadek. W latach 90. XX w. i później, koni wyścigowych na Partynicach w większości dosiadały dziewczyny. Pewnego dnia w jednej z gonitw nie było ani jednego jeźdźca – mężczyzny. Na prostej finiszowej dosiadająca faworyzowanego konia doświadczona dżokej zaczęła prowadzić go tak fatalnie i nadużywając przy tym bata, że nie wiedząc, iż mam jeszcze włączony mikrofon, rzuciłem wściekły: „Ta pipa nigdy nie nauczy się jeździć!”. I tak to poszło po trybunach. W jednej chwili zorientowałem się, że Bogdan nie zdążył



KOMISJA TECHNICZNA W SEZONIE 2003

L. Karpina – przewodniczący
G. Ciszewski
M. Ganowicz
J. Śnieżek
B. Treliński
S. Przybylak

Sędziowie starterzy

– M. Rafalski, J. Borkowski

Sędzia przy wadze

– J. Januszewska

Sędziowie przy celowniku

– M. Szewczyk, J. Kasprzak

Dyżurni lekarze medycyny

B. Bidzińska, E. Jaźwińska – Tarnawski

Dyżurni lekarze weterynarii

- prof. A. Modrakowski, P. Różycki,
R. Henklewski

Informacja wyścigowa



– jak zawsze, gdy konie minęły celownik – wyłączyć mojego mikrofonu. Przerażony próbowałem natychmiast przeprosić publiczność, ale koledzy z komisji, widząc tarzających się ze śmiechu ludzi, przekonali mnie, że lepiej udać, iż nic się nie stało. Tak też zrobiłem, ale wezwana przed oblicze komisji amazonka, śmiertelnie dotknięta, zarzuciła mi, że publicznie ją znieważylem. Wyparłem się, jak św. Piotr Chrystusa, mówiąc, że nie może wiedzieć, iż to ją akurat miałem na myśli, skoro w gonitwie startowały same



Autor na wieży sędziowskiej – czerwiec 1988 r.

panie. Udała, że ją przekonałem, ale do dzisiaj, kiedy się spotykamy, na wspomnienie tamtego wydarzenia uśmiechamy się porozumiewawczo.

Innym razem doświadczona amazonka pojechała końcówkę wyścigu tak fatalnie, że nie uniknęła wizyty w komisji. Zapytana, co spowodowało taką jazdę, chwilę milczała, po czym desperacko odparła: „A taka jakaś dzisiaj jestem nieprzetkana”.

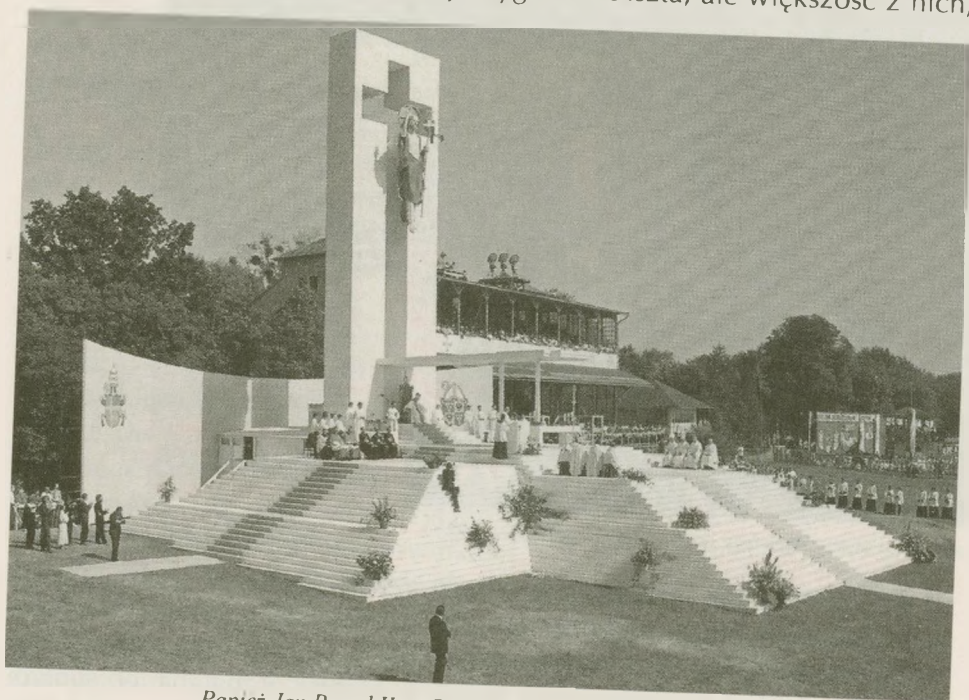
Któregoś dnia wyścigowego w gonitwie spotkały się m.in. dwa konie, które ktoś idiotycznie nazwał „Łapówka” i „Donos”. Akurat oba one toczyły zaciętą walkę o zwycięstwo na prostej finiszowej, więc krzychałem do mikrofonu: „Łapówka wychodzi na front, Donos nie odpuszcza, Łapówka, Donos, Łapówka, Donos...”. Wtedy któryś z graczy stojących nieopodal krzyknął: „No zdecyduj się wreszcie – bierzesz czy donosisz?”.

Były też zdarzenia dramatyczne. Niewątpliwie najbardziej tragicznym była śmierć na torze Katarzyny Litwiniuk. Dnia 20 sierpnia 1995 roku startowała w gonitwie płotowej. Była to 163 gonitwa w jej karierze. Upadła wraz z koniem na ostatnim płocie, a więc wprost przed trybunami, niedaleko celownika. Niestety, wypadku tego nie przeżyła.

Na prośbę rodziny przygotowałem mowę, którą miałem wygłosić na cmentarzu. Niestety, po kilku zdaniach słowa uwięzły mi w gardle i nie byłem w stanie dalej mówić. Wszyscy płakali.

Od tego czasu, ku pamięci Kasi, odbywa się gonitwa – Memoriał Kasi Litwiniuk. Zawsze, jak wtedy, gdy tak fatalnie upadła, w dziesiątym dniu wyścigowym.

W marcu 1997 roku w stajni usytuowanej w podwórzu, obok ambulatorium dla koni, wybuchł pożar. Śmiertelnie zarażono wtedy kilka koni. Z ognia próbował wyprowadzić je Zygmunt Olszta, ale większość z nich,



Papież Jan Paweł II na Partynicach – 21 czerwca 1983 r.

kopiąc i wierzgając, pozostała w boksach. Wielkie oburzenie wzbudził na Partynicach artykuł w jednej z wrocławskich gazet, opatrzony przejmującą fotografią wyciąganych po pożarze ze stajni martwych koni. Autor artykułu, zaatakowany przeze mnie, nie widział nic niestosownego w takiej oprawie swego tekstu.

Były też zdarzenia doniosłe, które wryły się w moją pamięć na zawsze. To dzień 21 czerwca 1983 roku. Wtedy na partynickim hipodromie



wylądował papież Jan Paweł II, by odprawić niezapomnianą mszę polową. Już od poprzedniego dnia na Partynice ciągnęły tłumy. Przed furtką do naszego domu moja mama ustawiła stół z zimnymi napojami i pysznym sernikiem, którymi częstowaliśmy przechodzących pielgrzymów. Podobnie postąpili inni sąsiedzi. Atmosfera była podniosła i pełna zadumy. Były to czasy świeżo po stanie wojennym, a msza celebrowana przez Karola Wojtyłę, papieża Polaka, dodawała niestychanej otuchy. Gdy się rozpoczęła, na torze było około miliona ludzi. Wszechobecni milicjanci i esbecy, jakby zapadli się pod ziemię. Czuliśmy się w tych chwilach wolnymi ludźmi, a żal, gdy papież wsiadł do śmigłowca i odleciał, był dojmujący. Do dziś pamiętam donośne skandowanie zgromadzonych: „Zostań z nami! Zostań z nami...!”.

Jestem głęboko przekonany, że wizyta papieża na partynickim hipodromie pomogła uratować to miejsce przed zakusami władzy. Mówiło



Bretania. Klusaki na torze

się powszechnie, że to idealny teren na garaże dla pojazdów pancernych ZOMO, a także na lądowisko dla wojskowych helikopterów. Od tego pamiętnego dnia głosy takie ucichły.

W tych czasach na Partynicach biegały głównie konie półkrwi, araby, a w gonitwach płotowych i przeszkodowych konie pełnej krwi angielskiej. To, że te ostatnie nie biegały w gonitwach płaskich wynikało z porozumienia władz wyścigowych i hodowlanych, które postanowiły wtedy,



że na Służewcu biegać będą folbluty oraz konie czystej krwi arabskiej. Partynicom pozostawiono zaś organizację prób dzielności koni półkrwi i późniejszych arabsów.

Wyścigi konne na Partynicach rozgrywane dziś folblutami, arabami, a także kłusakami, coraz bardziej tracą swą podstawową funkcję, jaką jest selekcja hodowlana koni urodzonych w Polsce. Coraz więcej pojawia się na torze koni z innych krajów, i to bezsprzecznie czyni wyścigi bardziej atrakcyjnymi. Wyścigi konne przede wszystkim służyć miały



Tor w Caen. Krzątania przed gonitwą kłusaków

jednak jako próby dzielności koni polskiej hodowli. Dziś w coraz większym stopniu sprawdzają się konie obce, a selekcja wyścigowa koni rodzimych zesłała na plan dalszy.

W 2004 roku na wrocławskich Partynicach pojawiły się wyścigi kłusaków. Był to efekt porozumienia pomiędzy Cheval Français – stowarzyszeniem organizującym wyścigi kłusem we Francji – a Polskim Klubem Wyścigów Konnych i Wrocławskim Torem Wyścigów Konnych Partynice. Gonitwy kłusacze stanowiły dla nas, sędziów wyścigowych, nowe wyzwanie. Szkoliliśmy się u francuskich trenerów tej dyscypliny, takich jak Benoit Fabrega, Andre Meunier czy Guillaume Maupas, którzy często przyjeżdżali do Wrocławia. Musieliśmy nauczyć się nowych ról, zarówno ci z nas, którzy obserwowali gonitwę z wieży sędziowskiej, jak i ci, którzy podążali za końmi samochodem. Szczególnie ważne zadanie przypadało sędziemu starterowi, który puszczał sulki z tzw. ręki, tym bardziej trudne, gdy konie ruszały z kilku rzędów.



W 2008 roku wraz z Grzegorzem Ciszewskim, Małgorzatą Chańką (byłą kierowniczką hipodromu Sopot) i Małgorzatą Sakwerdą, jako tłumaczką, poleciliśmy do Francji poznawać tory dla kłusaków. Byliśmy oszołomieni rozmachem tych wyścigów, które we Francji stanowią cały przemysł. Poznaliśmy tory w Le Lion-d'Angers, Caen, Enghien i słynny żużlowy, paryski tor Vincennes, gdzie wyścigi odbywają się wieczorami przy świetle elektrycznym. Tam po raz pierwszy w życiu widziałem wyścigi kłusem dosiadanym, tzw. monte. Towarzyszył nam w charakterze przewodnika niezawodny Benoit Fabrega, który sam przed laty święcił ogromne sukcesy w wyścigach sulkami.

Ostatniego dnia pobytu piętrowym autobusem zwiedzaliśmy zapamiętane Paryż. Grześ, który w stolicy Francji był po raz pierwszy, raz po raz powtarzał: „Męka luksusu, męka luksusu...”.

Przed odlotem zrobiliśmy zakupy w małym sklepiku, nieopodal hotelu, w którym mieszkaliśmy. Starszy pan siedzący przy kasie próbował odgadnąć z naszej mowy skąd pochodzimy. Wymieniał nazwy różnych krajów, ale nie trafiał. W końcu, kiedy odpowiedzieliśmy – Pologne, uśmiechnął się szeroko, unióś dwa palce w geście zwycięstwa i rzekł: „Lech Walesa!” Powiedział to z wielkim szacunkiem. Szkoda, że w Polsce nie traktuje się podobnie naszych wielkich rodaków.

Dwa lata wcześniej, wraz z kolegami z pracy, pojechałem na wycieczkę autokarową do Amsterdamu, Brukseli i Londynu.



Witamy w Ascot. Autor z żoną



Trybuny i bieżnia toru Ascot

Do Anglii dojechaliśmy Eurotunelem, co było wielką atrakcją. Kilka dni przeznaczonych było na zwiedzanie Londynu. Mnie jednak interesowało tylko to, by urwać się z wycieczki i zwiedzić słynny tor wyścigów konnych w Ascot. Z hotelu na Wembley zabrała mnie moja kuzynka Marta. Po drodze minęliśmy monumentalny Windsor – siedzibę królowej angielskiej. Jeśli na wieżach zamkowych powiewa flaga, oznacza to, że gości tam akurat królowa. Tego dnia żadnej chorągwi nie zauważyliśmy.

Ascot zastaliśmy senne i wyludnione. Wyścigi miały odbyć się dopiero w weekend. To małe miasteczko żyje wyłącznie wyścigami. Wszędzie napotykaliliśmy akcenty związane z gonitwami. Knajpka, do której weszliśmy, oczywiście oferowała siedzenia w siodłach jeździeckich, a na ścianach wisały stare sztychy przedstawiające wyścigi.

Wszystkie wejścia na tor były zamknięte, a kołowrotki do liczenia publiczności opatulone były jeszcze folią. Niedawno zakończyła się gruntowna przebudowa obiektu. W biurze toru poinformowano nas, iż zwiedzanie toru nie jest możliwe. Tego dnia był zamknięty. Olśniło mnie, że w portfelu powinienem mieć licencję sędziego wyścigowego ze zdjęciem i informacją, że została wydana przez polski Jockey Club. Na jej widok pani za koniuartem uśmiechnęła się szeroko i zapraszającym gestem otworzyła drzwi.



Spędziliśmy tam parę godzin. Spodziewałem się ujrzeć stare drewniane trybuny z mosiężnymi gałkami, tymczasem zobaczyłem na wskroś nowoczesne ze szkła i aluminium. W ich centralnej części znajdowała się oczywiście loża honorowa dla królowej i jej rodziny. Zachwycił mnie stan utrzymania bieżni wyścigowej. Prawdziwa angielska trawa, pielęgnowana przez stulecia. Praktyczne, białe kanaty ze sztucznego tworzywa, wszędzie klomby pełne kwiatów i egzotycznych krzewów. Oczami wyobraźni widziałem wielobarwny tłum pań w ozdobnych, wymyślnych kapeluszach i panów w eleganckich, czarnych cylindrach.

Kiedy powróciłem do kraju i zawitałem na Partynice, nie czułem jednak rozczarowania. Tor wrocławski, ze swoją pięknie odrestaurowaną zabudową, starodrzewem, który – w odróżnieniu od Służewca – skutecznie odgradza jego teren od miejskiej zabudowy, o każdej porze roku jest piękny.

To miejsce, na bez mała cztery dekady, stało się moim drugim domem. W 2013 roku byłem tam po raz ostatni, bo zawładnęli nim ludzie, z którymi nie jest mi po drodze. Boleję nad tym nieustannie, a tor partynicki, jego stajnie, a nade wszystko konie, śnią mi się niemal każdej nocy. Jednak, jak mówi piosenka: „(...) inny tam w kominach hula dzisiaj wiatr (...)”.



Już blisko do celownika. Tor Partynice

PARTYNICKIE PRZYPADKI

Kiedy już przyzwoicie nauczyłem się jeździć konno, moje wypadki do stajni stały się codziennością. Przebierałem się w domu, po czym na skróty przez park Kleciński, a następnie pod mostem na rzece Ślęzie i sąsiadującym z nim wiaduktem kolejowym, docierałem na ujeżdżalnię. Plac, na którym jeździliśmy, ogrodzony był stalowymi rurami, choć wcześniej przez wiele lat pozostawał bez jakiegokolwiek zabezpieczenia. Trzeba było bardzo uważać, szczególnie wtedy, gdy pobliskimi torami nadjeżdżał pociąg. Maszyniści, widząc zastęp koni, z upodobaniem włączali sygnały, gwizdząc na potęgę. Ile razy wyładowałem z tego powodu na ziemi – nie zliczę. Z czasem poznaliśmy i zapamiętaliśmy godziny przejazdu poszczególnych składów, zdołaliśmy więc w porę unikać zagrożenia. Z ujeżdżalni wracaliśmy do stajni najpierw obok karuzeli, w których stępowały konie wyścigowe, a następnie między stajniami dla wyścigowych półkrewków, jak i koni rekreacyjnych, a także tych, które dotarły na Partynice ze Słuzewca na przechowanie.

Stajnia sportowa mieściła się w podwórzu, sąsiadując z ambulatorium dla koni. Tam niepodzielne rządy sprawował profesor Andrzej Modrakowski, który na wrocławski tor trafił w 1953 roku, a więc w roku mojego urodzenia. Był znakomitym końskim ortopedą. Czasami wsiadał na konia i odbywał z nami przejażdżki po łąkach nad Ślężą i po tzw. ślepym torze. Zdarzało się, że na jazdę udawał się w pojedynkę.

Pewnego dnia, po upływie godziny od wyjazdu profesora, do stajni powrócił galopem koń, ale bez jeźdźcy. Ubrudzone błotem siodło świadczyło o tym, że stało się coś złego. Było upalne, kwietniowe południe. Właśnie skończyłem jazdę na trzech kolejnych koniach i marzyłem tylko o tym, by zdjąć nowo wyfasowane od szewca buty i sukienne, *maszталerskie* bryczesy. Ciągłe płaciłem jeszcze frycowe, więc bez szemrania, choć niechętnie, przyjąłem decyzję, że to właśnie ja mam udać się na poszukiwania doktora. Skierowałem swe kroki na tor, a Michał Przybylak zaczął penetrować łąki nad rzeką. Trawa na torze była wysoka, jeszcze nie koszona, więc poszukiwania nie były łatwe. Przy okazji wypląsałem kilka par zajętych miłosnymi igraszkami. W końcu, nieopodal rowu



melioracyjnego, przecinającego w poprzek tor steeplowy, znalazłem profesora. Leżał na plecach i głośno jęczał.

Nie było wtedy telefonów komórkowych, więc zapewniłem go, że zaraz wezwę pomoc, po czym pobiegłem do najbliższego telefonu, skąd wezwałem pogotowie ratunkowe. Kiedy wróciłem na miejsce wypadku, był tam już Michał Przybylak. Zziąjany dotarłem do stajni, gdzie czekała mnie kolejna niespodzianka. Wszyscy okazali się być akurat bardzo zajęci, więc wytypowali mnie bym zabrał się karetką z pacjentem do szpitala i stamtąd zawiadomił rodzinę o wypadku. Rad nie rad musiałem się zgodzić. W karetce docent, bo tak go wtedy jeszcze nazywaliśmy, co chwilę tracił świadomość, ale trzymał się dzielnie. W pogotowiu ratunkowym zdecydowano o prześwietleniu kręgosłupa. Tu docent wyraźnie się ożywił, i to do tego stopnia, że próbował podszczypywać panie układające go na stole rentgenowskim. Dopiero później dowiedziałem się, że mój podopieczny był wielkim koneserem płci nadobnej. Ostatecznie wylądował w pobliskim szpitalu Bonifratrów. Tam go pożegnałem, życząc zdrowia.

Po powrocie do pracy docent wielokrotnie dziękował mi za opiekę, ofiarując mi nawet z okazji ślubu komplet pięknych, koktajlowych szklanek. Dziś zostały mi już tylko dwie – reszta się wytłukła.

Ale nie tylko wdzięcznością obdarzył mnie zacny docent. W dniu wypadku, jak to miał zresztą w zwyczaju, dosiadł konia w eleganckich bryczesach z irchowymi lejami, ale zamiast butów z długą cholewą, założył sandały tzw. chrystuski. Już na pogotowiu ratunkowym co chwila przepytawał mnie, czy jego wspaniałe sandały zostały należycie zabezpieczone. Patrzył na mnie przy tym pytającym wzrokiem, w którym wyczytałem nie-me podejrzenie: czy ty przypadkiem synku nie ukradłeś mi ukochanych laczków? Nigdy oczywiście takie pytanie z jego ust nie padło, ale ilekroć wracaliśmy w rozmowach do tych wydarzeń, zawsze ubolewał nad utratą sandałów, które wtedy rzeczywiście gdzieś zaginęły. I przyglądał mi się uważnie z nadzieją, że czymś się zdradzę.

Profesor był niezwykle towarzyski, z czasem i mnie obdarzył swą przyjaźnią. Kiedyś, gdy niemal wszystko można było kupić tylko na kartki, dowiedziałem się, że w najbliższych dniach drastycznie zdrożeje alkohol. Zebrałem więc od wszystkich abstynentów, których znałem – a nie było ich za wielu – kartki na alkohol i przy ich pomocy zakupiłem spory zapas wódki. Schowałem ją w pawlaczu, pod sufitem w przedpokoju.

W jaki sposób docent się o tym dowiedział, do dziś nie mam pojęcia. Dość, że razem z Wróblem gościli u mnie tak długo, aż cały mój zapas przestał istnieć.

W stajni sportowej niezapomnianą postacią był dziadek Lipko. Pracował w niej jako zwykły stajenny, choć sposób mówienia zdradzał staranne wykształcenie. Był warszawiakiem z tzw. małą maturą. Pamiętał



Powstanie Warszawskie, choć nie chciał o nim opowiadać. Mieszkał w hotelu pracowniczym, który mieścił się wówczas w budynku nad jedną ze stajni wyścigowych.

Niestety, dziadek miał jedną, ale poważną przypadłość. Nie stronił od alkoholu do tego stopnia, że niemal codziennie znajdował się w wybor-
nym humorze. Patrzyliśmy na to z wyrozumiałością, bo dbał o konie i nigdy nie zawiódł. Ledynie kierownik toru Staszek Przybylak polował na dziadka bezustannie. Wielokrotnie obserwowałem zabawne sceny, jak z niemego filmu. Dziadek niosący wiadra z wodą (nie było wtedy jeszcze w stajniach automatycznych poidel) na widok nadchodzącego kierownika płynnie wykonywał w tył zwrot i znikał gdzieś za stajnią. Dopiero, gdy zagrożenie minęło, wracał i przystępował do pojenia koni. Zdarzyło się kilkakrotnie, że nie zdołał w porę salwować się ucieczką i wtedy obrywał solidny opeer. Potrafił jednak tak zabawnie i z humorem prosić o litość, że zawsze ostatecznie kończyło się na niczym.

Pewnego dnia dziadek zniknął i nie pojawił się w pracy przez dwa dni. Szybko okazało się, że wylądował na dołku w pobliskim komisariacie, podejrzany o włamanie do kurnika i kradzież kilkunastu kur. Dowody wydawały się bezsporne, bo milicja jak po sznurku trafiła do pokoju dziadka, gdzie zastała go gotującego smakowity rosół. A że wokół pełno było pierza, sytuacja była jasna. Dopiero potem okazało się, że to nie dziadek włamał się do kurnika, a tylko życzliwie przyjął od sprawcy drobiowy łup, gdyż wszyscy w hotelu wiedzieli, że obdarzony jest on nieprzeciętnym talentem kulinarnym.

Po 48 godzinach dziadek wrócił do stajni. Był smutny i nie odzywał się ani słowem. Dopiero po jakimś czasie wyraził swój żal, że tak szybko został zwolniony, gdyż nigdzie nie jadł lepszych schabowych niż w areszcie.

Jazdy odbywaliśmy wtedy przeważnie na łące przylegającej do rzeki Ślęzy. Gdy było ciepło, takie warunki były wystarczające. Gorzej było w zimie. Nikt wtedy nie marzył o krytej ujeżdżalni. A zimy były w tych czasach śnieżne i mroźne. By jakoś ułatwić sobie i koniom życie, wysypywaliśmy na sporym okręgu obornik i na takim chodniku trenowaliśmy.

W podwórzu, naprzeciwko stajni sportowej, był magazyn prowadzony przez wiecznie uśmiechniętą Jadzię Przybylską, potem zastąpiła ją żona trenera Tadeusza Dębowskiego – Miła. Obok funkcjonował rymarz, u którego naprawialiśmy sprzęt, najczęściej zerwane puśliska. Posiadanie własnego siodła nobilitowało. Było o nie niezwykle trudno, gdyż jedyny chyba wtedy ich wytwórca w Polsce z Pleszewa nie nadążał z produkcją.

U szczytu budynku, gdzie mieścił się magazyn i rymarnia, znajduje się kuźnia. W niej, odkąd pamiętam, pierwsze skrzypce grał Ryszard Mamajek. Roboty miał aż nadto, jeśli zważyć, że licząc konie wyścigowe, sportowe i rekreacyjne, było ich okresami na torze około dwustu.



W stajni sportowej, w której koncentrowało się nasze życie towarzyskie, koniuszmy był przez jakiś czas Zygmunt Olszta. Spotkałem go pierwszy raz w Strzegomiu, a właściwie w Morawie, gdzie wraz z żoną Basią pracowali w tamtejszej stadninie. Przed laty jeździł steeple, mówił mi, że próbował też boksu. Przed pojawieniem się na Partynicach Olsztowie na krótko wylądowali w ośrodku jeździeckim w okolicach Białego Boru. Nie zagrzali tam długo miejsca.

W czasie, gdy trafili do Wrocławia, na Partynicach akurat oddawano do użytku dwa bloki mieszkalne, przeznaczone dla pracowników toru. Zygmuntovi, człowiekowi bardzo skromnemu, nie przyszło nawet do głowy, by złożyć podanie o przydział mieszkania. Uważał, że za krótko pracuje, więc musi poczekać. Kosztowało mnie sporo zdrowia, by nakłonić go do zmiany decyzji. Był tak uparty, że sam musiałem napisać za niego stosowne pismo, on tylko je podpisał. Jakież było jego zdziwienie, gdy otrzymał piękne, czteropokojowe lokum, którego okna od północnego wschodu wychodziły wprost na bieżnię toru. Rano więc, nie ruszając się z domu, mógł nie tylko słyszeć, ale i widzieć konie na tzw. robocie.

Jak już wspomniałem wcześniej, w latach 90. XX w. na torze wrocławskim zaczęły w gonitwach dominować kobiety. Nie prezentowały



Ewa Pruska na ogierze Pepton

większych umiejętności od panów, ale wyścigi stały się bardziej uczciwe, niż bywało wcześniej. Rozwijały tu swój niewątpliwy talent amazonki: Izabela Potempa, Małgorzata Kryszylowicz, Mariola Andryszczyk, Joanna

Fornal-Laskosz, Justyna Domańska, Natalia Hendzel, Patrycja Szczepańska i wiele innych.

Wcześniej, w dobie dominacji na torze panów, pojawiła się na torze dziewczyna o niezwykłym talencie. Była to Ewa Pruska, dziś po mężu Cybulska. Trafiła do Wrocławia z Warszawy jako kandydat dżokejski (jeździec wyścigowy, który wygrał nie mniej niż 50 gonitw, ale nie wygrał 100 wyścigów). To właśnie we Wrocławiu „dobiła” dżokeja, czyli wygrała setny wyścig w swej karierze. Była pierwszą kobietą – dżokejem w Polsce. Oglądanie jazdy Ewy to była czysta przyjemność. Znakomicie umiała posyłać konie, nie uciekając się do pomocy bata, a ponadto instynktownie wiedziała, kiedy zaatakować w dystansie, a kiedy na krótko przed celownikiem.

Wraz z mężem Markiem mieszkała przez kilka lat w domku trenerów. Z czasem zaprzyjaźniliśmy się i do ich wyjazdu w 1981 roku do Niemiec często się odwiedzaliśmy. Marek jest doskonałym chirurgiem i do niedawna jeszcze praktykował. Od lat mieszkają w małej, frankońskiej wiosce Großgarnstadt, gdzie corocznie ich odwiedzamy, wracając z nart w Alpach.

Często pojawiałem się w domu konno. Było to łatwe nie tylko ze względu na bliskość toru, ale także i dlatego, że nie musiałem przekraczać ruchliwej ulicy Karkonoskiej, stępując najpierw pod wiaduktem kolejowym, a potem pod mostem na Ślęzie i dalej przez park Kleciński. Nierzadko na podwórzu pojawialiśmy się w kilka koni. Zawsze czekała na nas Beti, która częstowała przyjezdnych kieliszkiem zmrożonej, białej wódki, podanej na srebrnej tacy. Za każdym razem uprzedzałem o naszym przyjeździe. Któregoś dnia przyjechaliśmy jednak niezapowiedziani. Beti, niosąc tacę poślizgnęła się na wypastowanej podłodze. Wykonała kilka ekwilibrystycznych ruchów, by nie upaść i mimo że boleśnie zawadziła o kant starego kufra, nie upuściła tacy. Do dziś opowiadam o tym z dumą.

Innym razem podjechaliśmy do domu od strony ogrodu. Akurat gościła u nas moja ciotka Marysia z Zielonej Góry. Była wdową po wuju Walentym, ułanie 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich. I to właśnie ona przez okno na parterze próbowała podać nam tacę. Kiedy potknęła się o bujany fotel straciła równowagę, ale po chwili, łapiąc ją z powrotem, stwierdziła z przejęciem: „Bodaj by się lepiej PGR spalił, niżby wódka miała się wylać”. Taka to rodzina.

A propos, rodzina. Jak wielu innych, popełniłem klasyczny błąd, polegający na tym, że sam chciałem uczyć swą córkę Magdę jazdy konnej. Wpajałem jej m.in., że kiedy spadnie z konia, nie powinna od razu zrywać się na równe nogi, by uniknąć przypadkowego kopnięcia przez brykającego wierzchowca. Pomna moich nauk, kiedyś, gdy spadła z huculskiego konika, nie podnosiła się przez dłuższą chwilę. Trwało to i trwało, a ona nadal leżała płackiem na ziemi. Była zima, a ziemia była zamrznięta w twardą grudę. Podbiegłem do niej i chwyciłem za rękę. Dopiero wtedy żwawo się podniosła i rzuciła: „Przecież kazałeś mi leżeć – to leżę”.



Zdarzyło się, że do parku Klecińskiego konno pojechałem z Magdą. Ona na kasztanowatej Burcie, a ja na koniu, którego imienia już nie pamiętam. W pewnym momencie w galopie Burta czegoś się wystraszyła i gwałtownie stanęła. Magda poleciała przez głowę, upadając na plecy. Leżała przez chwilę nieruchomo, nie mogąc złapać powietrza. W końcu jednak wstała i podbiegła do Burty, która stała kilka metrów dalej, wyraźnie na nią czekając.

Wiosną 1998 roku Magda zdawała egzaminy wstępne na Wydział Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego. Wcześniej, dniami i nocami uczyła się do trudnych egzaminów, które jak pamiętam, pisała w towarzystwie około 5000 innych kandydatów we wrocławskiej Hali Ludowej. Obiecałem jej, że w nagrodę zorganizuję następnego dnia atrakcyjną przejażdżkę na dwóch klaczach ze Stajni Posadowo, które miał nam tego dnia odstawić trener tej stajni Staszek Borkowski. Magda zasnęła i na umówioną porę nie zdążyliśmy. W stajni pojawiliśmy się dużo później, a koniuszy wskazał nam dwie inne klacze, ponoć o spokojnym usposobieniu.

Kiedy wyjechaliśmy na tzw. orbitę, czyli żuźlowy tor wokół stajni, zza jednej z nich wyłoniła się ciężarówka pełna piasku. Kierowca na nasz widok bezmyślnie zatrąbił. Obie kobyłki stanęły dęba, a następnie, bijąc z zadu i z krzyża, błyskawicznie pozbyły się nas z siodeł. Klacz Magdy nie odbiegła jednak, jak to się zwykle dzieje, lecz odwróciła się zadem do wstającej Magdy i zaczęła wierzczać, trafiając ją kilkakrotnie. Ze Stajni Pruchna (chyba wtedy już Ochaby) nadbiegła trener Basia Olszta, która zajęła się Magdą, a ja próbowałem łapać konie. Jazdy już nie kontynuowaliśmy, gdyż Magda wyglądała niewyraźnie. Kiedy wróciliśmy do domu, na chwilę nawet zasłabla. Okazało się, że oprócz siniaków miała duży krwiak w okolicach brzucha, który jednak szybko się zresorbował.

Opowiadam przygody Magdy, gdyż są one przykładem, jak pełna niespodzianek może być nawet niewinnie zapowiadająca się przejażdżka. Beti, moja wspaniała żona, od początku niechętnym okiem patrzyła na jazdę konną Magdy, a po tym zdarzeniu kategorycznie się jej sprzeciwiała. I pewnie niewiele by wskórała, gdyby Magda uparła się przy regularnych jazdach, tyle że na studiach pochłonęły ją inne zajęcia, tak że kariery jeździeckiej już nie kontynuowała.

Umiejętność jazdy konnej pozostaje w człowieku na całe życie, jak np. jazda rowerem, toteż nie zdziwiłem się, gdy kilka lat później Magda zadzwoniła do mnie znad Bałtyku i oznajmiła, że właśnie galopuje brzegiem morza w Rewalu. Tego akurat bardzo jej zazdrościłem, gdyż nigdy taka niewątpliwa przyjemność galopu po plaży mnie nie spotkała.

Wreszcie, po pierwszych lekcjach, których jej udzielałem, zrozumiałem, że powinna trafić do kogoś innego, kto bardziej obiektywnie będzie oceniał postępy w jej nauce jazdy. Tak trafiła do wrocławskiego Akademickiego Klubu Jeździeckiego, w podwrocławskich Świniarach.



Wozilem ją tam kilka razy w tygodniu, a było to o tyle kłopotliwe, że ten studencki klub działał dokładnie po drugiej stronie miasta. Szkołę jazdy prowadził wtedy Łukasz Jankowski, później znakomity budowniczy parkurów, a obecnie sekretarz generalny Polskiego Związku Jeździeckiego.

Jeśli miałbym mieć jakiegokolwiek uwagi do metod treningowych Łukasza, to tylko tę, że według mnie preferował jazdę na ujeżdżalni, na zbyt długiej wodzy. W stępie, po galopie w terenie owszem, ale na placu wydaje się, że koń, by prawidłowo reagować na pomoce, winien być bardziej zebrany. Nigdy jednak uwag tych nie wyraziłem głośno, tym bardziej, że rozliczenie jazd u Łukasza było czysto koleżeńskie.

W czasach licealnych Magda dołączyła do nas w Sierakowie, gdzie na ogierach z tamtejszego stada odbywaliśmy wspaniałe jazdy w ostępach Puszczy Noteckiej.



Magda i jej ulubiony ogier Traper



Sport jeździecki na Partynicach istniał odkąd pamiętam. Władek Schmidt, Staszek Przybylak, Maciek Wróblewski, jak i Monika Słowik dbali, by oprócz wyścigów kwitło na torze życie sportowe. Początkowo była to sekcja jeździecka LZS, a od 1975 roku Rolniczy Ludowy Klub Sportowy Partynice. Jeźdźcy z Partynic byli łatwo rozpoznawalni, gdyż startowali w charakterystycznych zielonych frakach.

Od początku dominowali specjaliści od skoków przez przeszkody, dopiero pojawienie się Eli Morciniec wprowadziło na Partynice ujeżdżenie. Swych sił w WKKW próbował Staszek Borkowski, a przede wszystkim Krzysztof Ksztoń, ale bez większych sukcesów. Dopiero Artur Społowicz i Joanna Pawlak mieli okazać się w przyszłości znakomitymi specjalistami w tej konkurencji.

Artura poznałem na krótko przed przyjściem na tor Macka Wróblewskiego. Oczywiście najpierw startował w skokach przez przeszkody, z czasem dopiero postawił na WKKW. Do dziś mam w oczach pieklącego się Wróbla, który wpajał Arturowi, by po skoku koń lądował na tę nogę, z której następnie wchodził w zakręt.

Po latach Artur zaczął odnosić znaczące sukcesy. W 1991 roku został wicemistrzem Polski w WKKW, by już rok później sięgnąć po złoto. Do kompletu w 1996 roku dorzucił brązowy medal mistrzostw Polski. Był w polskiej ekipie na olimpiadzie w Atlancie w 1996 roku i w Pekinie w 2008 roku. Obecnie prowadzi w Jarosławce koło Chojnowa ośrodek jeździecki. Jest trenerem kadry młodych jeźdźców i juniorów w WKKW.

Joasia Pawlak jest dzisiaj bezsprzecznie najlepszą polską amazonką w WKKW. Zaczynała na Partynicach jako młodsiutka, szczupła dziewczynka. Uwielbiała startować w konkursach szybkościowych, gdzie o zwycięstwie decydował czas przejazdu. Te doświadczenia bardzo się jej przydały później w WKKW, szczególnie w crossie i na parkurze. Ona również ma w swej kolekcji medale mistrzostw Polski. W 2018 roku była druga wśród seniorów, a rok później trzecia. Wraz z polską ekipą zakwalifikowała się do startu na olimpiadzie w Tokio.



Jako spiker na zawodach skokowych, przedstawiając Asię po wjechaniu na parkur, zawsze podkreślałem jej niezwykle zaangażowanie i sportowy zapał. Kiedyś podziękowała mi za to w sposób szczególny. Będąc jeszcze małą dziewczynką, wypaliła z gliny figurkę pegaza, którą po jakimś konkursie mi podarowała. Ten skrzydlaty, ceramiczny konik stoi do dziś na półce w moim salonie.



Pegaz autorstwa Joanny Pawlak

Przez wiele lat konkursy skoków przez przeszkody na Partynicach odbywały się na placu, naprzeciwko tzw. małej trybuny. Było tam niewiele miejsca, a nierówny teren nie sprzyjał rozgrywaniu tej konkurencji. Coraz bardziej paląca stała się więc potrzeba stworzenia hipodromu skokowego z prawdziwego zdarzenia.

Pomysłodawcą i animatorem tego przedsięwzięcia był Staszek Borkowski. To on wypatrzył miejsce, choć na pierwszy rzut oka wybrany przez niego teren zupełnie się do tego nie nadawał. Był to plac, a raczej jar, biegnący od domku trenerów do letniej stodoły. Zarośnięty licznymi samosiejkami, pełen gruzu i kamieni wymagał tytanicznej pracy.

Całymi tygodniami, pod wodzą niestrudzonego Staszka, wybieraliśmy gruz i korzenie. W końcu wyprofilowany plac był gotowy. Wkrótce pojawiła się piękna, zielona murawa, a nieco później – zaprzyjaźniony z torem partynickim przedsiębiorca – Zygmunt Lach wykonał wokół placu szranki z pomalowanych na biało rur.



Od południowej strony wybudowano funkcjonalny domek dla sędziów i spikera. Parkur wyglądał przepięknie. Urody dodawały mu rosnące na środku drzewa, dające orzeźwiający cień w upalne dni. Szczególny podziw budziła okazała wierzba w narożniku. To właśnie tam przy okazji zawodów urządzano bary i kawiarenki pod parasolami.

Dziś, z nieznanych mi powodów, ten piękny i jeszcze tak niedawno tętniący życiem obiekt, popada w zapomnienie. Kilka lat temu zniknęła starannie pielęgnowana, zielona nawierzchnia i metalowe ogrodzenie. Nie odbywają się tam już żadne zawody w skokach. Łza się w oku kręci, że wielka praca, jaką włożono w urządzenie tego miejsca, poszła na marne.

Zimą natomiast na Partynicach nie ma kłopotów z organizacją zawodów jeździeckich. Służą temu dwie piękne kryte ujeżdżalnie. Mniejsza służy rozprężaniu koni przed konkursami, a większa stanowi główną arenę zmagania. Kiedy w 1997 roku dowiedziałem się od ówczesnej szefowej Partynic Moniki Słowik, że na łące, nad rzeką Ślężą powstanie kryta, pełnowymiarowa ujeżdżalnia, nie posiadałem się z radości. Wreszcie odchodziły w przeszłość treningi w trzaskającym mrozie i pamiętne jazdy na ścieżce z obornika.

Od początku istnienia RLKS-u bardzo zaangażowałem się w działalność klubu. To wtedy z Olkiem Metnerem, Staszkiem Słowikiem – ojcem Moniki, Grzegorzem Hermanem, Tadeuszem Łanowym i całą plejadą innych działaczy organizowaliśmy zawody w skokach przez przeszkody i coraz częściej w ujeżdżeniu.

Przygotowanie zawodów wyglądało krańcowo różnie niż dzisiaj. Wiele niezbędnych akcesoriów, takich jak chorągiewki umieszczane przy przeszkodach, plakaty, dyplomy czy floos, produkowaliśmy sami, gdyż sytuacja finansowa klubu czy federacji sportu zwykle nie pozwalała na ich zakup. Nikt nie pytał nikogo o poświęcony czas i pracę. Z czasem tak się zgraliśmy, że gdy zbliżał się termin zawodów, każdy wiedział, co ma robić.

Pamiętam dobrze te nerwowe chwile, gdy całkowicie pochłonięci byliśmy pracą przy zawodach i wreszcie odprężenie, gdy zawodnicy i trenerzy dziękowali nam za sprawną organizację imprezy.

W 1985 roku klub nasz otrzymał organizację mistrzostw Polski w ujeżdżeniu. Był to niewątpliwie ukłon w stronę Eli Morciniec, która była wtedy już trzykrotną złotą medalistką tych mistrzostw. Sęk w tym, że na Partynicach nie było ani jednego czworoboku, na którym taka impreza mogłaby się odbyć. Kiedy do jej rozpoczęcia pozostało już tylko kilka dni, Tadeusz Łanowy, a może Olek Metner – dziś już nie pamiętam, który z nich – wpadł na karkołomny pomysł. W tym czasie, nieopodal budynku administracji toru, trwały jakieś prace ziemne. Koparki je wykonujące na noc były zamykane na klucz. I właśnie one miały być wykorzystane do przygotowania czworoboku. W tamtych latach partynickim parkiem maszynowym rządziła niepodzielnie rodzina Wierzbickich, pod wodzą



najstarszego z nich pana Gienia. Był to tytan pracy, nie było dnia, by nie pracował po godzinach. Dość łatwo pan Gienio zgodził się włączyć do jednej z koparek i przez dwie noce przy jej pomocy szykował podłoże czworoboku. Oczywiście nikt z nas nie miał wtedy większego pojęcia, jak je profesjonalnie przygotować. Czas jednak naglił, nie było go zbyt wiele do stracenia. Ostatecznie czworobok powstał na ostatnią chwilę. Zadbaliśmy, by koparka użyta do jego budowy po zakończonej pracy była tankowana, tak żeby nikt nie zorientował się, że nocami wykonywano nią jakąś pracę. Podłoże tak przygotowane było miękkie i niemal po każdym koniu musiało być bronowane i wałowane, a także polewane wodą.



Medaliści mistrzostw Polski w ujeżdzeniu – Partynice 1985 r.

Oczekiwaliśmy, że Ela u „siebie w domu” wygra łatwo. Stało się inaczej. Na fatalnym, co tu dużo mówić, podłożu najlepiej poradził sobie Andrzej Sałacki, który wygrał wyraźnie. Ela na Frezie była druga, a na trzecim miejscu uplasował się Wojtek Dąbrowski reprezentujący SLKS Książ.

Z okazji mistrzostw Beti upiekła dla Eli Morciniec okazały tort orzechowy. Wraz z naszą, pięcioletnią wówczas, córką Magdą wręczyła go zaskoczonyj Eli, wzbudzając aplauz publiczności.

W drugiej połowie lat 70. XX w. ukończyłem kurs sędziego jeździectwa. Przez lata pracowałem potem w tym charakterze na rozmaitych zawodach, głównie we Wrocławiu i na całym Dolnym Śląsku. Z czasem dołączyłem do tego spikerkę. Praca z mikrofonem sprawiała mi dużą frajdę,





Autor przy mikrofonie

szczególnie gdy publiczność spontanicznie reagowała na moje słowa.

W latach 90. XX w. i w pierwszej dekadzie nowego stulecia na Partynicach niemal corocznie odbywały się mistrzostwa Polski w ujeżdżeniu, połączone z międzynarodowymi zawodami stanowiącymi eliminacje do Pucharu Świata w ujeżdżeniu – CDI.

Poznałem wówczas lepiej cały ujeżdżeniowy światek. Szczególnie utkwiły mi w pamięci zawody, które odbyły się we wrześniu 2003 roku. Tytuł mistrzyni Polski zdobyła wówczas urodziwa Magdalena Misztal-Kawecka, na świetnym Banco. Wśród młodych jeźdźców triumfowała nie mniej urodziwa Teresa Tomaszewska na Czakramie. Co ciekawe Joanna Pawlak wygrała wtedy zmagania najmłodszych jeźdźców na kucu Magnat. Ojcowie dwóch pierwszych amazonek – Bogusław Misztal i Krzysztof Tomaszewski – przez trzy dni zawodów obserwowali poczynania córek, przesiadując obok mojego spikerskiego stanowiska. Przegadaliśmy wiele godzin, a wieczorami zapraszałem ich na kawę do mojego domu.

Do dziś, szczególnie z Bogusiem Misztalem, utrzymuję stały, choć tylko telefoniczny kontakt. Często znajduję na moim WhatsAppie wierszyki jego autorstwa, w których wykipiwa on dokonania tzw. dobrej zmiany. Czytuję je z zainteresowaniem, a opinie tam wyrażane podzielam bez reszty.



Nie tylko wyścigi i zawody sportowe sprawiały, że Partynice przyciągały tłumy wrocławian. Co roku, po zakończonym sezonie, wszyscy bywalcy Partynic czekali z niecierpliwością na Hubertusa. Tego dnia plac przed małą trybuną zapelniał się odświętnie ubranymi uczestnikami biegu za lisem. Każdy z przybyłych dbał, by także i jego koń wzbudził podziw, choćby pięknie zaplecioną grzywą czy ogonem.

Punktualnie o godzinie 11 jeźdźcy ustawiali się przed publicznością. Z roku na rok liczba uczestników tej zabawy rosła. Szereg jeźdźców zaczynał się niemal od wieży Komisji Technicznej, i ciągnął się aż do pobliskiego stawu. Przedstawianie uczestników biegu przez spikera trwało kilka kwadransów. Początkowo biegi św. Huberta rozgrywano metodą klasyczną. Wszyscy próbowali dogonić jeźdźca z przypiętą do rękawa listą kity. Ten, który tego dokonał stawał się królem polowania. Zbierał pochwały, ale też miał pewien obowiązek – musiał postawić kielicha każdemu, kto się o to zwrócił. Widziałem więc wielokrotnie świetnych, ale nie nachalnie rozrzućnych jeźdźców, którzy z tego powodu nie przykładali się zbytnio i tylko markowali udział w pościgu.

Jeśli dobrze pamiętam, ostatni raz wystartowałem w Hubertusie na Partynicach w 2010 roku. Dosiadłem nie-młodego już Graba, który wprawdzie od kilku już lat chodził w szkółce, ale miał za sobą karierę wyścigową. Nie bacząc na mój, mocno już sfatygowany kręgosłup, zdecydowałem, że wezmę udział w najtrudniejszej odmianie gonitwy, czyli tej, która połączona była z pokonywaniem pomniejszych przeszkód **steepowych** w postaci zielonych hyrd. Mniej wprawni jeźdźcy tropili lisa ukrytego na rozległej łące toru wyścigowego. Grab, gdy tylko pojawił się na torze, zapomniał ile ma lat i ruszył ostro, jak za najlepszych, wyścigowych czasów. Pokonywałem przeszkody jedna za drugą w tempie zbliżonym do dyktowanego przez wukakawistów w próbie terenowej. Każde lądowanie świetnie skaczącego Graba powodowało w moich biodrach świdrujący ból. Kilkakrotnie o mało nie wyleciałem przez to z siodła, ale ambicja, by nie skompromitować się przed publiką, pomogła mi dotrzeć do końca. Szczęśliwie hyrdy, które pokonywałem, znajdowały się dość daleko od



widzów, więc pewnie nie zauważyli jak bardzo walczyłem, by nie spaść.

Na zakończenie pozwoliłem sobie jeszcze na dodany galopek przed trybunami, tak by nikt nie miał wątpliwości, że jestem wytrawnym jeźdźcem. Po biegu zaczynała się zabawa z nieodłącznym ogniskiem i bigosem. Bawili się wszyscy razem: wyścigowcy, sportowcy i amatorzy. Niemal każdy miał ze sobą coś mocniejszego, czym częstował pozostałych. Mieszały się różne trunki a następny ranek nie należał do najłatwiejszych. Ja niezmiennie serwowałem swoją pigwówkę, w której specjalizuję się od lat. Znaczący mówią, że smak i moc ma należytą.

Miejszem niezwykłym na Partynicach jest tzw. okrągłak, czyli okrągły budynek dawnej herbaciarni. Stoi na pagórku w pobliżu wieży sędziowskiej i tzw. łoża zarządu. To w nim przez lata bawiłem się na zabawach sylwestrowych, tu świętowałem kolejne rocznice mojego ślubu, tu wreszcie Magda, kiedy wyszła za mąż, urządziła poprawiny.

Oczywiście okrągłak służył przede wszystkim poważniejszym celom, jak np. narady po kolejnych przeglądach wyścigowych, spotkania z hodowcami i właścicielami koni bądź biuro zawodów sportowych, czy wreszcie kawiarenka dla gości wyścigowych.

Przed laty wynająłem okrągłak na spotkanie towarzyskie z zaprzyjaźnionymi prawnikami. Zjawilo się około czterdziestu osób, a więc tyle, ile akurat w okrągłaku wygodnie się mieści. Oczywiście oprócz wspaniałego



Krzysztof Naskręt i jego sanie



jadła serwowanego przez niezastąpioną Celinę Pochwatkę – żonę trenera Stajni Pępowo – nie brakowało też różnego rodzaju mocnych trunków. Jako gospodarz witałem każdego przybywającego gościa kieliszkiem zmrożonej wódki, a panie dodatkowo białą różą. Problem w tym, że goście się zmieniali, tylko nie ja.

Tej nocy spadł śnieg, więc niewiele myśląc, ogłosiłem, że jeśli przybędzie go dostatecznie dużo, następnego dnia zorganizuję przejażdżki saniami, którymi pokieruje Krzysztof Naskręt, niezapomniany wrocławski dorożkarz. Zarówno sanie, jak i bryczkę przechowywał w wynajętym na Partynicach garażu, więc logistycznie wszystko wydawało się łatwe.

Spałem może dwie lub trzy godziny, gdy obudziła mnie Beti, przypominając, że obiecałem gościom sannę. Z wysiłkiem dotarłem na tor, gdzie czekał już pan Krzysztof ze swoimi pięknymi, zielonymi saniami. Dopiero pod wieczór zjawiłem się ponownie w domu, gdzie łapczywie zjadłem porcję smakowitego bigosu podsunętego mi pod nos przez zatroskaną żonę. Niewiele pamiętam z tego, co się dalej działo od tego momentu. Dość powiedzieć, że znalazłem się w szpitalu, gdzie na sali podłączono mnie do różnych rurek. Szczęściem w nieszczęściu, następnego dnia zjawiła się u mnie lekarz kardiolog Elwira Metner, córka Olka. Wyraziła swe oburzenie tym, że wyplukując sobie prawie cały magnez i potas z organizmu, zajmuję miejsce w szpitalu bardziej potrzebującym. Na odchodne rzuciła, że następnego dnia opuścę szpital, ale ona ma kłopot, jaką przyczynę mojej hospitalizacji wpisać do epikryzy.

Pełen najgorszych obaw oczekiwałem poranka. Wypis, jaki otrzymałem, jest cudem diagnostyki medycznej: „Pacjent, lat 48 – zasłabnięcie po ewidentnym błędzie dietetycznym”. Zaświadczenie tej treści przedstawiłem swemu pracodawcy, usprawiedliwiając swoją dwudniową nieobecność. Przyjął je bez zastrzeżeń.

Przed każdym sezonem wyścigowym i po jego zakończeniu odbywały się na Partynicach wiosenne i jesienne przeglądy koni wyścigowych. Zjeżdżali się hodowcy z całej Polski, by przez kilka godzin na płycie między stajniami oceniać konie oddane do treningu.

Wśród wielu z nich pamiętam: Leszka Strzałkowskiego, hodowcę ze Stubna, z którym do dziś mam serdeczny kontakt, Kazimierza Bobika z Nowielic, w świecie jeździeckim znanego jako „Szeryf”, Bogdana Kuchejdę z Pruchnej-Ochaby, Jurka Strużyńskiego ze Strzelec Opolskich, Józka Pekańca i wielu, wielu innych.

Do Wrocławia przyjeżdżał też regularnie Jan Dąbrowski, hodowca z Pępowa, który znany był także jako znakomity akwarelista malujący konie. Pewnego dnia, podczas przeglądu, poprosiłem go, by namalował mi konia, na którym jeździłem w Sierakowie w czasie wakacji. Był to, wyhodowany akurat w Pępowie, ogier Bibosz, tym łatwiej więc pan Jan zgodził się spełnić moją prośbę. Widziałem wcześniej wiele jego prac



u Olka Metnera czy Tadzia Łanowego. Podobały mi się bardzo, więc i ja chciałem mieć obraz pana Jana w swej kolekcji. Ośmielony jego łatwą zgodą, poprosiłem, by na obrazie znalazł się nie tylko Bibosz, ale i ja na jego grzbiecie. Do tego wymyśliłem, by nie była to mała akwarela, ale okazał się olej. Na nic zdały się protesty pana Jana przekonującego mnie, że maluje tylko konie, a nie ludzi, i dobrze czuje się jedynie w technice akwarela.

Po kilku miesiącach zadzwonił telefon z Pępowa. Usłyszałem, że zamówiony obraz jest gotowy. Wybrałem się po niego maluchem, czyli fiatem 126p. Obraz był tak okazały, że ledwie zmieściłem go na tylne siedzenie. Do dziś zdobi ścianę mojego przedpokoju.

Gdzieś w połowie lat 80. ubiegłego wieku ze Stada Ogierów w Kłikowej trafiły na Partynice dwa srokaty hucyły – Perlona i Pastela. Miały zastąpić Ajaksa i Domalizę w wożeniu bryczką sędziego startera i kontrstartera do maszyny startowej. Dość łatwo uzyskałem zgodę na wyjeżdżanie nimi poza tor, na spacer. Ruch w tych czasach, w porównaniu z dzisiejszym, był – można powiedzieć – śladowy, więc bryczką zaprzęzoną w Perlona i Pastela zapuszczałem się w coraz dalsze rejony miasta.



Perlona i Pastela na ulicach Wrocławia. Powozi autor

Najczęściej i najchętniej przyjeżdżałem w okolice mojego domu, gdzie natychmiast oblegały mnie chmary dzieciaków, które cierpliwie woziłem po alejkach parku Klecińskiego. Byłem wtedy ich najwspanialszym kumplem.





Wożę dzieci w parku Klecińskim



SŁOWIKI

W tym, że całe życie Moniki Słowik wypełniły konie, nie ma przypadku. Dziadek ze strony mamy był kawalerzystą, ale Monika, jak to kobieta, nie potrafiła podać mi formacji, w jakiej służył. Rodzina ojca Moniki, Staszka, trudniła się hodowlą remontów, tj. młodych koni, które były uzupełnieniem pogłowia koni wojskowych.

W 1968 roku nagabywany przez 8-letnią wówczas Monikę tata Staszek zaprowadził ją na Partynice. Władek Schmidt, ówczesny kierownik wrocławskiego toru, kategorycznie odmówił przyjęcia jej do sekcji jeździeckiej. Za młoda – oznajmił. Ta jednak nie ustąpiła. Tata Staszek, sobie tylko wiadomym sposobem, załatwił Monice wakacje w stadninie koni w Kadynach. Spędzała je tam później przez kilka lat.

Kiedy już pewnie czuła się w siodle, ponowiła próbę dostania się do klubu na Partynicach. Tym razem Władek, zjednany nieustępliwością młodziutkiej amazonki, ustąpił. Trafiła do sekcji jeździeckiej, gdzie liczba koni była ograniczona, a chętnych do jazdy znacznie więcej. Był to czas Skalenia, Surmy, Arki, Biskwita, San Siro, Limonita, Dalmora i Caryny. Gdy akurat wypadał jej dzień wolny od treningu, przychodziła do stajni tylko po to, by po zakończonej jeździe stępować konie starszych kolegów.

Zaczynała od skoków przez przeszkody. W tym czasie nikt na Partynicach nie myślał o innych dyscyplinach jeździeckich. W 1974 roku Władka Schmidta na stanowisku kierownika toru zastąpił Staszek Przybylak. Bardzo preferował rozwijanie sportu na torze, ale zdecydował, że dziewczyny nie powinny skakać, tylko zająć się ujeżdżeniem.

Był to akurat czas, gdy na Partynice trafiła Ela Morcieniec. Dla Moniki skończyły się więc skoki na ulubionej Surmie, a nastał czas skarogniadego Woleja ze Stadniny Koni Rzeczna. Na nim startowała już w zasadzie tylko na czworoboku, nie licząc początkowych prób na parkurze. Oczywiście dosiadała też innych koni, m.in. Caluna, który tak mnie kiedyś bezlitośnie przeciągnął po torze. Któregoś dnia właśnie na nim wraz z kolegami pojechała w teren na tor. Po półgodzinie wszyscy wrócili do stajni. Brakowało tylko Moniki. Okazało



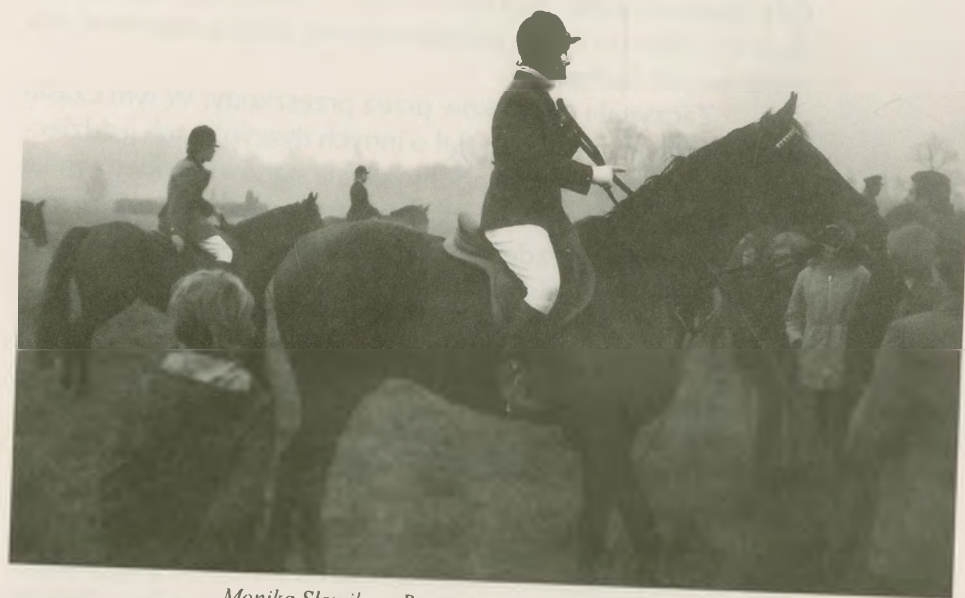
się, że Całun potraktował ją na torze dokładnie tak, jak kiedyś mnie. Gdy padło pytanie: „Gdzie jest Monika?“, Wojtek Wójcik rzucił lekceważąco: „Wróci, gdy Całunowi skończy się owies”.

Pierwsze zawody, jeszcze w skokach przez przeszkody, Monika zaliczyła w Rydzynie koło Kościana. Na drugie pojechała z Jankiem Pawlaczkiem, Wojtkiem Wójcikiem i Bolkiem Wyszatyckim do Książa, czy też Książna – jak to się wtedy mówiło. Po konkursach cała ekipa pojechała do pobliskiego Wałbrzycha na kolację.

Knajpa – typowa dla tamtych czasów. Z sufitu zwisał szklany zyrandol w kształcie ogromnej kuli. Parkiet stanowiła okrągła podłoga, obracająca się jednostajnie wokół własnej osi. Do kotleta rznąła kapela górnicza. W pewnym momencie dwóch górników pokłóciło się a następnie zaczęli się bić. Poszło oczywiście o kobietę. Jeden z nich wyszedł z knajpy o własnych siłach, drugi zaś zaległ na podłodze i średnio przytomny podróżował na niej w kółko.

Po powrocie do domu mama Moniki, pani Stefania, zapytała o wrażenia z zawodów. Jedyne, co Monika z nich zapamiętała, to facet obracający się na ruchomej podłodze.

Potem zajęła się już tylko ujeżdżeniem. Jeździła na zgrupowania nadziei olimpijskich do Książa, gdzie przyjeżdżali wtedy na konsultacje Wolfgang Müller z Loebnitz i Hubert Eichinger z wiedeńskiej szkoły jazdy.



Monika Słowik na Rogowie. Hubertus na Partynicach



W Książu, w 1978 roku, przydarzyła się jej zabawna historia. Przed wyjazdem na zawody do Książa tata Staszek poprosił Janka Pawlaczka, by ten pilnował córki. Zawodnicy mieszkali wtedy w dość prymitywnych domkach kampingowych z dykty. Janek Pawlaczek wraz z Wojtkiem Wójcikiem, chcąc ułatwić sobie zadanie, po prostu zamknęli Monikę od zewnątrz. Rano, zajęci sobą, zapomnieli o niej kompletnie i dopiero na pół godziny przed startem ją oswobodzili. Nie było już czasu na rozprężenie Woleja, który w efekcie zajął dalsze miejsce w konkursie. Ale córka troskliwego taty została dopilnowana jak chciał.

Pobierała też nauki u Mariana Kowalczyka na poznańskiej Woli, gdzie była wówczas, chyba jedyna w Polsce, kryta ujeżdżalnia.

A potem, chciałoby się powiedzieć: poszło wszystko zgodnie z planem. Studia zootechniczne we Wrocławiu i praktyki w Wądrożu Wielkim i Jarosławce – stadninie dającej wówczas doskonałe konie wyścigowe na warszawski Służewiec. A i nauczyciele znakomici: dyrektor stadniny Zdzisław Śniegucki i główny hodowca Roman Krzyżanowski. Później roczny staż w Golejewku i niezła szkoła u Macieja Świdzińskiego, którego miałem okazję poznać na wyścigach. I wreszcie dorosły debiut zawodowy na Partynicach, gdzie w 1985 roku trafiła do działu techniczno-selekcyjnego. Tu dostała chyba najtwardszą szkołę życia. Wróbel miał jedną prostą zasadę. Każdy jego pracownik musiał dawać z siebie maksimum. Z tym bywało różnie, ale Maciek publicznie zawsze twierdził, że jego ludzie są najlepsi.

Doświadczeni trenerzy wyścigowi i pracownicy stajni nie bardzo chcieli słuchać, nie dość, że młodej, to jeszcze baby. Wielokrotnie więc żaliła się Wróblowi na brak posłuchu u załogi. Ten w końcu nie wytrzymał i któregoś dnia zrugał ją ostro: „Ty młoda – ja nie mogę być ciągle twoją niańką. Weź się w garść i radź sobie sama”. Maciek sztorcował ją w swoim stylu – głośno i nie przebijając w słowach.

Dzisiaj, kiedy siedzimy na tarasie w moim ogrodzie, Monika przyznaje: „Z perspektywy lat widzę, że ta lekcja życia u Wróbla była mi bardzo potrzebna. Uodporniła mnie na ciężkie chwile, co jak pokazało życie, bardzo mi się w przyszłości przydało”.

W 1990 roku, po odejściu Maćka Wróblewskiego do Książa, na Partynice powrócił z Racotu Staszek Przybylak. Objął tor tylko na niespełna trzy lata, do czego przyczynił się m.in. jego stan zdrowia po poważnym wypadku samochodowym.

W dniu 1 kwietnia 1993 roku zadzwonił telefon ze Służewca. Ówczesny szef Państwowych Torów Wyścigów Konnych – Leszek Gniazdowski – oznajmił zdumionej Monice, że mianuje ją zastępcą kierownika toru we Wrocławiu. Nie był to jednak żart primaaprilisowy. Niedługo potem została już samodzielnym szefem Partynic. Dokładnie na dwadzieścia lat.



Monika Słowik – „Pani na Partynicach”

Początki nie były łatwe. Panował kryzys ekonomiczny. Rok 1993 to czas, w którym nie odbył się sezon wyścigowy na Partynicach, a w kolejnym zdołano rozegrać tylko jedenaście dni wyścigowych. Późniejsze zmiany własnościowe, czyli oddanie toru w dzierżawę miastu, a po trzech latach przekazanie go Wrocławowi na własność, spowodowały stabilizację sytuacji na torze. Rozpoczęła się wielka modernizacja Partynic. Stajnie wyścigowe zyskały nowe dachy i kanalizację. Wyremontowana została trybuna główna i tzw. mała trybuna. Przepięknie odrestaurowany został okrągłak i loża zarządu. Mało kto wie, że ogromna w tym zasługa Andrzeja Kontryma – dyrektora Przedsiębiorstwa Robót Izolacyjnych we Wrocławiu, a prywatnie wnuka słynnego cichociemnego Bolesława Kontryma, pseudonim „Żmudzin”. Nowe elewacje otrzymały budynki kas, a także siedziba sędziego u wagi. Odnowiono też wieżę sędziowską.

Liczba dni wyścigowych systematycznie rosła. Do półkreków i koni czystej krwi arabskiej dołączyły z czasem kłusaki francuskie. Biegały, choć wtedy jeszcze sporadycznie folbluty. Równoległe na torze bardzo dynamicznie rozwijał się sport. Sprzyjało temu stworzenie nowego hipodromu o trawiastej nawierzchni, a także pobudowanie nowoczesnej 40-boksowej stajni, dwóch krytych hal czy pawilonu do lonżowania koni. Wybrukowano wiecznie błotniste drogi wewnętrzne i ogrodzono plac treningowy w tzw. lasku lipowym.





Nowa kryta ujeżdżalnia na Partynicach

Partynice stały się salonem Wrocławia. Oprócz wyścigów i zawodów sportowych organizowano rozmaite otwarte imprezy, jak np. wyścigi psich zaprzęgów, wystawy zwierząt hodowlanych czy koncerty muzyczne. Wrocławskie przedsiębiorstwa chętnie wynajmowały tu teren dla organizacji plenerowych spotkań integracyjnych.

Monika Słowik dbała też, by bywalcom dni wyścigowych zaszcześcić rodzaj, panującej na torach europejskich, elegancji. Każdego dnia wyścigowego pojawiała się w efektownym kapeluszu – zawsze innym. Szybko dorobiła się przydomka „Pani na Partynicach”.

Z przykrością czytam wynurzenia nowej ekipy, władającej dziś Partynicami, sprowadzające się do totalnej krytyki dokonań ich poprzedników, a więc przede wszystkim Moniki, jej zastępcy Staszka Borkowskiego i innych. Zapominają, że w 2013 roku, kiedy to w sposób przypominający do złudzenia późniejsze wydarzenia w Janowie Podlaskim i Michałowie, doprowadzili do odejścia Moniki z Partynic, otrzymali do dyspozycji perłkę – wyremontowany, funkcjonalny obiekt, porównywalny do najlepszych tego typu miejsc w Europie.

Przez wiele lat wspierałem Monikę na Partynicach. Łączy nas do dziś starannie pielęgnowana przyjaźń. Kiedy i ja odszedłem w czerwcu 2013 roku z Partynic, nie zgadzając się na wprowadzane przez nową ekipę porządki, nie ukrywałem, że był to też rodzaj solidarności z poniewieraną

DNI WYŚCIGOWE i IMPREZY SPORTOWE 2007

Dni wyścigowe:

Kwiecień	15, 22, 29
Maj	13, 20, 27
Czerwiec	10, 17, 24 (Nagroda Prezydenta Wrocławia)
Sierpień	5, 12, 26
Wrzesień	2 (Nagroda Derby Półkwi), 9, 23, 30
Październik	7, 13, 21 (Zamknięcie Sezonu)

Imprezy sportowe:

12-13 maja	- Zawody Regionalne w ujeżdżeniu i skokach przez przeszkody
2-3 czerwca	- Zawody Regionalne w ujeżdżeniu i skokach przez przeszkody (Dzień Dziecka, Dzień Rekreanta)
1 lipca	- Zawody Regionalne w ujeżdżeniu i skokach przez przeszkody
11 sierpnia	- Zawody Regionalne w skokach przez przeszkody
18-19 sierpnia	- Mistrzostwa Dolnego Śląska i Zawody Ogólnopolskie w ujeżdżeniu
14-16 września	- Mistrzostwa Polski Seniorów, Młodych Jeźdźców, Juniorów i CDI w ujeżdżeniu (eliminacje Pucharu Świata)
22 lub 29 września	- Zawody Regionalne w skokach przez przeszkody
13 października	- Zawody Regionalne w skokach przez przeszkody
11 listopada	- Bieg Św. Huberta

Kalendarz imprez na Partynicach w 2007 r.

wówczas bezprzykładnie Moniką. Podobnie postąpili moi koledzy z Komisji Technicznej – Józek Śnieżek i Grześ Ciszewski. Monikę prześladowali nie tylko ci nowi, ale przede wszystkim ci, którzy na Partynicach zawdzięczali jej niemal wszystko. Stara to prawda w przysłowiu: „Cóżem ci tak dobrego uczynił, że aż tak mnie nienawidzisz?”. Tych trudnych dla Moniki chwil nie doczekał zmarły wcześniej tata Słowik – jak go wszyscy nazywaliśmy. Nie wiem, czy w życiu spotkałem kogoś bardziej zacnego niż on.

Stoi mi przed oczyma z nieodłącznymi psami Moniki: Klotyldą, Klementyną czy Kropką, które wyprowadzał codziennie na spacer po partnickich łąkach. Przez całe zawodowe życie związany z wrocławskim Ossolineum, gdzie zajmował się drukiem i wydawaniem książek tej oficyny.





*Między stajniami wyścigowymi – wrzesień 1987 r.
Od lewej: Leszek Wojno, Monika Słowik, Staszek Słowik, autor*

Często odwiedzałem go w miejscu pracy na wrocławskim rynku, wjeżdżając na czwarte piętro charakterystyczną, będącą w ciągłym ruchu, windą bez drzwi. Staszek darzył mnie dużą sympatią. Często darował mi pięknie wydane w Ossolineum książki. Szczególnie cenię sobie reprint pierwszego wydania Pana Tadeusza Adama Mickiewicza. Bardzo polubił też Magdę. Kibicował jej edukacji, a kiedy zaczęła studiować prawo, ją również obdarowywał rzadkimi książkami o tej tematyce. Mama Moniki, pani Stefania, także pracowała w Ossolineum jako redaktor w redakcji historycznej. Państwo Słowikowie bywali w moim domu. Ja też składałem im wizyty w ich mieszkaniu przy ulicy Jarzębinowej.

Pani Stefania, podobnie zresztą, jak i Staszek, w latach poprzedzających stan wojenny mocno zaangażowała się w działalność opozycyjną. Nic zatem dziwnego, że w dniu wprowadzenia stanu wojennego została natychmiast aresztowana i wywieziona do obozu internowania dla kobiet w Gołdapi. Zrozpaczony Staszek postanowił czym prędzej ją tam odwiedzić i dostarczyć choćby podstawowe rzeczy do ubrania i prowiant. Beti, moja nieoceniona żona, znana była w towarzystwie z tego, iż robiła wyborne, makowe i orzechowe torty. I taki właśnie tort przygotowała dla pani Stefanii. Jakimś sposobem udało się nam umieścić go w plecaku tak, żeby nie uległ zniszczeniu w czasie podróży. W tych pamiętnych, grudniowych dniach zima była sroga, a komunikacja niemal całkowicie

sparaliżowana. Jakim cudem Staszek dotarł do żony z nienaruszonym tor-tem, on sam tylko wiedział najlepiej.

Po odejściu z Partynic Monika trafiła do Książa, gdzie przez pięć następnych lat była kierownikiem tamtejszego stada ogierów. Tu również, jak to ma w zwyczaju, oddała się nowym obowiązkom bez reszty.

W 2018 roku dała o sobie znać tzw. dobra zmiana. Po pamięt-nych wydarzeniach w Janowie Podlaskim i Michałowie Monika otrzy-mała propozycję nie do odrzucenia. Polecono jej natychmiast udać się do Michałowa, gdzie miała objąć obowiązki szefa stadniny. Wyboru nie miała żadnego. Odmowa oznaczała utratę pracy zarówno w Książu, jak i Michałowie. I znowu zaczęła się praca u podstaw. Szczęściem, z wielką pomocą przyszli jej niedawni włodarze stadniny – Urszula i Jerzy Biało-bokowie. Znałem ich od lat z przeglądów wyścigowych, na które przyjeź-dzali co roku do Wrocławia.

Nadszedł dzień 1 kwietnia 2020 roku, który ponownie nie okazał się dla Moniki żartem. Tego dnia, mimo że zdążyła już wypracować w Michałowie dodatni wynik finansowy, została odwołana – oczywiście bez podania przyczyn. Cóż, jakie czasy, takie obyczaje.

Kiedy wreszcie udało mi się namówić Monikę na spotkanie i roz-mowę, nie dostrzegłem u niej załamania czy choćby rozżalenia. Z właściwą sobie energią opowiadała o nowych wyzwaniach i planach na przyszłość.

Ot – dla mnie zawsze – Pani na Partynicach.



OLEK

Gdyby ktoś zapytał mnie, kto wywarł największy wpływ na moją przygodę z końmi, odpowiedź byłaby natychmiastowa: Olek Metner. Niejednemu konstatacja taka zadziwiłaby niepomnie, gdyż z Olkiem, później moim wieloletnim przyjacielem, różniło mnie prawie wszystko. On, starszy ode mnie o ponad 20 lat, w czasach, gdy go poznałem, był dyrektorem wielkiego przedsiębiorstwa budownictwa przemysłowego. Był to okres głębokiego PRL-u. Pamiętam jego zawsze puste biurko. On reprezentował firmę na zewnątrz. Od stosu papierów na biurkach byli jego podwładni. Na odległe budowy Olek latał smogłowcem, także i ja kiedyś o mały figiel nie przeleciałem się nim na jakąś naradę wyścigową na Służewiec.

Poznałem go w 1974 na Partynicach. Był wtedy we władzach sekcji jeździeckiej LZS, później przemianowanego na RLKS. Jeśli nie przywoził go kierowca służbowym polonezem, przyjeżdżał sam swoją prywatną ładą, zazwyczaj w towarzystwie pięknej kobiety. Takie auta były wtedy dla mnie szczytem marzeń. Dopiero z początkiem lat 80. XX w. stałem się szczęśliwym posiadaczem samochodu marki Fiat 126p. Maluchami jeździłem potem kilkanaście lat.

Początkowo Olek w klubie mnie nie zauważał, choć powoli zaczęliśmy darzyć się wzajemną sympatią. Połączyły nas wspólne jazdy w teren zarówno na Partynicach, jak i wyjazdy na zawody czy Hubertusy. Chyba w 1978 roku, lub nieco wcześniej, Olek zaproponował mi bym wspomógł go w Komisji Technicznej, której był wówczas przewodniczącym. Zgodziłem się bez wahania, choć nie wiedziałem, co mnie czeka.

Olek był typem apodyktycznym, nie znoszącym sprzeciwu – prawdziwy dyrektor. Byłem chyba jedynym sędzią wyścigowym, który często sprzeciwiał się jego decyzjom. I chyba właśnie to, że nigdy nie odpuszczałem i spierałem się z nim zawzięcie, spowodowało, że z czasem zaczął nie tylko mnie dostrzegać, ale i podzielać niektóre moje racje. Zobaczył we mnie partnera i tak zaczęła kiełkować między nami późniejsza, wieloletnia zażyłość.

Bodaj w 1977 roku Olek zaprosił mnie na bieg myśliwski, organizowany przez najstarsze w Polsce Stado Ogierów w Sierakowie. Akurat tego roku nowym dyrektorem stada



został Tadeusz Czermiński. Z jego rodziną do dziś pozostają w przyjaźni. Od tego czasu każdego października jeździłem z Olkiem do Sierakowa, a od 1980 roku zacząłem tam spędzać w siodle każde wakacje.

W tych latach Olek był też prominentnym działaczem jeździeckim w Polsce. Znał perfekcyjnie niemiecki, więc często jako szef ekipy wyjeżdżał z polskimi zawodnikami na zawody za granicę. Z dumą nosił wpiętą w klapę złotą odznakę Polskiego Związku Jeździeckiego.



*Stęp do stajni po gonitwie za lisem.
Z lewej autor, z prawej Olek Metner*

W Sierakowie otwierały się przed nim każde drzwi. W 1979 roku Stado Ogierów w Sierakowie obchodziło uroczystość 150 rocznicę powstania. To właśnie firma Olka z tej okazji odmalowała pięknie główne stajnie stada.

W domu Olka na ścianach zawieszane były obrazy o tematyce koniowej. Szczególnie upodobał sobie akrylowe prace Jana Dąbrowskiego. Kilka z nich podarował mi później do mojej kolekcji. Przede wszystkim przypadł mi do gustu obraz przedstawiający trzech wrześniowych ułanów. Dwóch z nich sika na skraju lasu, a trzeci przytrzymuje im w tym czasie konie.

Olek wymyślił sobie, że będzie jeździł konno do ukończenia 80. roku życia. Chciał w ten sposób powtórzyć wyczyn naszego niemieckiego przyjaciela Willy'ego Tschuschke, który po upadku w wieku 80 lat na przeszkodzie hubertowej w Sierakowie oświadczył: „To bardzo dobry moment,



by zakończyć karierę jeździecką”. I jak postanowił, tak zrobił, a przeszkoda ta, od tamtej pory, nazywana jest „Willy Tschuschke Hindernis”.

Niestety, Olek nie spełnił swego postanowienia. Ciężko zachorował i coraz trudniej było mu utrzymywać się w siodle. Był jednak tak zeterminowany, że nie zwracał uwagi na to, iż coraz częściej spadał z konia, co mu się wcześniej prawie nie zdarzało. Któregoś dnia tak się poturbował, że cały w siniakach i połamany wylądował w szpitalu w Międzychodzie.

Zmarł w lipcu 2012 roku, w wieku 81 lat. Na pogrzeb do Wrocławia zjechała z całej Polski liczna grupa przedstawicieli świata jeździeckiego. Wartę honorową przy urnie z prochami Olka zaciągnęli masztalerze z Sierakowa w pełnym umundurowaniu, Jacek Grzesiak i Wojciech Nowak.

Asystę w ostatniej drodze Olka stanowiła wrocławska konna Straż Miejska w strojach galowych.



*Przed biegiem na dziedzińcu Stada Ogierów w Sierakowie.
Od lewej: Alojzy Marek, autor, Olek Metner*

SIERAKÓW

W połowie lat 70. XX w. Olek Metner często opowiadał mi o swoich jazdach konnych w Sierakowie, małym, wielkopolskim miasteczku nad Wartą, gdzie znajduje się najstarsze w Polsce – bo powstałe w 1829 roku – stado ogierów. Pojawił się tam kilka lat wcześniej ze swoim kumplem jaszczce z dzieciństwa – Alojzym Markiem, dentystą z Krotoszyna, do którego wszyscy zwracali się – Aloch.

Sieraków położony jest na skraju Puszczy Noteckiej, od północy okolony małowniczo meandrującą Wartą. Teren wokół miasta to kraina 100 jezior Pojezierza Międzychodzko-Sierakowskiego. Samo miasteczko ma wielowiekową historię. Do jego rozwoju szczególnie przyczynił się magnacki ród Opalińskich. To właśnie Piotr Opaliński w 1619 roku ufundował miastu przepiękny kościół, zachwycający do dziś bogatym, barokowym wnętrzem. Przy wiodącej do stada ulicy nad Wartą znajduje się odbudowane niedawno skrzydło zamku Opalińskich, w którym można podziwiać niezwykle cenne sarkofagi członków tej rodziny.

Samo miasteczko jest typowe dla Wielkopolski. W rynku i wiodących do niego uliczkach dominują stojące blisko jezdni niewysokie domy, co najwyżej jednopiętrowe.

W czasie, gdy za namową Olka po raz pierwszy wybrałem się do Sierakowa, miejscowa ludność znajdowała zatrudnienie w hucie szkła, technikum rybackim i stadzie ogierów przy ulicy Stadnina 14.

Tereny położone wokół Sierakowa, szczególnie te po północnej stronie w Puszczy Noteckiej, są wymarzone do jazdy konnej. Lekko pofałdowany, morenowy teren, głównie iglaste lasy, liczne stawy hodowlane, polodowcowe jeziora i piaszczyste podłoże, tworzą niepowtarzalny krajobraz.

Gdy wszedłem po raz pierwszy do stajni w stadzie, od razu uderzył mnie w oczy nienaganny porządek. Akurat była to stajnia numer 1 przeznaczona wyłącznie dla ogierów maści kasztanowatej. Wszystkie stały w stanowiskach, a więc od razu widać było ich starannie wyszczotkowane w szachownicę zady.

Po stajni jednostajnym krokiem przechadzał się dyżurny masztalerz z drewnianym korytkiem w jednej ręce i takimiż dwuzębnymi grabkami w drugiej, za pomocą których wrzucał



do korytka to, co ogier był uprzejmy z siebie wydalić. Tym prostym sposobem znacznie rzadziej odbywało się usuwanie obornika ze stanowisk i ścielenie świeżej słomy.

W przejściu do drugiej stajni mieściła się siedziba koniuszego, a za nią stały ogiery wyłącznie kare, skarogniade i gniade. One również lśniły czystością, tu także regularnie pojawiał się masztalierz z grabkami i korytkiem.

Dalej, przechodząc pod bramą zegarową, wchodziło się do stajni trzeciej, gdzie stały pozostałe ogiery, w tym ślązaki. W podwórzcu, w dalszych stajniach, stały konie sportowe, po latach pojawiły się tam koniki polskie, których liczba przekracza dzisiaj 60 sztuk.



Założone w 1829 r. Stado Ogierów w Sierakowie – najstarsze w Polsce

W tym czasie, a przypomnę była to druga połowa lat 70. XX w., w sierakowskich stajniach stało grubo ponad 150 wielkopolskich ogierów. Codzienną porcję ruchu zapewniała im jazda w tzw. parówkach na pobliski hipodrom. Polegała na tym, że na jednym ogierze siedział masztalierz, a drugi prowadzony był przez niego obok na krótkim uwiązcie. Przez wiele lat Olek skutecznie załatwiał nam darmowe lub tańsze jazdy na sierakowskich ogierach, przekonując, że odciążamy w ten sposób przepracowanych masztalerzy.

W styczniu 1977 roku dyrektorem Stada Ogierów w Sierakowie został Tadeusz Czermiński, który przyszedł tu ze Stadniny Koni Rzeczna. Był to czas wielkiego rozwoju polskiego powożenia, a takie nazwiska, jak:

Antoni Musiał, Tadeusz Czermiński i Rajmund Wodkowski z Sierakowa, Władysław Adamczak z Książa czy Zygmunt Waliszewski ze Starogardu należały do światowej czołówki powożenia zaprzęgami czterokonnymi.

Dyrektor Czermiński był człowiekiem surowym i wymagającym. Staraliśmy się więc schodzić mu raczej z drogi, choć po latach zaprzyjaźniliśmy się z nim, jego żoną Barbarą i córką Teresą.



Autor w trakcie rozmowy z Barbarą Czermińską – Hubertus 1982 r.

Żona dyrektora była znakomitym lekarzem pediatrą, budziła powszechną sympatię w Sierakowie. Z racji fantazyjnych kapeluszy, jakie nosiła, nazywaliśmy ją pieszczotliwie Baniaczką.

Z czasem, za sprawą Olka, zacząłem bywać w domu państwa Czermińskich. Mieszkali w pałacu obok biura, w przestronnym mieszkaniu na pierwszym piętrze. Ziemiańskie pochodzenie gospodarza podkreślały stare obrazy o tematyce wiejskiej, nie brakowało portretów i fotografii koni.

Pamiętam wizytę w tym domu, kiedy akurat odbywała się olimpiada w Moskwie. Było lato 1980 roku – czas pierwszych w Polsce strajków. Konkurs skoku o tycze wygrał Polak Władysław Kozakiewicz, pokazując po zwycięskim skoku słynny gest. Razem z dostojnymi gospodarzami podskakiwaliśmy z radości, bardziej podziwiając odwagę skoczka niż jego fantastyczny wynik sportowy.

Tadeusz Czermiński był dobrym gospodarzem, choć wiele czasu zajmowała mu sportowa jazda czwórką. Miał spore osiągnięcia, ale też ostra jazda, którą preferował, była przyczyną wielu kontuzji.



Jego zastępcą w tym czasie był Rajmund Wodkowski, również specjalista od powożenia, który w 1987 roku został wicemistrzem świata w powożeniu zaprzęgami parokonnymi w niemieckim Riesenbecku. Z Rajmundem wiąże się zabawna anegdota. Niemal rok po roku stawał się ojcem kolejnych córek.

Któregoś roku, gdy tzw. bandą Metnera, czyli grupą z Wrocławia, pojawiliśmy się w stadzie, panował tam wyczuwalny w powietrzu nastrój wyczekiwania. Siodłając konie, dowiedzieliśmy się, że żona Rajmunda Wodkowskiego pojechała rodzić do szpitala. Wszyscy z zaciekawieniem oczekiwali, kto tym razem się urodzi.

W pewnym momencie drzwi od pałacu, gdzie mieszczą się biura, otworzyły się gwałtownie i Rajmund szybkim krokiem pomaszerował do stajni. Zapanowała cisza. Nikt nie odważył się zadać nurtującego wszystkich pytania. W końcu stary luzak Rajmunda Feliks Achtenberg zaryzykował: „Panie dyrektorze, a można się dowiedzieć, co się urodziło?”. Córka – szóstka, odwarknął Rajmund. Achenberg podrapał się w głowę, i po chwili, chcąc rozluźnić ciężką atmosferę, zażartował: „Nie ma innej rady dyrektorze – trza ogra zmienić”. Rok później urodziło się Rajmundowi kolejne dziecko – tym razem, oczekiwany od dawna syn.

Jestem raczej nocnym markiem, więc późno chadzam spać, za to rano lubię sobie pospać. Nie bardzo było mi więc w smak, kiedy Olek



Galop w puszczy.

Prowadzi Jurek Wesoly, za nim autor, z tyłu Alojzy Marek



codziennie zarządzał pobudkę o 7 rano, by zdążyć do stada i osiodłać konie, tak żeby wyjechać w teren nie później niż o godzinie 8. Miało to oczywiście głębokie uzasadnienie. Jazdy nasze trwały dwie godziny, chodziło więc o to, by ogiery wróciły do stajni, zanim zacznie się największy upał.

Początkowo mieszkaliśmy na polu namiotowym, położonym między jeziorami Jaroszewskim i Lutomskim, potem już tylko w charakterystycznych domkach typu Brda. Wtedy, na przełomie lat 70. i 80. ubiegłego wieku, wydawało się nam, że zakwaterowanie w nich to absolutny luksus.



*Na skraju Sierakowa – lato 1980 r.
Od lewej: autor, Jerzy Wesoły, Alojzy Marek*

Z domków do stada jest mniej więcej dwa kilometry. Dojeżdżaliśmy tam więc samochodami. Po osiodłaniu koni wyjeżdżaliśmy w teren. Zawsze towarzyszył nam jeden z masztalerzy, gdyż tylko oni znali doskonale wszystkie drogi. Jednym z pierwszych był Jurek Wesoły, potem Tadeusz Ceglarski – późniejszy podkoniuszy. Najdłużej jeździł z nami Jacek Grzesiak, pamiętam też Wojtka Nowaka i Andrzeja Kramera.

Na jeździe prawdziwym przywódcą był jednak zawsze Olek. On dostawał najlepsze konie, niechętnie odstępował je nawet swojej córce Elwirze. Pamiętam jego karego Belfegara czy gniade Cieszyna i Sereta.

Pierwszym ogierem, jakiego dosiadłem w Sierakowie, był okazały, ale dyszlowaty Lansjer. Był chyba karej maści i miał około 180 cm w kłębie. Nie jeździłem na nim długo, gdyż jego chody nie należały do przyjemnych,



Autor na ogierze Bibosz, hod. Stadnina Koni Pępowo – Hubertus 1984 r.

szczególnie kłus. Ponadto, miał jeszcze jeden nieprzyjemny zwyczaj. Po wyjściu ze stajni, gdy tylko poczuł miękkie podłoże na placu pod dębami, natychmiast się kładł, budząc moją konsternację, a śmiech kolegów.

Latem 1980 roku jeździliśmy w teren wraz z liczną grupą Szwedów, którzy przyjechali do Sierakowa ze Sztokholmu. Reprezentowali tamtejszy studencki klub jeździecki Akademiska Ridklubben. Jeden z nich, Ulf Olsson, wysoki i chudy antykwariusz, tak sobie upodobał jazdy w Puszczy Noteckiej, że przyjeżdżał potem co roku do Sierakowa przez wiele lat. Najpierw sam, a potem z żoną Kristiną, która w czasie, gdy Ulf dosiadał ogierów, ćwiczyła powożenie bryczką.

Pewnego dnia Olek zdecydował, że nie pojedziemy za Wartę, jak mówiliśmy o jeździe w puszczy, lecz objedziemy jezioro Jaroszewskie i Lutomskie. Po drodze, gdy przejeżdżaliśmy obok kiosku z piwem, Olek zaordynował: piwo dla wszystkich. Byłem najmłodszy, więc to ja musiałem zejść z konia i dokonać zakupu.

By się popisać, zsiadając nie przełożyłem prawej nogi przez zad Lansjera, ale obie nogi złączyłem nad jego grzbietem, chcąc efektownie zeskoczyć, jak gimnastyk z równoważni. Tyle tylko, że w tym momencie

Lansjer zrobił gwałtowny krok w bok, a ja runąłem tyłkiem na ziemię. Z bólu stanęły mi świecek w oczach, ale udając, że nic się nie stało, podszedłem do okienka. Musiałem kiepsko wyglądać, bo cała grupa pękała ze śmiechu. Stłuczona kość ogonowa bolała mnie potem przez wiele miesięcy.

Po Lansjerze przyszła pora na Bibosza, skarogniadego ogiera wyhodowanego w Stadninie Koni Pępowo. Moi najlepsi koledzy od razu ukuli twierdzenie, że to, iż akurat ja dostałem konia o takim imieniu, to nie przypadek. Może było w tym trochę racji. Bibosz też miał swoje nawyki. Chodził kiedyś w czwórkach i kiedy tylko mijaliśmy jakiś zaprzęg, stawał się bardzo nerwowy. Wyrwał się do przodu, bił z zadu i rżał przy tym donośnie. Zachowanie to niespecjalnie mi przeszkadzało, gdyż miałem już za sobą niezłą szkołę na partynickich folblutach.



Autor na ogierze Oracz – Sieraków, lata 80. XX w.

Przez niemal trzy dekady jazdy na sierakowskich ogierach przewinęło się ich wiele przez moje ręce. Szczególnie zapadł mi w pamięć Oracz. Nie należał do wybitnych, ale wyróżniał się rzadkim, izabelowatym



umaszczeniem. Przez jeden sezon biegał na wyścigach we Wrocławiu. Miał tę szczególną cechę, że jeśli po opuszczeniu maszyny startowej udało mu się zająć miejsce na froncie, tj. z przodu stawki, to wygrywał „z miasta do miasta”, czyli prowadząc od startu do celownika.

Przez kilka sezonów wakacyjnych w Sierakowie dosiadałem Trapera. On także na miękkim podłożu natychmiast próbował się położyć, ale szybko, reagując wodzami i łydką, nauczyłem się temu przeciwdziałać. Poza tym Traper miał same zalety. W każdym chodzie jazda na nim to była czysta przyjemność. Szczególnie w galopie, czy to w koniach, czy na froncie, czy z tyłu stawki, zawsze szedł równym tempem, lekko napierając na wędzidło. Wystarczył lekki ruch nadgarstkiem, by skracał lub wydłużał foule. Dawało to poczucie absolutnego zespolenia z koniem i pełnej nad nim kontroli.

W Traperze, kiedy do nas dołączyła, zakochała się bez reszty Magda, dzielnie jeżdżąc z nami przez lata najtrudniejsze tereny. Odstąpiłem Magdzie Trapera bez żalu, gdyż wkrótce potem trafiłem w Sierakowie na konia mojego życia. Czuma, bo o nim mowa, to szlachetnej półkrwi siwy ogier po Bujak od Czunii, urodzony w 1996 roku w Stadninie



Autor na ogierze Czuma przed wyjazdem na bieg św. Huberta, październik 2003 r.

Koni Posadowo. Koń o fantastycznych zdolnościach skokowych, w Sierakowie od razu trafił do sportu. Po latach kariery mówiono o nim, że w konkursach klasy L, P, a nawet N, nigdy nie zrzucił drąga na przeszkodzie.



Do dziś nie wiem, jakim cudem latami przydzielano mi go do jazdy, zarówno w czasie wakacji, jak i podczas słynnych sierakowskich Hubertusów.

Był koniem idącym mocno do przodu, ale nie pullerem. Inne konie skakały przez przeszkody, on nad nimi wręcz fruwał. Całą sztuką było naprowadzić Czumaka na przeszkodę, tak by pasował odskok. Jeśli już się to udało, lot Czumaka nad przeszkodą trwał i trwał, zdawałoby się, że nigdy



Toast za zdrowie Czumaka. Hubertus 1999 r.

się nie skończy. Po wylądowaniu natychmiast rwał do przodu, ale stosunkowo łatwo „przychodził do ręki”. Uwielbiałem jeździć na nim w biegach myśliwskich. Nigdy mnie nie zawiódł, nie odmówił skoku i nie wyłamał przed przeszkodą. Nawet jeśli źle policzyłem odskok, on wszystko to korygował i to tak, że skacząc nawet z tzw. piątej nogi, pokonywał przeszkodę bez problemu. W czasie przerwy, przed decydującą gonitwą za lisem, zawsze wypijałem tęgi łyk nalewki za jego zdrowie.

W czasie wakacji 2000 roku zorganizowaliśmy na sierakowskim hipodromie dla naszej grupy zawody w skokach przez przeszkody. Postawiliśmy kilka stacjonatek, triplebarre, murek i dwa oksery o wysokości około 80 cm, które po każdym przejeździe podwyższaliśmy o 10 cm. Zakończyliśmy na wysokości 120 cm. Byłem pewny, że klasą Czumaka konkurs ten wygram bez problemu. Nikt z rywali nie miał tak dobrego konia. Ale był wśród nas Staszek Borkowski, który na przeciętnym



Mataczu pobił mnie klasą jeźdźca. Wprawdzie i on, i ja mieliśmy czyste wszystkie przejazdy, ale w ostatnim Staszek był o ułamki sekundy szybszy. Przegrać z nim, i to tak minimalnie, nie przynosiło ujmy. Wszak Stachu przez lata startował jako zawodnik właśnie w konkursach skoków przez przeszkody.

Pamiętam zawody nad brzegiem Odry we Wrocławiu, gdzie wygrał, po pasjonującej walce, konkurs dokładności klasy C. W rozgrywce,



Staszek Borkowski z autorem po zakończonym konkursie. Lipiec 2000 r.

dosiadając swego ulubionego Jontka, pokonał Adama Czerwonogórę. W nagrodę otrzymał okazałą lodówkę, co było wtedy bardzo atrakcyjnym trofeum.

Po rannych jazdach nigdy nie spieszyliśmy się z powrotem do domków. Długo czyściliśmy i myliśmy konie obok bramy zegarowej.

Po odstawieniu siodła i trzęsli do siodlarni jechaliśmy do kultowej w Sierakowie knajpy „Pod Jeleniem”. Tam z rozkoszą wypijaliśmy po kuflu piwa, po czym wracaliśmy do domków. Zwykle było to już około południa. Jazdy wtedy mieliśmy dwa razy dziennie, po dwie godziny, więc po powrocie z pierwszej nawet się nie przebierałem, tylko kładłem się na krótką drzemkę. Niedługo później budził mnie Olek, tupiąc buciorami w deski tarasu.

Możliwości wyboru tras do jazdy są w okolicach Sierakowa niemal nieograniczone. Jeździliśmy na tzw. Czaple, czyli miejsce, gdzie chmary

tych ptaków siedziały na czubkach drzew, by w odpowiedniej chwili, jak bombowce, zanurkować po rybę w pobliskim stawie.

Chętnie zapuszczaliśmy się w tzw. francuskie górki, czyli mocno połaadowany teren, gdzie w czasie wojen napoleońskich wojska francuskie solidnie oberwały od Prusaków. Urządzaliśmy wypadki do Jeziorna, gdzie w jeziorze Kubek ścigaliśmy się galopem po wodzie.



*Spacer po Puszczy Noteckiej ze śpiewem na ustach.
Od lewej: Adaś Wyspiański, autor, Przemek Wiśniewski*

Często zaglądaliśmy do leśniczówki nad jeziorem Lichwin. Żona leśniczego, pani Hermanowa, częstowała nas tzw. baldaszkiem, czyli zimną, wyborną nalewką z białego bzu. Pewnego dnia tak się w niej rozsmakowaliśmy, że Jola Bielec, przyjaciółka Elwiry Metner, siadła z powrotem na konia, tyle że przodem do tyłu.

Bardzo malownicze są tereny wokół małego, leśnego osiedla domków letniskowych w Bucharzewie. Stamtąd już tylko krok do Chaty Zbójców, czyli letniego ośrodka jeździeckiego studentów z Poznania.

Jeździliśmy często do Tucholi, choć akurat tam, jak nigdzie indziej, cięły gzy. Chętnie galopowaliśmy wzdłuż brzegu Warty, by potem wracać klusem i długim stępem do stajni. By dojechać z puszczy do stada, należało przekroczyć most na Warcie. Łęgi pod mostem wykorzystywane były do rozgrywania ostatniego aktu Hubertusa – gonitwy za lisem.



Latem 1980 roku Warta mocno wylała i łąki pod mostem znalazły się pod wodą, która sięgała brzuchów koni. Urządziliśmy zabawę polegającą na tym, że zrzucaliśmy się z koni do wody. Nikogo nie oszczędzono. Ganiałliśmy się tak długo, aż wszyscy zakosztowali kąpieli.

Przez całe lata organizowaliśmy też całodniowe rajdy do Piłki, małej wsi położonej głęboko w puszczy, około 20 kilometrów od Sierakowa. Konni jechali wierzchem, a pozostała część towarzystwa bryczkami. W Piłce czekał na nas pyszny, domowy obiad z obowiązkowym kompotem z wiśni, który przygotowywała jedna z tamtejszych gospodyń. Z powrotem już tylko stępowaliśmy, przy czym mniej wytrzymali zamieniali się z tymi siedzącymi na bryczkach.

Nie brakowało przez te lata mniej lub bardziej zabawnych przygód.



*Galopem przez jezioro Kubek w Jeziornie.
Od lewej: autor, Grzegorz Herman. Z tyłu Jerzy Wesoły*

Pewnego dnia Olek musiał pilnie wrócić służbowo do Wrocławia. Na odjezdnym oświadczył, iż powierza mi grupę w czasie swej nieobecności. Postanowiłem skorzystać z okazji i zbyt powolną w obecności Olka jazdę (za dużo kłusa i stępa, a za mało galopu) uczynić bardziej atrakcyjną. Razem z nami do puszczy wybrał się tego dnia masztalerz Andrzej Kramer. Podpuściłem go, by dziewczyny puścić przodem, a kiedy odjadą

dostatecznie daleko, przegonić je dodanym galopem. Tak też zrobiliśmy, szybko pozostawiając dezorientowane panie z tyłu. Odjechaliśmy dość daleko do przodu, po czym zatrzymaliśmy konie, by poczekać na resztę. Czekaliśmy i czekaliśmy. W końcu galopem zawróciliśmy. Okazało się, że efekt mojego pomysłu był fatalny. Jedna z dziewczyn, Małgosia



Spacer w puszczy. Prowadzi Olek Metner, z lewej autor

Kontrym, spadła z konia prosto w mrowisko. Komicznie podrygując, próbowała z siebie zrzucić mrówki. Kilku innych jeźdźców nie wyrobiło zakrętu na tzw. latówce, czyli resztkach starego asfaltu skrytego pod igliwem, i również wylecieli z siodła. Największa przykrość spotkała Andrzeja Kramera, który spadając z konia, złamał obojczyk. Długo łapaliśmy ogiery po puszczy, by z wielkim opóźnieniem wrócić do stada. Nigdy więcej Olek nie pozwolił bym przewodniczył grupie w terenie, choć ci, którzy ocaleli z tamtego pogromu, nie podzielali jego zdania.

Któregoś dnia przydzielono mi do jazdy ogiera Przywilej. Stał na stanowisku w pierwszej stajni. Już od początku nie wzbudził mojego zaufania. Nie dość, że gdy próbowałem założyć mu ogłowie i siodło, usiłował przycisnąć mnie do ściany stanowiska, to jeszcze na jego bokach zauważyłem liczne strupy utrudniające zapięcie popręgu. Zapytany, co jest tego przyczyną, dyżurny masztalerz oświadczył mi, że to koń niezrównoważony psychicznie, który mimo że krótko wypięty w stanowisku, potrafił gryźć sam siebie nawet za słabizną. Próbowałem protestować przeciwko takiemu



przydziałowi, ale wszyscy wyjechali już ze stajni i ponaglali mnie bym się nie ociągał. Rad nierad wyjechałem na Przywileju. Przez całą drogę szarpał łbem, próbując sięgnąć mej łydki. W końcu podjechaliśmy pod domki, w których mieszkaliśmy. Stanęliśmy rojem przed domkiem, w którym mieszkał Aloch z żoną, zażywną matroną. W pewnym momencie Przywilej



Grupa przed wyjazdem w teren.

Od lewej: Jerzy Wesoly, Basia Widomska, Alojzy Marek, Grzegorz Herman, Jan Handtke, autor
wspiął się na konia, na którym siedział Aloch, wskutek czego ten runął na ziemię. Podziwiająca z tarasu przybyłych jeźdźców żona Alocha teatralnie zemdląła, osuwając się na podłogę.

Olek głośno zwrócił mi uwagę, że gdybym miał palcat, to skuteczniej przeciwdziałalbym temu, co wywinął mój Przywilej. Rzeczywiście do tej pory na jazdy nie zabierałem bata. Rozeźlony tą publiczną reprimendą wyrwałem Olkowi bat i z rozmachem zdzeliłem Przywileja po zadzie. Drugi raz już nie zdążyłem, gdyż ten tak skutecznie strzelił z krzyża, że wyleciałem z siodła jak z procy i lotem koszącym zaryłem twarzą pod domkiem. Tym razem o mało nie zemdląła Beti, która obserwowała całe zdarzenie z domku obok.

Gdy już jako tako się pozbieraliśmy, ruszyliśmy w tzw. buki, czyli do rezerwatu tych drzew nad jeziorem Lutomskim. Jazda tam odbywa się górą stromego zbocza opadającego do wody jeziora. Tam Przywilej spróbował jeszcze raz, ale zdzielony naprędce wystruganym z leszczyny kijem, zaprzestał w końcu swych niezdrowych zapędów.

Jak to się stało, że jakiś czas później Olek rekomendował Przywileja Eli Morciniec, jako znakomitego konia do ujeżdżenia, do dziś nie mogę pojąć.

Przez niemal dwie dekady razem z nami do Sierakowa przyjeżdżał Grzegorz Ciszewski, z zawodu lekarz weterynarii, mój przyjaciel. Od lat pełni funkcję Powiatowego Lekarza Weterynarii w Oławie. Towarzyszył też mi przez całe lata w Komisji Technicznej na Partynicach.

Grześ jest człowiekiem sporej tuszy, co wcale nie przeszkadzało mu dosiadać sierakowskich ogierów. Z powodzeniem uczestniczył w najbardziej wyczerpujących eskapadach. Do historii przeszło jego opowiadanie o tym, jak to wybrał się do szewca w Dzierżoniowie, by odebrać nowe buty do jazdy konnej. Szewc ów, wręczając mu buty, jeszcze raz przyjrzał się z podziwem potężnym łydkiem Grzesia i rzekł: „Panie, pierwszy raz, szyjąc cholewy, musiałem szerokość zrobić z długości”.

Któregoś lata na zaproszenie Grzesia przyjechali do Sierakowa jego znajomi, spośród których wyróżniała się niepospolitą urodą żona jednego z nich, imieniem Danusia. Widząc nas na koniach, poprosiła, by zabrać ją na jazdę w teren. Olek od razu zorientował się, że dziewczyna ma blade pojęcie o jeździe konnej, ale pod wrażeniem jej urody wyraził zgodę.

Już przy pierwszej próbie zagalopowania Danusia wyleciała z siodła. Szybko pomogliśmy jej dosiąść konia, ale po kilku chwilach znów leżała na ziemi, z tym że nawet na chwilę straciła przytomność. Gorliwie rozchyliłiśmy jej bluzkę, skrywającą okazały biust, spróbowaliśmy też sztucznego oddychania metodą usta.

Na tym jeździecka przygoda Danusi w sierakowskich lasach się skończyła. Wróciła do stajni pieszo, prowadząc konia w rękę. Po powrocie do domków położyła się na leżaku, głośno skarżąc się na bóle całego ciała.

Akurat tego dnia złożyli nam wizytę dwaj nasi kumple z Wrocławia – Marek Barylko i dr Włodek Posnow. Zaproponowaliśmy Danusi, że Włodek zbada ją gruntownie i udzieli stosownej pomocy. Tak też się stało, tyle tylko, że nie zdradziliśmy się, że Włodek Posnow nie jest lekarzem medycyny, a doktorem prawa. Przed laty był nawet moim wykładowcą na ćwiczeniach z procedury karnej.

Niezwykle barwną postacią związaną z sierakowskim stadem jest Grzegorz Opyc. Spędziliśmy razem wiele wspaniałych chwil w siodle, a że Grzegorz jest obdarzonym specyficznym poczuciem humoru gawędziarzem, nigdy w jego towarzystwie się nie nudziłem.

To on przybliżył mi szczegóły tragicznego wypadku, jakiemu na sierakowskim hipodromie w 1962 roku uległ ówczesny dyrektor stada Jan Kowalski. Grzegorz miał wtedy 17 lat. W stadzie działała drużyna harcerska im. mjr. Hubala. Powstała ona z inicjatywy adiutanta Hubala nazwiskiem Ossowski, który był uczniem Technikum Rybackiego w Sierakowie. Opiekę na drużyną sprawował dyrektor stada Jan Kowalski.



Człowiek z kawaleryjską przeszłością miał wiele talentów. Był myśliwym, gołębiarzem, pszczelarzem, pasjonował się też motocrosem. Można by powiedzieć – człowiek orkiestra. Wszyscy w drużynie jeździli konno. Jazdy odbywały się codziennie. W zawodach harcerze startowali w mundurach i charakterystycznych czarnych beretach. Nie używali toczków. Masztalerze natomiast występowali w mundurach i furażerkach, bądź w czapkach z daszkiem. Była to pierwsza harcerska drużyna konna w Europie. Treningi prowadził osobiście dyrektor Kowalski.

W 1962 roku na sierakowskim hipodromie odbywały się Mistrzostwa Polski Juniorów w Skokach. Grzegorz Opyc startował na Cyrkowcu. Był to kasztanowaty koń, po ogierze Derkacz. Trudny do jazdy, trzeba było go „pchać”. Jedną z przeszkód w konkursie był skakany pod słońce murek, pomalowany w czerwoną cegłę. Cyrkowiec trzy razy odmówił skoku, co wówczas oznaczało eliminację z konkursu. Do zjeżdżającego z placu zawiedzionego Grzesia dyrektor Kowalski rzucił: „Zostań z nim po konkursie. Skoczmy ten murek, by nie przyzwyczajając go do nieposłuszeństwa”. I rzeczywiście, po zakończeniu konkursu dyrektor Kowalski wsiadł na Cyrkowca i mimo jego energicznego oporu najechał na feralny murek. Koń poślizgnął się zadem i upadł, przygniatając nogę jeźdźcy.

Upadek miał fatalne następstwa. Dyrektor Kowalski uderzył głową w ziemię i stracił przytomność. Grześ poszedł w tym czasie łapać konia, gdyż z miejsca, w którym stał, wypadek wyglądał niegroźnie. Gdy wrócił, prowadząc Cyrkowca, na miejscu wypadku była już karetka pogotowia, która przewiozła rannego do szpitala w Międzyzgodzie. Tam stwierdzono tak rozległy i masywny obrzęk mózgu, że nie udało się go uratować. Po kilku dniach zmarł.

W międzyczasie drużyna wyjechała na obóz harcerski do Świeradowa. Na wieść o śmierci ulubionego trenera część harcerzy, a wśród nich i Grzegorz, wróciła do Sierakowa. Pogrzeb dyrektora Kowalskiego był bardzo uroczysty, uczestniczyły w nim tłumy. Kiedy czoło konduktu wchodziło do rynku, wielu ludzi nie ruszyło jeszcze z dziedzińca w stadzie. Ceremonia pogrzebowa miała charakter państwowy. Ktoś z rodziny zmarłego zauważył brak krzyża i zażądał, by umieścić go na trumnie. Słyszając to, Grześ, co sił w nogach pognął do swej babci, zdjął ze ściany krzyż i przekazał rodzinie zmarłego. Dziś w stadzie syn dyrektora Kowalskiego, Janusz, od 2012 roku jest koniuszym. Przez lata w księgowości pracowała też córka dyrektora, Grażyna. Obecnie z Rajmundem Wodkowskim mieszka ona w pięknej leśniczówce, kilkanaście kilometrów od Sierakowa, we wsi Zatom. Grześ Opyc, dziś już emeryt, mieszka w Sierakowie z żoną, którą pieśczośliwie nazywa Nuną. Dbam, by co roku, będąc w Sierakowie, choć na chwilę się z nimi spotkać.

Zawody konne, które na sierakowskim hipodromie obserwowałem przez lata, zwykle odbywały się na poziomie regionalnym. Gospodarzy

Państwowe Stado Ogierów
 w Sierakowie

Okres rozpiętości 1937 r.

Nr. rejestru stanowania 119

C.S.E.

ŚWIADECTWO STANOWIENIA

Wzrost: 162 Ciężar: 500 kg
 Data: 1937 r.

miejsce: Kęstanczostej

rodzaj: półkrwi, ogier - rabiniej

STADNIA LUBIANY							
Giaron V				Giaron XXXIV-5			
Giaron IV		Giaron XLVII		Przedstawiciel Giaron		Giaron XXXIV	
1937 r.	Giaron IV	Giaron XXV	Giaron XLVII	1/4 koźmi	Przedstawiciel VII	Obejden II	Giaron XXXIV

Wzrost: 162 Ciężar: 500 kg
 1) dn. 7 2) dn. 3 3) dn. 4) dn.
 imię: Andrzej Szwarcz
 adres: Kęstanczostej
 rok: 1937
 rok urodzenia: 1918

Sifasia							
1/4 koźmi							
[Signature]							

Kierownik Państwowego Stada Ogierów
 [Signature]

Świadectwo stanowania z 1937 r.
 Dokument przekazał autorowi koniuszy Stada Ogierów w Sierakowie – Janusz Kowalski

reprezentowali jeźdźcy klubu Morena Sieraków. Zawody jak zawody, ale towarzyszące im pokazy, to było nie lada przeżycie. Wspaniałe popisy zaprzęgów, kadryle czwórek czy poczta węgierska budziły aplauz tłumnie zebranej publiczności. Szczególnym podziwem darzyłem tzw. piramidy, czyli pokazy jeźdźców stojących jeden na drugim na galopujących ogierach. Tu niezastąpieni byli przedstawiciele rodziny Sandeckich, pracujących z pokolenia na pokolenie w stadzie.

W 1989 roku uroczystie obchodzono 160-lecie Stada Ogierów w Sierakowie. Z tej okazji zorganizowano na hipodromie stada Mistrzostwa Polski w skokach. Do pełnienia funkcji sędziego głównego dyrektor Tadeusz Czermiński zaprosił Andrzeja Osadzińskiego, ówczesnego dyrektora

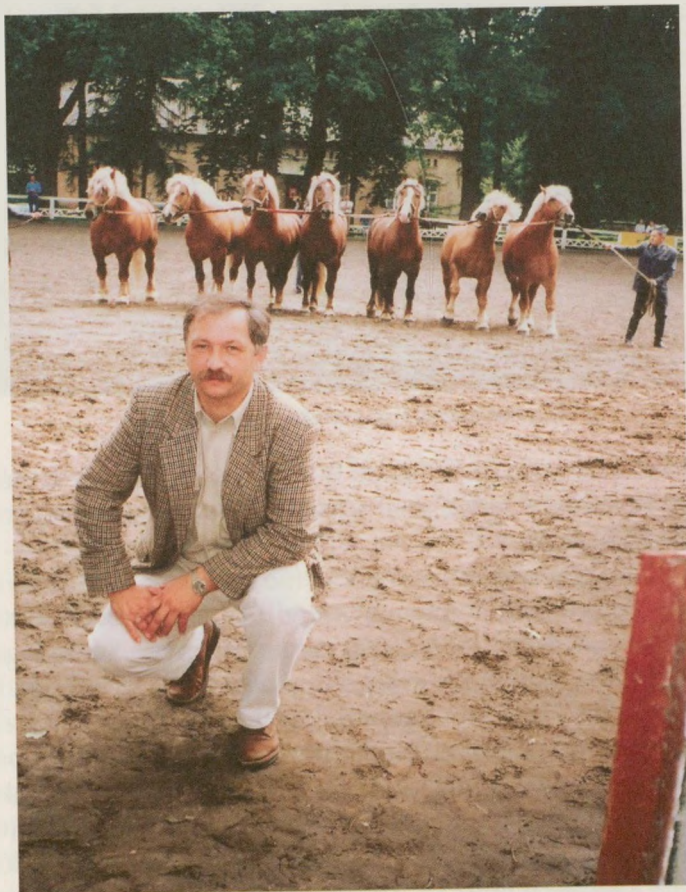


Państwowego Stada Ogierów Bogusławice. Po zaciętej rywalizacji wygrał wówczas Grzegorz Kubiak z Bogusławic na Arcusie.

W trakcie wielu zawodów w Sierakowie pomagałem gospodarzom jako sędzia, a także spiker.

Przez lata treningi grupy sportowej działającej w stadzie prowadził Wojtek Ganowicz. Miał właściwe podejście do młodzieży, więc wyniki sierakowskich skoczków były w tym czasie bardzo dobre. Do stada trafił na staż po studiach w lutym 1979 roku. Szybko awansował, by ostatecznie zostać głównym specjalistą ds. hodowli koni. W 1991 roku, wskutek różnych zawirowań personalnych, znalazł się na jedenaście miesięcy w Stadzie Ogierów Bogusławice. Potem objął stanowisko dyrektora Stada Ogierów w Braniewie, a od 1995 roku zarządzał już nie tylko Braniewem, ale też Stadem Ogierów w Kętrzynie, gdzie zamieszkał.

Odwiedziłem go w Kętrzynie latem 1997 roku, po powodzi stulecia, która załała wtedy Wrocław. Akurat rozgrywano tam zawody konne



Ogierzy sztumskie w poręczy. Stado Ogierów w Kętrzynie – lato 1997 r.

połączone z pokazami ogierów. Beti zachwyciła się szczególnie siódmką zimnokrwistych ogierów idących w tzw. poręcz. Mnie zaimponowała, ponoć najdłuższa w Europie – bo licząca sobie niemal 200 metrów długości – stajnia. Stały w niej ogiery rasy sztumskiej sokólskiej – głównie w stanowiskach. Był to najdłuższy rząd końskich zadów, jaki kiedykolwiek widziałem.

W 2001 roku Wojtek powrócił do Sierakowa. Ucieszyłem się tym powrotem bardzo, bo od lat z Wojtkiem byliśmy w wielkiej przyjaźni.



Wojciech Ganowicz prowadzi bieg jako master

Uważam, że źle się stało, iż w latach 90. XX w. Wojtek nie został dyrektorem stada w Sierakowie, gdyż miał wtedy głowę pełną fantastycznych pomysłów na jego rozwój.

Po latach, gdy wrócił – i to znów nie do końca z własnej woli – był już wypalony i pozbawiony dawnej energii. W latach 2001–2003 był dyrektorem stada, a w latach 2008–2009 prezesem Spółki Stado Ogierów Sieraków Wielkopolski. Już wtedy rzadko dosiadał koni. Zawsze za to chętnie prowadził Hubertusy i razem z nami bawował po biegu.

Kilka lat temu razem z Wojtkiem i jego żoną Małgosią odwiedziliśmy znakomitego znawcę historii polskiej kawalerii Leszka Kukawskiego w jego uroczym dworcu w Pańskiej Łasce. Bardzo mi zależało na spotkaniu z panem Leszkiem, tym bardziej, że akurat skompletowałem 40 tomową Wielką Księgę Kawalerii Polskiej, której pomysłodawcą i wiodącym współautorem był właśnie Leszek Kukawski.



Gospodarze przyjęli nas niezwykle serdecznie. Z podziwem oglądałem niezmiernie zbiory akcesoriów jeździeckich, gromadzonych latami przez gospodarza. Opowiadał, że zaczął pracować nad nowym, obszernym dziełem pt. *Rząd Polski*. Nie wiem, czy udało mu się skończyć tę książkę, gdyż niedługo potem zmarł. W świecie jeździeckim Leszka Kukawskiego nie nazywano inaczej, jak tylko Hrabia z Pańskiej Łaski. Nigdy się o to nie obrażał.



Autor z córką Magdą w Sierakowie

Wojtek Ganowicz zajął się w swoim życiu końmi, gdyż, jak w przypadku jemu podobnych, nie miał innego wyjścia. O mamie Annie już wspominałem – całe życie przepracowała jako hodowca w stadninach. Wiele lat spędziła ze mną na wieży sędziowskiej, na wrocławskich Partynicach.

Spotkaliśmy się w czasie wakacji. Pani Anna, jak zawsze gustownie ubrana, niemal się nie zmieniła. Przegadaliśmy kilka godzin, z humorem wspominając wydarzenia wyścigowe i kolegów z Komisji Technicznej: Grzesia Ciszewskiego, Józka Śnieżka czy Henryka Geringera, którego pani Anna nazywała „Ozdobnym”, co potem przyjęło się powszechnie w towarzystwie.

Ojciec Wojtka, Michał Ganowicz, przez lata pracował w różnych stadninach jako lekarz weterynarii. Pamiętam jego bujną, siwą fryzurę i elegancką laskę, na której się wspierał. Słynął z ciętego języka. Trzeba było bardzo uważać, by nie paść ofiarą jego riposty.



Wojtek od tego roku zaczyna życie emeryta, choć jego temperament sprzeciwia się temu, by go tak nazywać. Pocięszam go, że to nic strasznego, gdyż ludzie inteligentni się nie nudzą.

Począwszy od 2013 roku, staraniem rodziny dyrektora Tadeusza Czermińskiego, w każdym trzecim tygodniu lipca rozgrywane były zawody w powożeniu zaprzęgami – Memoriał Tadeusza Czermińskiego. Największa w tym zasługa Teresy, córki dyrektora. Od lat pozostajemy w przyjaźni z nią, jej mężem Markiem i dziećmi – Joasią, Julką i Piotrem.

PRZEDSIĘBIORSTWO ROLNICZE HODOWLANE „GALOPOL” Sp. z o.o.
STADO OGIERÓW SIERAKÓW
ul. 410 Sieraków, ul. Stadołna 14. tel. 13 61 295 25 11, 48 61 295 25 43
e-mail: biuro@stadoogierow.eu. web: www.stadoogierow.eu

**MEMORIAŁ DYREKTORA
TADEUSZA CZERMIŃSKIEGO**

SIERAKÓW 2018

21.07.2018 r. - sobota - płyta pod dębami
10.00 - Premiewanie Żrebaków

22.07.2018 r. - niedziela - Hipodrom Stada Ogierów
14.00 - VI MEMORIAŁ DYREKTORA TADEUSZA CZERMIŃSKIEGO
- Zawody w Powożeniu Zaprzęgami
- Pokazy Kołowe

KOWR

Plakat Memoriału Tadeusza Czermińskiego





Autor dekoruje zwycięski zaprzęg Memoriału Tadeusza Czerwińskiego – lipiec 2017 r.

W dniu memoriału na trybunach hipodromu gromadziły się tłumy publiczności. Spotykałem przy tej okazji wielu starych znajomych, jak choćby Leona Polusa, emerytowanego podkoniuszego, Tadzia Ceglarskiego czy Andrzeja Kramera – masztalerzy, z którymi przez lata jeździliśmy w teren do puszczy. Zawsze obecny był Rajmund Wodkowski, który pełnił rolę sędziego zawodów.

Odbyło się sześć edycji memoriału. Ten rozegrany w 2018 roku okazał się ostatnim. W każdym z nich fundowałem nagrodę dla najlepszego powożącego w postaci porządnego bata – najczęściej produkcji węgierskiej. Niestety, po sześciu latach, z przyczyn leżących głównie po stronie stada, kolejne zawody memoriałowe już się nie odbyły. Szkoda to wielka, ale cóż, coraz trudniejsza sytuacja polskich stad ogierów i stadnin, i tu odcisnęła swoje piętno.

Od kilku lat ze względu na zrujnowany kręgosłup nie dosiadam już koni. Co roku jednak, zawsze w lipcu, przyjeżdżam z rodziną do Sierakowa, by choć przez kilka dni chłonąć klimat tego niezwykłego dla mnie miejsca. Starsza wnuczka Matylda, wzorem swojej mamy, przez kilka lat pobierała nauki jazdy konnej na konikach polskich. Myślę, że w przyszłym roku zadebiutuje na nich młodsza – Helenka.

Nie mieszkamy już w drewnianych domkach, lecz w hotelu nad jeziorem Jaroszewskim. Często zaglądamy jednak do domku nr 14, w którym przez całe lata mieszkał Olek Metner. Po jego śmierci, na domku tym zawiesiłem mosiężną tabliczkę z napisem „Villa Metnera”.



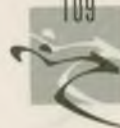
Wnuczka autora Matylda na koniku polskim – Sieraków, lato 2014 r.

HUBERTUSOWE WARIACJE

Nigdy nie byłem czynnym zawodnikiem uprawiającym sport jeździecki, jednak bardzo często zakładałem zielony frak, białą koszulę i krawat, bryczesy oraz wyczyszczone do połysku wysokie buty. Działo się zawsze tak, gdy nadchodził



Niestety, złapałem lisa – trzeba będzie postawić kolejkę. Hubertus 2000 r.



dzień św. Huberta, czyli okolice 3 listopada. Organizowano wtedy Hubertusy, czyli gonitwy za lisem.

Uczestniczyłem w nich niezliczoną ilość razy. Zarówno na Partynicach, jak i w rozmaitych ośrodkach jeździeckich na Dolnym Śląsku. Szczególnie wystawne były te urządzone w podwrocławskim Rakowie, gdzie ma swą siedzibę sekcja jeździecka Wojskowego Klubu Sportowego Śląsk Wrocław. Organizował je przez lata niez mordowany rotmistrz Czesław Goleń, który zawsze przysyłał mi ozdobne zaproszenia. Nigdzie indziej nie smakowały tak wojskowa grochówka i bigos. Biesiadom po biegu towarzyszyły często występy orkiestry wojskowej, grającej nie tylko utwory o ułanach, ale też znakomite standardy muzyki rozrywkowej.

Chętnie zaglądam do Morawy pod Strzegomiem, do tamtejszego klubu Stragona Strzegom, gdzie zawsze serdecznie mnie zapraszają Marcin Konarski z uroczą małżonką Katarzyną. Gonilem lisa w Książu, Zybiszowie, Bielawie czy Świniarach. Nie wymienię wszystkich miejsc, bo wiele z nich zatarto się już w mojej pamięci.



Idę siodlać



Żaden z tych biegów nie mógł się jednak równać z Hubertusami organizowanymi w Sierakowie. Trwały one przez trzy dni.

Przyjeżdżaliśmy całą grupą do Sierakowa już w piątek. Zawsze znalazł się wśród nas jakiś Tadeusz, którego imieniny przypadają na 28 października, więc zabawa zaczynała się natychmiast po przyjeździe.

Olek Metner zasięgał informacji w stadzie, jakie konie nam przydzielono, tak że w sobotę rano wiedzieliśmy już, do której stajni się udać. Po osiodłaniu koni wyjeżdżaliśmy na dziedziniec między stajniami, gdzie pod czterema majestatycznymi dębami ustawialiśmy się do zbiórki. Zwykle działo się to około południa. Pamiętam Hubertusy, w których brało udział grubo ponad



Hejnał na rogu przed wyjazdem na bieg św. Huberta. Sieraków, październik 1982 r.

50 jeźdźców. Jeden z nich, a był nim zwykle Olek, zgłaszał stojącemu przed pałacem kierownictwu stada gotowość całego zastępu do wyjazdu w teren.

Ruszaliśmy powoli ulicą Stadnina biegnącą równolegle do płynącej obok Warty. Za nami ruszały liczne bryczki, na których siedzieli pozostali goście. Już po chwili na powózkach – bo tak mówią w poznańskim na bryczki – robiło się bardzo wesoło. Piersiówki z różnymi trunkami krążyły z rąk do rąk. Mijaliśmy stępem sierakowski rynek, budząc spore zainteresowanie mieszkańców. Następnie przez stary, zabytkowy most przekraczaliśmy Wartę, by już po chwili znaleźć się na skraju Puszczy Noteckiej.

Przez wiele lat mastrem, czyli prowadzącym bieg, bywał Wojtek Ganowicz. Kontrmastrem wyznaczano zwykle jednego z masztalery.

Zaczynało się skakanie. Przeszkody nie były wysokie. Nie przekraczały jednego metra, tak by wszyscy sobie poradzili. Ustawiano je w taki sposób, by mniej wprawni jeźdźcy mieli możliwość bezpiecznie je ominąć, nie oddając skoku. Krążyliśmy od przeszkody do przeszkody, tak by w pobliżu każdej z nich dojechały bryczki, a siedzący na nich zdążyli sfotografować swych ulubieńców w skoku. Nie obywało się oczywiście bez upadków z koni, szczęśliwie jednak nie pamiętam, by kiedykolwiek ktoś doznał poważniejszego uszczerbku. Wyjątkiem była „gleba” zaliczona przez mojego



*Zbiórka na dziedzińcu stada przed wyjazdem na bieg.
Z prawej Adaś Wyspiański, z lewej autor*

przyjaciela Jurka Dalaka, wskutek czego doznał on złamania ręki i żeber. Na jego usprawiedliwienie trzeba jednak uczciwie dodać, że miał wieloletnią przerwę w jeździe konnej, dlatego od początku biegu nie bardzo sobie radził z trudnym ogierem.

Z pokorą jednak opowiadał potem, że kiedy przesiadł się na bryczkę, na konia, z którego spadł, wsiadła nastoletnia, drobna dziewczynka, która radziła sobie dalej z nim jak z dzieckiem. Już w stajni przed biegiem, siodłając przydzielonego mu konia, był bardzo zestresowany. Założył koniowi ogłowie, po czym wyszedł z boksu po siodło. Kiedy wrócił, umieścił siodło na grzbiecie konia, jednak na próżno szukał wytoka, by przełożyć przezeń popręg. Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że próbował osiodłać dwa konie, stojące w sąsiadujących ze sobą boksach. Jednemu założył trzylę, drugiemu siodło.



Gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że ból, jaki towarzyszył doznany złamaniom, zniósł po męsku. Przetańczył całą noc w Hubertusie i dopiero po powrocie do Wrocławia zdecydował się na wizytę u lekarza.

Skakanie trwało około trzech godzin, po czym zziębnięci i spoceni stępem docieraliśmy do leśnej polany, gdzie następował popas. Posilaliśmy się bigosem i kielbaskami z rożna. Najczęściej przerwa taka odbywała się w miejscu, gdzie latem stacjonowały obozy harcerskie. Zbliżając się tam, nie mówiliśmy inaczej tylko: „Jedziemy do harcerzy”.

Miejsce to zapadło mi w pamięć ze szczególnego powodu. Pewnego razu przydzielono mi do jazdy ogiera imieniem Buńczuk. Już w stępie czułem, że coś z tym koniem nie jest w porządku. Szedł sztywno i mimo luźnej wodzy nie wyciągał głowy swobodnie do przodu. Kiedy wjechaliśmy w las i zaczął się galop Buńczuk ruszył jak inne konie, ale ciągle się potykał, tak że kilka razy o mało z niego nie spadłem. Zacząłem podejrzewać, że ma



*Pod dębami na dziedzińcu stada w Sierakowie.
Z prawej Jurek Kupiński, z lewej autor*

jakiś problem z widzeniem. Zgłosiłem swe obawy Olkowi, ale ten nie zwalniał kroku. W końcu, gdy zatrzymaliśmy się na moment, zeskoczyłem z Buńczuka i by udowodnić, że mam rację, zamachnąłem się batem w kierunku jego głowy. Ani drgnął.

Tak dotarliśmy do „harcery”, gdzie między słupkami rozwieszona była siatka do gry w siatkówkę. Rzuciłem wodze i skierowałem Buńczuka prosto na nią. Wszedł w sznurki bez oporu. Dopiero wówczas Olek



przyznał mi rację. Do stada wróciliśmy, już tylko stępując. Później po badaniach lekarskich okazało się, że Buńczuk na lewe oko w ogóle nie widział, a na prawe tylko w kilku procentach.



Przeszkoda hubertusowa. Z przodu od lewej: inspektor Stanisław Łukomski, z prawej Olek Metner. Z tyłu od lewej: Grzegorz Herman, z prawej autor

Po suto zakrapianym bigosie i kielbaskach przychodziła pora na dalszą jazdę. Już nie skakaliśmy, tylko na przemian klusem lub spokojnym kurcgalopkiem zbliżaliśmy się do łąk nad Wartą, gdzie miał się odbyć finałowy pościg za lisem. Czekaly już tam na nas ustawione w szeregu bryczki z żywiolowo dopingującymi goniących lisa gośćmi.

Gonitwa nie trwała długo. Wszystko zależało od zręczności lisa, czyli jeźdźca z przypiętym do ramienia lisim ogonem. Szczęśliwiec, który go złapał, zostawał królem polowania, a zebrani na jego cześć wznosili owacje.

W najlepszych czasach Sierakowa zdarzyło się, że na moście stała kilkunastoosobowa orkiestra z Wiesbaden w długich zielonych płaszczach, która na rogach wygrywała uroczyste melodie dedykowane zwycięzcy.

Syci wrażeń wracaliśmy stępem do stada, nierzadko już przy zapadającym zmierzchu. Pewnej jesieni na zakończenie biegu spadł rześisty deszcz, który wkrótce zamienił się w zamarzający śnieg. Dojechaliśmy do stada kompletnie biali, a śnieg utworzył na naszych ubraniach szczelne pancerze. Po rozsiadaniu i wytarciu koni słomą nie mieliśmy wiele czasu na odpoczynek. Punktualnie o godzinie 20 rozpoczęła się w barze



„Hubertus” całonocna zabawa. Do tańca najczęściej przygrywała nam znakomita kapela rodziny Nowaków. Do łóżek docieraliśmy nad ranem.

Dla najwytrwalszych niedzielnym rankiem organizowano jeszcze krótką jazdę w teren tzw. wytrzeźwiałkę. Ja nigdy nie miałem na tyle sił, by w niej uczestniczyć.

Pewnego ranka, po upojnej nocy, wszedłem do łaźni, w której zamiast umywalk wzdłuż ściany biegła metalowa rynna, a nad nią w odstępach jednego metra wisiały krany. Przed jednym z nich chwiała się pulchna, młoda Niemka, która wpatrując się w lustro, wykrztusiła: „Keine Ahnung wer du bist, aber ich wasche dich” (nie znam cię, ale cię umyję).

Najczęściej po śniadaniu zaglądaliśmy z wizytą do Jacka Grzesiaka i jego żony Jadzi, która najpierw częstowała nas obiadem z nieodzownym,



Przy ognisku w przerwie biegu.

Od lewej: Tadeusz Krawczyk, Henryk Geringer, Jurek Kupiński, Staszek Borkowski





Znalazłem sobie jedyne miejsce siedzące w przerwie biegu. Sieraków – Hubertus 1994 r.

regeneracyjnym rosółkiem, a następnie obdarowywała na drogę rozmaitymi domowymi wyrobami. Tak wyekwipowani po kilku godzinach docieraliśmy do domów we Wrocławiu. Czyż można zorganizować bardziej okazałego „Hubertusa”? Przynajmniej, że nie.

W czasie jednego z Hubertusów przydarzyła mi się zabawna przygoda. Po skoczeniu kolejnej przeszkody zatrzymaliśmy się na chwilę, by łyknąć co nieco z pierśiówki, którą wydobylem zza pazuchy.

Kiedy odkręciłem zatyczkę, nagle zwałił się na mnie ogromny ciężar. Przerażony ujrzałem po obu stronach głowy kopyta. Okazało się, że ogier dosiadany przez Maćka Czarnieckiego skoczył na mojego konia, przygniatając mnie do jego grzbietu. Na próżno, całkowicie unieruchomiony próbowałem wydostać się z opresji, a tymczasem kryjący mnie ogier dość obcesowo próbował schwycić mnie zębami za kark. W końcu mu się to





*Po biegu na łąkach nad Wartą.
Od lewej: Staszek Borkowski, Henryk Geringer, autor*



Autor na przeszkodzie

udało i zrzucił mnie na ziemię. W ułamku sekundy oczyma wyobraźni ujrzałem rozplataną czaszkę, gdyż spadałem prosto na świeżo ścięty pniak. Zamknąłem oczy i runąłem o milimetry od niego. Kiedy wypłułem piach



Autor zadowolony po biegu. Hubertus – Sieraków 2000 r.

i igliwie z ust, ujrzałem moich kolegów, śmiejących się do rozpuku i bijących brawo. Okazało się, że spadając, nie upuściłem butelki i nie uroniłem z niej ani kropli. Zdarzenie to poczytuję sobie do dziś jako jedno z moich największych osiągnięć jeździeckich.

MIKANO

Mi – bo Miłka, Ka – bo Kazio, a No – bo Nowaki. Taki zespół przez lata tworzyła rodzina Nowaków. W jej składzie była jeszcze Magda, córka Miłki i Kazia.

Wszyscy obdarzeni niezwykłymi talentami, starannie wykształceni muzycznie. Poznałem ich, kiedy pierwszy raz przyjechałem na bieg św. Huberta do Sierakowa.

Po biegu i krótkim odpoczynku wszyscy schodzili się w Hubertusie – małym zakładowym hoteliku należącym do stada. Jest tam obszerna sala, w której odbywały się zabawy. Zwykle do rana. Kaziu grał na klawiszach i puzonie, Miłka z Magdą na saksofonach. Wszyscy oczywiście śpiewali, ale Magda najpiękniej.



Gra rodzina Nowaków

Koncertowali wspaniale. Grali każdy repertuar. Od przyśpiewek ułańskich, po muzykę rozrywkową i standardy jazzowe. Oczywiście w ich programie nie brakowało też muzyki country – mojej, obok bluesa, ulubionej. Kiedy dedykowali mi jakąś piosenkę, zawsze była to *Take me Home*, *Country Roads* (popularnie zwana *West Virginia*) lub *Sweet Home Alabama*.

Gdy zabawa sięgała zenitu, Nowaki dawali z siebie wszystko. Szczególny zachwyt zebranych budziły solówki Miłki i Magdy na unoszonych raz w górę, raz w dół saksofonach. Grali tak wspaniale przez wiele lat. Zaprzyjaźniliśmy się bardzo i do dziś utrzymujemy ożywione i serdeczne kontakty. Co roku, gdy przyjeżdżam do Sierakowa z żoną i wnuczkami, obowiązkowym punktem programu jest spotkanie z Nowakami.

Miłka z Kaziem mieszkają w przepięknym domu na skraju lasu. Mówią o sobie „muzykanci spod lasu”. Ich gra tak mnie zachwyciła, że gdy przyszedł czas ślubu mojej córki Magdy, nie wyobrażałem sobie na jej weselu innej orkiestry jak tylko Nowaków. Wtedy już nie koncertowali często, ale na moją prośbę przystali bez wahania. Goście weselni Magdy opowiadali potem, że nigdy nie byli na weselu, gdzie grałaby tak świetna kapela.

Nowaki – bo tak o nich mówimy – ujęły mnie jeszcze jednym. Swoje umiłowanie muzyki od lat starają się zaszczepić najmłodszym mieszkańcom Sierakowa i okolic. Kaziu od lat prowadzi w swoim domu lekcje gry na akordeonie i puzonie. Magda jest wielką animatorką kultury muzycznej, nie tylko uczy w szkole, ale też prowadzi aktywną działalność w ośrodkach kultury. Przed laty założyli zespół Mikano. Była to grupa około dwudziestu uczniów szkół podstawowych, grających na akordeonach i podobnie liczna towarzysząca im grupa tancerzy. Gdy zobaczyłem ich pierwszy raz, nie potrafiłem doliczyć się muzyków, gdyż niektórych z nich nie było widać zza akordeonów. Mikano podróżowało do coraz dalszych zakątków Wielkopolski, zaczęły się też wyjazdy zagraniczne.

Jak sięgam pamięcią, najprawdopodobniej w pierwszych latach obecnego stulecia zaproponowałem, by Mikano przyjechało do Wrocławia. Uzgodniliśmy, że dadzą dwa koncerty. Jeden na Partynicach – w czasie rozgrywania gonitw, drugi zaś w parku Południowym – dla szerszej publiczności. W nagrodę przygotowałem wycieczki po Wrocławiu i zabytkach Dolnego Śląska.

Problemem były finanse. Musieliśmy zgromadzić środki na noclegi, wyżywienie, wstęp do muzeów, czy choćby opłacić kierowcę autobusu. Pomogli dobrzy ludzie. Kiedy tylko opowiadałem o Mikano moim przyjaciółom, hojnie zrzucali się na jego przyjazd. Bardzo pomogła Monika Słowik, organizując wyżywienie na torze, a także dyrektorzy okolicznych szkół, udostępniając bezpłatnie na nocleg sale gimnastyczne. Wystarczała zimna woda w kranach. Mali muzycy zadowalali się spaniem na karimatach i dmuchanych materacach.

Już pierwszy występ Mikano zrobił na Partynicach furorę. Długo po zakończeniu ostatniej gonitwy musieli grać bisy. Akurat tego dnia panował dojmujący upał, więc wszyscy, nie wyłączając Nowaków i męża Magdy, Piotra, spiekli się na raka.

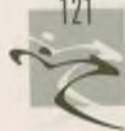


Z upływem lat wizyty Mikano we Wrocławiu tak przypadły do gustu wrocławianom, że zdobycie pieniędzy na ich przyjazd stanowiło coraz mniejszy problem. Pewnego dnia o dołożenie się do kosztów wizyty Mikano we Wrocławiu poprosiłem zaprzyjaźnionego adwokata Rysia Trusiewicza. Ten, oglądając wcześniejsze występy młodych muzyków i tancerzy, zgodził się bez wahania i zaferował kwotę 500 złotych. Nie spodziewając się takiego wsparcia, podziękowałem mu wylewnie, ale on postawił jeden warunek: „Dostaniesz te pieniądze, ale wręczę Ci je pod salą sądową, gdy Ty – w todze prokuratora, a ja – w todze adwokata, będziemy oczekiwać na rozprawę”. Przystałem na tę propozycję, choć działo się to w 2005 roku, a więc w niełatwych czasach. Jak się umówiliśmy, tak zrobiliśmy. Szczęśliwie, ku niezadowoleniu Rysia, a mojej uldze, tego dnia pod salą poza nami nie było nikogo. Dziś na taki żart pewnie bym się już nie zdobył.

W zamian za koncertowanie pokazałem grupie Mikano na Dolnym Śląsku możliwie najwięcej atrakcji. Byliśmy razem w Książu, w Kościołach Pokoju w Świdnicy i w Jaworze, a nawet w Krzyżowej, gdzie w trakcie wojewódzkich dożynek dali krótki, ale atrakcyjny występ. Wędrując po Wrocławiu, oczywiście trafiliśmy do katedry na Ostrowie Tumskim, gdzie niezapomniany ówczesny proboszcz tej parafii – ksiądz infułat Adam Drwięga zafundował całej grupie darmowy wjazd na wieże kościoła.

Kiedy przed kilkoma laty Mikano po raz ostatni gościło we Wrocławiu, udało mi się zorganizować im koncert w samym centrum rynku, nieopodal pręgierza. Już po pierwszych utworach na placu zgromadził się nieprzebrany tłum, a po chwili niemal wszyscy tańczyli w rytm akordeonowej muzyki.

Dziś, w ciężkich czasach pandemii koronawirusa, zespół Mikano już nie koncertuje, ale jestem przekonany, że jeszcze nie raz zachwycą nas swymi talentami.



Kiedy w połowie lat 80. XX w. pierwszy raz spotkałem go w Stadzie Ogierów w Sierakowie, akurat w towarzystwie nieodłącznej Birgit, był w drodze do dawnych Prus Wschodnich po zakup swoich ulubionych trakenów. Willy Tschuschke – przedstawił się.

Szczupły i już wtedy zupełnie siwy, swą sylwetką i energicznym krokiem zdradzał niespożytą energię. Ucisnął mi mocno dłoń, uśmiechając się szeroko. Ten uśmiech gościł na jego twarzy nieustannie, kiedy przyjeżdżał z dalekiego Appentaler Hof do Polski. Zaprzyjaźniliśmy się z Willym niemal od pierwszego wejrzenia, bo choć czystej krwi Niemiec, uwielbiał Polskę i Polaków.

Urodził się w 1921 roku we wsi Jabłonna, niedaleko Rydzyny. Były to w tych czasach ziemie pogranicza, więc obok siebie mieszkali Polacy i Niemcy. Tragiczne wojenne wydarzenia rzuciły Willy'ego na front wschodni. Kiedy wracał jako jeńiec na zachód, los zrządził, że znalazł się w pobliżu swej ukochanej Jabłonnej. Za jego wstawiennictwem on i jego wygłodniaли towarzysze niedoli otrzymali od mieszkańców strawę i dach nad głową.

Po wojnie osiedlił się w Nadrenii-Palatynacie, gdzie gospodarował w sąsiedztwie powstałego później słynnego toru wyścigowego Nürburgring. Opowiadał, że w pierwszych latach wraz ze świeżo poślubioną żoną Irmgard niemal przymerali głodem. Z czasem zaczęło im się lepiej powodzić, a Willym bez reszty zawładnęły konie. W gospodarstwie miał ich zawsze kilkanaście. Większość stanowiły konie rasy trakeńskiej, które sobie szczególnie upodobał. Właśnie po ich zakup często wyprawiał się na wschód od Polski. Trudno się dziwić, że akurat konie tej rasy zafascynowały Willy'ego. Charakterystyczny płynny i energiczny ruch plasuje konia trakeńskiego w światowej czołówce koni sportowych. To konie harmonijnie zbudowane, szlachetne w typie, a przy tym niezwykle wytrzymałe i szybkie. Willy trzymał je niemal przez okrągły rok na łąkach, gdzie dysponowały jedynie niewielką wiatą, do której dowoził im paszę. Tylko w czasie surowych mrozów zabierał je do stajni, by z chwilą nieznacznego choćby ocieplenia znów pozostawiać je na padokach. Nie słyszałem,



by kiedykolwiek chorowały, a w czasie zimowych wizyt w Appentaler Hof niejednokrotnie widziałem je mocno przyprószone śniegiem.

Nie tylko trakeny uwiiodły Willy'ego. W równym stopniu cenił sobie też konie rasy wielkopolskiej, stąd jego częste wizyty w sierakowskim stadzie. Do jego stajni trafił m.in. niezwyklej urody wielkopolski ogier Illit. Kasztanowaty koń, obdarzony niezwyklej temperamentem, przysparzał Willy'emu wielu kłopotów, szczególnie gdy zakładał go do bryczki. W końcu obaj dogadali się do tego stopnia, że Willy zabierał go na rozmaite pokazy powożenia, gdzie Illit zbierał liczne nagrody. Szybko pojawili się kupcy, którzy dawali za tego ogiera spore sumy, ale Willy'emu nigdy nie przyszła nawet do głowy myśl, by go sprzedać.



Willy i jego ukochany ogier Illit

W trakcie częstych wizyt w Sierakowie Willy chętnie jeździł z nami w teren. Mówił wtedy wyłącznie po polsku, choć niektóre zwroty w jego ustach brzmiały komicznie. Był już w podeszłym wieku, ale na koniu trzymał się prosto. Nawet najtrudniejszy teren nie sprawiał mu kłopotów. Przyjeżdżał też na Hubertusy, w których występował w eleganckim, czarnym fraku. Wspomniałem już wcześniej, że przestał jeździć konno, kiedy w wieku 80 lat, po upadku na przeszkodzie, uznał, że pora kończyć swą jeździecką przygodę.

Willy był niezwykle towarzyski. Na zabawach hubertusowych jako jeden z ostatnich schodził z parkietu. Zawsze powtarzał, że jest Niemcem



*Na polanie w Puszczy Noteckiej.
Od prawej: Willy Tschuschke, Olek Metner*

i mieszka w Niemczech, ale w duszy w równym stopniu czuje się Polakiem. Powiadał: „Niemcy są nudni, ja wolę wasz temperament”.

Opowiadał mi, że kiedyś, gdy nad ranem wracał samochodem z mocno zakrapianej imprezy przy ognisku, zatrzymali go milicjanci. Uchylił nieznacznie szybę i starając się chuchać w inną stronę, podał im dokumenty. Ci, nie mogąc się z nim dogadać, puścili go, życząc szerokiej drogi. Leszek, Mensch – powiedział: „Gdyby oni wiedzieli, jakiej ja wtedy szerokiej drogi potrzebowałem...”.

Willy’ego lubili i szanowali wszyscy bez wyjątku mieszkańcy rodzinnej Jabłonnej, którą odwiedzał kilka razy w roku. W trudnych latach 80. XX w., a też i później, dla wielu z nich załatwił pracę w Niemczech, co wydatnie wspomagało rodzinne budżety.

W Jabłonnej na skraju wsi mieści się mały, ewangelicki cmentarz. Staraniem Willy’ego i przy dużej pomocy mieszkańców został on odrestaurowany. Na bramie odnowiono napis w dwóch językach: „Daj nam pokój – Gib uns Frieden”. Willy zawsze powtarzał, że pragnie, by po śmierci on i Irmgard zostali pochowani właśnie tam. Wymagało sporego wysiłku, by uzyskać na to stosowne pozwolenia. Od wielu lat bowiem cmentarzyk ten był zamknięty i nie odbywały się na nim pochówki.

Willy uznał, że ja, jako prawnik, najlepiej nadaję się do załatwienia tej sprawy. Kosztowało mnie to wiele zachodu, w tym nawet osobistej wizyty



u protestanckiego biskupa Ryszarda Bogusza we Wrocławiu. Ostatecznie wszelkie biurokratyczne przeszkody zostały pokonane, by wola Willy'ego została spełniona.

Wraz ze Staszkiem Borkowskim i Olkiem Metnerem często odwiedzaliśmy Willy'ego w jego Appentaler Hof w Niemczech. Pewnego dnia, po przyjeździe, zastaliśmy Willy'ego zapatrzonego w telewizor. Przywitana nas Irmgard, która kładąc palec na ustach, powiedziała byśmy usiedli na kanapie obok niego. Na stole czekał już poczęstunek z nieodłączną w tym domu polską wódką. Innej Willy nie brał do ust. Odparliśmy, że spieszmy się na wyścigi starych samochodów na pobliskim Nürburgringu, więc zjemy później. Słyszając to, Willy wstał gwałtownie z fotela i krzyknął: „Nigdzie nie pojedziecie oglądać jakieś stare gruchoty. Tu jest transmisja z wizyty w Niemczech Jana Pawła II – waszego rodaka i nie ruszycie się stąd nigdzie, dopóki się nie skończy”. Był oburzony, że mogliśmy zaniechać oglądania tak ważnego wydarzenia. Oczywiście zostaliśmy w domu, a na Nürburgring pojechaliśmy innym razem. Taki był Willy.



Willy w swej ulubionej roli – jako powoźcy

Gdy minęło 50 lat małżeństwa z Irmgard, urządził w Jabłonnej Złote Gody, czyli Hochzeit. Zaprosił całą wieś i znajomych z okolicznych wiosek. Do położonego w sąsiedniej wsi kościoła, gdzie miało odbyć się uroczyste odnowienie zaślubin, wszyscy pojechali bryczkami. Przyjechało ich kilkanaście. Wszystkie odświętne przystrojone, zaprzężone były



w lśniące pary koni z zaplecionymi grzywami i ogonami. Zabawa w wiejskiej świetlicy trwała dwa dni. Byliśmy tam przejazdem na wakacje do Sierakowa, więc Olek Metner i pozostali pierwszego dnia po śniadaniu ruszyli w dalszą drogę. Tylko Beti i ja zostaliśmy. Po dwóch dniach, kiedy i my przystąpiliśmy do pożegnania, Willy ze łzami w oczach dziękował nam, że nie odjechaliśmy wcześniej. Umarł w lutym 2011 roku. Zgodnie z życzeniem został pochowany w Jabłonnej. Niestety, akurat w tym czasie nie było Beti i mnie w Polsce. Napisałem do Irmgard długi list, tłumacząc powody naszej nieobecności na pogrzebie i wyrażając żal po odejściu Willy'ego. Odpisała, prosząc, by o niej nie zapominać.

Kilka lat po śmierci Willy'ego i ona odeszła. Spoczęła w Jabłonnej, obok męża. Tym razem zdążyliśmy tam być. Irmgard stanowiła całkowite przeciwieństwo Willy'ego, wiecznego chłopca. Stateczna, przy tuszy, zajmowała się prowadzeniem domu. Nigdy nie zdradzała irytacji, gdy Willy zostawiał ją z całym gospodarstwem na głowie, a on w tym czasie jechał po konie, lub na konie, czy też znikał na całe dni, by uczestniczyć w ulubionych Kutschen Corso – czyli pokazach i pochodach bryczek. I, być może, w tym jej usposobieniu tkwiła tajemnica tak długiego ich pożycia.

Ostatnio odnowiłem kontakty z córką Willy'ego Dagmar i jej mężem Walterem. Wspominamy z rozrzewnieniem czasy, gdy Willy przywiózł młodzieńką Dagmar do Sierakowa i razem galopowaliśmy po puszczy.



KORRAL I NIEDOCENIONNY

Lato 1979 roku zapowiadało się upalnie. Był czerwiec, od kilku dni z bezchmurnego nieba lał się żar, zniechęcając do jakiegokolwiek wysiłku. Kilkanaście dni wcześniej zmarł mój ojciec Telesfor, więc, z poślubioną niespełna rok wcześniej Beti, nie mieliśmy żadnych pomysłów na wakacyjny odpoczynek. Nadeszła kolejna niedziela. Nie bacząc na temperaturę, zjawiłem się na wrocławskim torze wyścigów konnych, gdzie od kilku lat pracowałem w Komisji Technicznej. W przerwie między gonitwami podszedł do mnie Heniu Gerliger, przed którym kilka lat wcześniej zdawałem egzamin na sędziego w konkurencji skoków przez przeszkody, i rzekł: „Ech, Ty tu na Partynicach jeździsz konno w bryczesach i wysokich butach z ostrogami, a prawdziwego życia z końmi w ogóle nie znasz. Co byś powiedział na to, gdybym zaprosił Ciebie i Beti na rajd konny, który jako szeryf organizuję nad jeziorami, w okolicach Białego Boru?”. Heniu był niekwestionowanym guru wrocławskiego, akademickiego środowiska jeździeckiego – nie wahałem się więc długo z pozytywną odpowiedzią na zaproszenie.

Nie znałem wtedy zupełnie westernowych obyczajów, więc w wyznaczonym miejscu spotkania, we wsi Wierzchowo, położonej nad urokliwym jeziorkiem, pojawiłem się w kremowych bryczesach i wysokich czarnych butach.

Był już późny wieczór, a raczej noc. Dostrzegłem konie stojące w korralu i jasne plandeki dwóch wozów. Przy ognisku, na wiklinowym, okazałym fotelu siedział szeryf, a wokół niego rozsiedli się kowboje i towarzyszące im kobiety. Oni w kraciastych koszulach z chustami pod szyją, w spodniach z frędzlami i szpiczastych kowbojkach z ostrogami w kształcie gwiazdzistego kółka. Każdy oczywiście z co najmniej jednym koltem u pasa. Dziewczyny w bufiastych, jasnych bluzkach i szerokich, falbaniastych spódnicach. Spojrzeliśmy z Beti po sobie z zakłopotaniem, na szczęście przywieziona przez nas wódka szybko zatarła złe wrażenie. Wyglądało na to, że znajdziemy wspólny język.

W pewnym momencie, gdy byłem już nieźle podpity, rozchyliły się poły pobliskiego namiotu, z którego wyszedł przystojny, wąsaty kowboj. Ledwie trzymając się na nogach,



wrzasnął: „Nortman jestem. A Ty to z pewnością ten zapowiadany przez Henia, Karpina. No i jak przyjechałeś na rajd tak ubrany, no jak? Chyba zmuszony jestem Cię zastrzelić”. To mówiąc, niezdarnie sięgnął po kolta. Byłem bezbronny, więc w desperacji wyciągnąłem w jego kierunku butelkę wódki, proponując, by zanim pozbawi mnie życia, uczynił mi zaszczyt i napił się ze mną odrobinę. Wszak przed wykonaniem wyroku można mieć takie życzenie.

Marek spojrział na mnie podejrzliwie, chwilę się zawahał, ale za moment schował kolta do kabury i pociągnął tęgi łyk. Łaskawie zwrócił mi butelkę, bym i ja się napił przed niechybną śmiercią. Ani się obejrzeliśmy była już pusta. Nie wiem, skąd pojawiła się druga, której do końca nie daliśmy rady, ale za to w przyjacielskim już uścisku zwaliliśmy się – tak jak staliśmy w ubraniach – do jeziora. Z wody wyszliśmy, będąc już najlepszymi kumplami. W tym momencie z namiotu, z którego wcześniej wygramolił się Nortman, wyszła nieznana mi wcześniej dziewczyna. Szczupła, wysoka, wysportowana, ubrana jak się należy – stosownie do epoki. Zafascynowały mnie jej włosy. Kręcone, jak u Angeli Davis, robiły wrażenie. Dziś ktoś powiedziałby – afro. Podeszła do nas i rzekła: „Jestem Aśka”.

I tak zaczęła się moja przygoda z ludźmi wrocławskiego AKJ-u. Nigdy nie byłem jego formalnym członkiem, nie miałem legitymacji, nie opłacałem składek. Jednak przyjaźnie, jakie zawarłem i ludzie, których



Rajd konny AKJ Wrocław. Autor klęczy w środku





Ślub Aśki Zagórskiej i Marka Nortmana

poznałem, sprawiają, że do dziś czuję się wśród nich wspaniale.

Tego wieczoru spaliśmy na sianie w stodole. Rankiem następnego dnia szeryf przydzielał konie do jazdy. Szczęśliwym trafem nie dostałem żadnego, więc nie musiałem przez dwa tygodnie tłuc się na niewygodnej kulbace. Zostałem powożącym jednego z wozów. Drugim powoził Jarek Pindur.

W moim wozie koń z lewej nazywał się Koral, a ten z prawej Niedoceniony. Dwa wałachy o skarogniadym umaszczeniu, może Koral był nawet całkiem kary. Nie bały się niczego, włączyły bez oporu tam, gdzie bardziej szlachetne, nawet by nie ruszyły. Na wozie oprócz prowiantu, sprzętu i siana jechały też skrzynki z napitkami, szybko więc zorientowałem się, jaką dysponuję władzą. Korzystałem z niej skwapliwie, szczególnie gdy na wóz przysiadaly się co ładniejsze westmiski. Mimo tego udało mi się przeprowadzić wóz bezpiecznie przez cały rajd, choć przygód nie brakowało.



ŚWIAT WESTERNU

Wrocławski Akademicki Klub Jeździecki odwiedziłem po raz pierwszy, gdy jego siedziba mieściła się jeszcze na wrocławskich Osobowicach. Dopiero po latach klubowicze wraz z końmi przenieśli się do nowej stajni we wsi Świniary.

Od początku postawili na jazdę w stylu western, w odróżnieniu np. od poznaniaków, którzy na koniach kultywowali tradycje ułańskie. Na rajdach, czy częstych balach, obowiązywały więc stroje z Dzikiego Zachodu. Z czasem i ja dorobiłem się odpowiednich butów i ostróg, kapelusza z szerokim rondem i pary sześciopalcowych koltów. Obowiązywały ustalone przez lata obyczaje. Podczas wacht szeryf rajdu nie pracował na równi z innymi. Czas spędzał w siodle, a na biwakach wydawał polecenia, siedząc w okazałym, wiklinowym fotelu. Jego dyspozycje nie podlegały dyskusji.

W czasie rajdu obchodzono rozmaite święta kościelne. A to Boże Narodzenie, a to Wielkanoc, czy Zielone Świątki. Zdumienie obserwatorów budziły udekorowane odświętnie iglaki i kolędy śpiewane chórem przy ognisku. W dzień Bożego Narodzenia dominowały ryby, nie brakowało barszczu z uszkami czy makowca.

Szeryf surowo pilnował, by owoce i warzywa „pozyskiwane” były wyłącznie z pól licznych w tych czasach PGR-ów czy spółdzielni rolniczych. Zdobywanie łupów z prywatnych upraw bądź sadów było surowo zabronione.

Podczas mojego pierwszego rajdu, wspomniany już wcześniej Jarek Pindur, który powoził drugim wozem, długo nie docierał na miejsce postoju. Dopiero późnym wieczorem, po ciemku pojawił się na miejscu. Uwagę zwracała starannie zasnurowana plandeka, która imitowała wozy pierwszych osadników na Dzikim Zachodzie.

Heniu Geringer leniwie wstał z fotela i podszedł do wozu. Jarek z dumą relacjonował co tam skrywa, po czym rozchylił poły plandeki. Na sianie, z tyłu wozu leżał skrępowany na okrętkę żywy baran. Szeryf, w swej nieskończonej mądrości, najpierw pochwalił przed wszystkimi dzielność myśliwską Jarka, a potem nakazał mu, by czym prędzej zawrócił i wypuścił barana tam, skąd go zabrał. Było oczywiste, że właściciel



barana natychmiast skojarzyłby jego zniknięcie z przemarszem dziwaków na koniach. Wizyta milicji byłaby więc nieunikniona.

Pewnego dnia i tak do naszego obozu przyjechał milicjant na popularnej wówczas wfm-ce. Interesowało go, czy mamy zezwolenie od nadleśnictwa na postój w tym miejscu. Kiedy ujrzał stosowne dokumenty, był niepokieszony. W końcu jednak na jego twarzy pojawił się triumfujący uśmiešek. „A te psy, czy macie ich świadectwa szczepienia?”. Niestety, mieliśmy. A kiedy zapytał, jak się wabią i usłyszał, że suczka to Flaszka, a pies to Złodziej, machnął tylko zrezygnowany ręką i odjechał.

Skrupulatnie urządzaliśmy też sądzenie koniokradów. Z czasem to mnie, pewnie z uwagi na mój zawód, powierzono zaszczytną funkcję sędziego pokoju. Sądziłem krótko i sprawiedliwie, a wyrok był zawsze ten sam. Śmierć przez powieszenie.



*Autor jako sędzia pokoju.
Z lewej Andrzej Sikora, ksywa „Luśnia”*

Pewnego razu, o mały figiel, osądzonemu westmana nie powiesiliśmy naprawdę. Gdy siedział na koniu ze skrępowanymi do tyłu rękami i założoną na szyję pętlą, koń nagle skoczył do przodu. Tylko przytomności umysłu trzymającego linę, który natychmiast ją puścił, nieszczęśnik zawdzięcza życie.

Każdego dnia na postoju wszyscy obowiązkowo pobierali kąpiel. Nie było zmiłuj się – bez wyjątku nago. Nazywaliśmy to delfinadkami.

Po wyjściu z wody bez skrępowania układaliśmy się pokotem na brzegu, wystawiając „wszystko” do słońca. Co bardziej wrażliwi na promienie słoneczne zakrywali kapeluszami... głowy.

Pewnego dnia brzegiem jeziora nadszedł znany wówczas i popularny aktor komediowy Kazimierz Brusikiewicz w towarzystwie żony Lidii Korsakówny i starszej pani, chyba jej matki. Na nasz widok Kazimierz Bru-



*Autor – gotowy do strzału. Na koniu – świeżo upieczona żona, Betti.
Rajd AKJ na Pojezierzu Drawskim – lipiec 1979 r.*

sikiewicz tylko się uśmiechnął i nie zwalniając kroku szedł dalej, natomiast obie panie z wrażenia weszły do wody po pas. Pytanie tylko – czy z zachwytu, czy z rozczarowania?

Na rajdzie, który odbywał się w malowniczych terenach ziemi lubuskiej, biwakowaliśmy pewnego dnia na grobli, między dwoma jeziorami w pobliżu wsi Gorzyca. Szeryfem był wtedy, o ile dobrze pamiętam, Jurek Kupiński, którego nazywamy pieszczotliwie „Kupą”. Akurat tego wieczoru obchodziliśmy wigilię, z wszystkimi jej zwyczajami. W pewnej chwili na groblę wjechała syrenka, którą miejscowy leśniczy wracał z polowania. Na nasz widok oniemiał. Wziął nas za nieźle pomylnych, więc długo opierał się zaproszeniu na barszcz z uszkami i do wspólnego kolędowania. W końcu przymuszony wyciągniętymi koltami – biedak nie wiedział, że to tylko plastikowe atrapy – uległ.

Kiedy tak siedział przy ognisku, westmiski pracowicie przy pomocy szminek malowały na jego syrence gorszące obrazki. Na koniec został



przez nie serdecznie wycałowany uszmiukowanymi ustami i nie zwracając w ciemności uwagi na swój mocno zmieniony samochód, odjechał.

Następnego dnia, w niedzielę, ubraliśmy się odświętnie i wozem pojechaliśmy na sumę do kościoła w Gorzycy. Spóźniliśmy się celowo, było już po ewangelii. Weszliśmy do kościoła parami po czym, przyklekając przed ołtarzem, rozsiedliśmy się w przednich ławkach, które zwykle bywają pustawe, gdyż miejscowi tłoczą się pod chórem. Ksiądz na nasz widok przerwał kazanie i przywitał nas słowami: „Skądkolwiek przybywacie, witam Was w Domu Bożym”. Następnie spojrzął z przyganą na siedzących z tyłu parafian i dodał: „Bierzcie przykład z naszych gości – oni nie wstydzą się swej wiary”.

Po wyjściu z kościoła wdaliśmy się w pogawędkę z proboszczem, któremu pomogliśmy na pych uruchomić malucha. Ledwo się w nim zmieścił. Przy okazji zapytaliśmy o powód nieobecności w kościele naszego



Na balu AKJ Wrocław – reaktywacja

znajomego leśniczego. Uśmiechając się znacząco odparł, że doszły go słuchy, iż po wieczornej rozmowie z małżonką nie bardzo nadawał się do pokazywania się ludziom.

Na rajdy wrocławskiego AKJ-u jeździli nie tylko westmani i westmiski z Wrocławia. Przyjeżdżali też ludzie z całej Polski. W pamięć zapadł mi ekscentryczny Piotr Wende z Warszawy, krewny znanego później adwokata i polityka Edwarda Wende. Piotr miał bardzo proekologiczne

spojrzenie na świat. Ani razu nie wsiadł na przydzielonego mu konia i cały rajd przeszedł piechotą przy wozie, prowadząc swego wierzchowca za uzdę. Ja siedziałem na koźle, więc przegadaliśmy wiele godzin.

Najsłynniejszy przyjezdny to Lech Kownacki, czyli „Stocznia”. Przyjechał w połowie lat 80. XX w. z Gdańska na swój pierwszy rajd i tak już został. We Wrocławiu bywa bardzo często, nikt nie wyobraża sobie jakiegokolwiek większej imprezy bez niego. A on, gdy tylko może, nigdy nie odmawia. Przyjeżdża zawsze, a jakże, w kapeluszu i przy koltach.

Każdego roku w karnawale odbywały się słynne bale wrocławskiego AKJ-u. Zaproszeni goście przybywali oczywiście w strojach służbowych, czyli westernowych. Pamiętam taki bal w sali wynajętej w Elektrociepłowni Wrocław, gdzie kulminacyjny moment zabawy stanowiła wizyta kowboja



Na balach AKJ Wrocław gościliśmy też gwiazdy

na koniu. Jakimś cudem zmieścili się w wąskich drzwiach wejściowych i wjechali na środek parkietu. Owacjom nie było końca, tylko dyżurni kowboje musieli potem dyskretnie usunąć to, co konik wydalil z siebie wprost na podłogę.

Kolejne bale obfitowały w nowe pomysły i atrakcje. Wśród tych ostatnich niezmiennie były w zasadzie tylko dwie. Zawsze równo o północy, z lewą nogą na stole, śpiewano „Amaranty” i wypijano kieliszek za zdrowie konia. Na każdym balu odgrywano też słynną „Carrambę”, w której



szczególnie komiczną rolę starego Pedra odgrywał przez lata Włodek Ponsnow, mój akademicki nauczyciel, a jednocześnie znany wrocławski adwokat i przez kilka kadencji prezes Dolnośląskiego Związku Jeździeckiego. A szło to tak:

W tawernie meksykańskiej raz
siedziałem i spędzałem czas.
Kowboje grali w pokera,
jak jasna cholera.
Carramba!

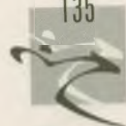
Wtem stary Pedro wstał,
nie będę dłużej z wami grał,
bo szuler jest między nami,
szukajcie go sami.
Carramba!

Ojciec miał silną dłoń,
jebnął szulera w samą skroń,
szuler się nakrył nogami,
zadzwonił jajami.
Carramba!

Wtem stara cyganka,
starego Pedra kochanka,
swym ciałem jego osłania,
choć sama się słania.
Carramba!

Lecz stary Pedro wstał,
ze strachu w portki głośno srał,
spodnie mu spadły od pasa,
a w spodniach miał asa.
Carramba!

Wtem słysząc kości trzask,
powalonego Pedra wrzask,
w minutę burdę skończyli,
to Cartwright z rodziny
Carrambaaaaa!



Do dziś pielęgnuję stare, westernowe przyjaźnie, czy to na wigiliach u Aśki Zagórskiej, czy to na Jankach – wiankach na Odrze, czy wreszcie na wspólnych wyjazdach w plener. Oczywiście zawsze z obowiązkowymi końskimi akcentami.



Westernowe towarzystwo po latach

KSIĄŻ

Większości z nas Książ kojarzy się z ogromnym, eklektycznym zamkiem położonym nad rzeką Pelcznicą, niedaleko Wałbrzycha. Dla mnie Książ to przede wszystkim stado ogierów. Jest to z pewnością najpiękniejszy w Polsce kompleks budynków przeznaczonych dla koni.



Stado Ogierów w Książu

Kiedy pierwszy raz pojawiłem się w stadzie i wszedłem do stajni – oniemiałem. Wnętrza wyłożone pięknymi kaflami, wszędzie mosiężne gałki i ozdobne przegrody boksów i stanowisk. Stajnie pełne były wtedy ogierów rasy śląskiej starego typu, czyli bliższych koniom zimnokrwistym. Imponowały mocną, lecz harmonijną budową ciała. Szerokie, umięśnione zady robiły wrażenie, szczególnie u tych, które stały w stanowiskach. Znakomite konie do powożenia.

Dziś dominuje już koń śląski nowego typu. Lżejszy i bardziej szlachetny, chętnie używany jest do jazdy wierzchem. Książ szczylił się zawsze znakomitymi powożącymi.



Do słynnych wtedy na świecie polskich powożących zaprzęgami czterokonnymi należał Władysław Adamczak, medalista mistrzostw świata i Europy. W jego ślady poszedł Czesław Konieczny, wcześniej świetny skoczek. Zabawną historię z udziałem Czesia opowiadał mi niedawno Andrzej Tomaszewski, ongiś prezes SLKS Książ. W 1980 roku Czesiu wybierał się z czwórką swych podstawowych śląskich ogierów na Otwarte Mistrzostwa Czechosłowacji w Humburkach. W ostatniej chwili wyjazd ten stanął pod znakiem zapytania, gdyż jeden z luzaków – Andrzej Szymczyk, sam później znakomity powożący, dostał powołanie do wojska. Sytuacja zdawała się być bez wyjścia. Wówczas Andrzej zaproponował: „Ja pojedę jako luzak, tylko spróbujcie na cito przerobić odpowiednio do mej tuszy mundur masztalerski”. Tak też się stało i wyjazd na zawody doszedł do skutku.



*Czesław Konieczny na Otwartych Mistrzostwach Czechosłowacji w Humburkach – 1980 r.
Jako luzak awaryjnie prezes Andrzej Tomaszewski.
Zaprzęg śląskich ogierów: dyszlowe – Burbiton i Humus, lejcowe – Wachmistrz i Dolar*

Dzisiaj wspaniałe tradycje powożących z Książa podtrzymuje Bartłomiej Kwiatek, specjalista w powożeniu zaprzęgami jednokonnymi. Bartek to prawdziwy hegemon wśród polskich powożących, multimedalista, mistrz świata z 2018 roku w powożeniu zaprzęgami jednokonnymi.

W książańskim stadzie bywam od wielu lat częstym gościem. Pamiętam wiele zawodów nie tylko w powożeniu, ale i skokach, a także rokroczne zawody w ujeżdżeniu CDI – będące eliminacjami do Pucharu Świata. Stare to bardzo czasy, ale w pamięci pozostały mi też słynne aukcje



w Książu, gdzie – wypowiedzianymi z szybkością serii karabinu maszynowego – słowami imponował aukcjoner Marek Grzybowski, a większość koni stała się własnością stałego bywalca aukcji – Włocha Ettore Simonazziego.

W październiku 1982 roku lizałem rany po operacji usunięcia kamieni nerkowych w sanatorium położonym w pobliskim Szczawnie Zdroju. Dyżurny lekarz uległ moim prośbom i zgodził się, bym po rannych zabiegach mógł pojeździć konno w Książu. Jeździłem jednego konia – Liwra. Ci, którzy widzieli tego konia, pewnie pamiętają go z kariery skokowej pod Asią Lewandowską, córką Kazia, wieloletniego pracownika stada. Liwr miał jedną charakterystyczną cechę. Był posiadaczem bardzo nieefektownego, krótkiego ogona. Ale za to jak chodził. Dobrze ujeżdżony, reagował chętnie na pomoce, w fotelu nie byłoby wygodniej.

O swoich jazdach opowiadałem przy śniadaniu moim towarzyszom od stolika. Była wśród nich kobieta imieniem Helena, która uparła się, bym zabrał ją do Książa. Protestowałem, gdyż wcześniej opowiadała, że jest uczulona m.in. na pot koński. W końcu uległem i zabrałem ją swoim nowiutkim wtedy maluchem do stada, surowo przestrzegając, by nie wchodziła do stajni. Oczywiście nie posłuchała, ale ja wtedy już zmierzałem do krytej ujeżdżalni. Dopiero po dłuższej chwili jazdy zorientowałem się, że na balkonie dla publiczności stoi jakaś postać. Nie znałem jej, więc nie zwracałem na nią uwagi, oddając się całkowicie przyjemności dosiadania Liwra. W pewnej chwili, przejeżdżając bliżej, spojrzałem tam jeszcze raz i zmartwiałem. Była to moja pasażerka. Tak spuchła, że zmieniła się nie do poznania. Zeskoczyłem z Liwra, pozostawiając go w hali masztalerzom, a sam maluchem dowiozłem ją ledwo żywą do sanatorium. Tam dostała serię zastrzyków odczulających i jakoś przeżyła.

Z końcem lat 70. XX w. ukończyłem odbywający się w Książu kurs na sędziów powożenia. Były to czasy, gdy arbitrzy towarzyszyli jeszcze powożącym na koźle. Na odbywających się akurat w Książu Mistrzostwach Polski w powożeniu zaprzęgami czterokonnymi wylosowano mnie jako arbitra na bryczkę powożoną przez Rajmunda Wodkowskiego. Ucieszyłem się, ponieważ znałem już Rajmunda z wcześniejszych wizyt w Sierakowie. Jednym z luzaków był stary, niezawodny Feliks Achtenberg, ten specjalista od dobrych rad.

Kiedy wyjechaliśmy na trasę maratonu, podziwiałem kunszt powożącego i luzaków. Stanowili jeden perfekcyjnie funkcjonujący organizm. W pewnym momencie, gdy zjeżdżaliśmy do stromego jaru, konie lejcowe skręciły w prawo pod górę, podczas gdy dyszlowe parły nadal do przodu. Jeszcze chwila, a bryczka niechybnie miała się przewrócić, i to na moją stronę. Nie wytrzymałem napięcia i zeskoczyłem na ziemię. Tymczasem Rajmund coś tam krzyknął, coś pokombinował, tak że w jednej chwili lejcowe powróciły na swe miejsce i cały zaprzęg rączym kłusem podążył do



kolejnej przeszkody. Dobrze, że moja tchórzliwa rejterada nie zdarzyła się w polu karnym, bo tam koni idących galopem już bym nie dogonił. Tu, Rajmund życzliwie nieco zwolnił, co umożliwiło mi powrót na kozioł.

Wiele lat później, 6 listopada 1999 roku ówczesny dyrektor stada w Książu Jacek Gałczyński zaprosił mnie na bieg myśliwski. W stajni czekał na mnie Akerman, koń z przeszłością w ujeżdżeniu, co sprawiało, że jazda na nim nie wymagała wielkiego wysiłku. Bez problemu pokonywaliśmy kolejne przeszkody, nie zapominając o uzupełnianiu energii przy pomocy krążących z rąk do rąk piersiówek.

Po prawej stronie drogi prowadzącej do zamku i stada, pod rozłożystym dębem, od lat stoi niewielka hyrda. Tego dnia skakaliśmy ją kilkakrotnie w obie strony. Kiedy najechałem na nią po raz kolejny, nie przypilnowałem odskoku i Akerman zdjął się za wcześniej. Efekt – obaj runęliśmy na ziemię. Podniosłem się natychmiast i szybko udało mi się złapać Akermana. Już idąc w jego stronę, czułem, że puchnie mi nadgarstek lewej ręki. Przezornie rozpiąłem rękaw koszuli i zdjąłem zegarek.



Właśnie złamałem rękę. Hubertus – Książ 6 listopada 1999 r.

Nie chcąc narazić się na kpiny i żarty ze strony siedzącej na bryczkach publiczności, spróbowałem dosiąść Akermana. Kiedy lewą ręką chwyciłem przedni łęk i podciągnąłem się w górę, w kontuzjowanej ręce poczułem przeszywający ból, aż łzy stanęły mi w oczach. Udało mi się zająć miejsce



w siodle, po czym kontynuowałem bieg, ale już nie skacząc i trzymając wodze w jednej ręce. Wśród widzów znalazł się lekarz, który obejrzał moją rękę i orzekł: „Może jest złamana, ale niekoniecznie, może tylko pękły torebki stawowe i stąd ta opuchlizna”. Pokrzepiony taką diagnozą ukończyłem bieg, a po nim w barze „Hubertus” przetańczyłem niemal całą noc.

Nad ranem znalazłem się w szpitalu w Wałbrzychu, gdzie dyżurny lekarz stwierdził kompresyjne złamanie kości nadgarstka. „*Loco typico* – typowe złamanie dla upadku z wysokości, ktoś to już panu bardzo dobrze złożył”. Nic podobnego – odpartem, nikt tym nadgarstkiem do tej chwili się nie zajmował. Popatrzył na mnie podejrzliwie i polecił bym opowiedział mu dokładnie co się działo aż do wizyty w szpitalu. Kiedy opowiedziałem mu, z jakim bólem dosiadłem Akermana po upadku, uśmiechnął się i rzekł: „(...) i właśnie wtedy sam pan sobie nastawił nadgarstek. Nikt tutaj lepiej by tego nie zrobił”. Do domu odwiózł mnie Andrzej Tomaszewski. Czekala tam już na nas Beti z gorącym, niedzielnym rosółem.

Spotykamy się z Andrzejem kilka razy w tygodniu na spacerach w parku Klecińskim, gdyż Andrzej od kilkunastu lat mieszka w sąsiedztwie. Wspominamy dawne czasy, a rosółek Beti jest nieodłączną częścią tych wspomnień.

Na czwartym roku studiów Magda wraz z moim obecnym zięciem Michałem przez pół roku studiowali w ramach wymiany Erasmus na uniwersytecie w Salzburgu. Nawiązali tam wiele znajomości i kontaktów ze studentami niemal z całego świata.

Kilka lat po powrocie do Polski złożyły Magdzie wizytę cztery jej salzburskie koleżanki pochodzące z Hongkongu. Przez kilka dni zwiedzały Wrocław i okolice. W latach studenckich byłem przewodnikiem turystycznym, więc zaproponowałem dziewczynom swoje usługi poprzez zwiedzanie książańskiego Stada Ogierów, jak i wycieczkę bryczką po okolicy. Chinki były zachwycone.

Ze Stadem Ogierów w Książu nieodłącznie związana jest rodzina Dąbrowskich. Zbyszek do Książa trafił w 1955 roku ze Stadniny Koni Liski. Przez piętnaście lat był zastępcą dyrektora stada, aby w 1970 roku zostać już szefem na długie 22 lata. Tworzą z żoną Hanią wspaniałe stadło. Mieszkają do dziś w ich dawnym, służbowym mieszkaniu. Prowadzą dom otwarty, często więc wpadają do nich liczni przyjaciele i znajomi. Zbyszek, mimo iż jest już mocno dorosłym mężczyzną – jak to kiedyś zgrabnie określiła Maria Czubaszek – znajduje się nieodmiennie od lat w świetnej formie. Oboje z Hanią śmieją się, że to pewnie dlatego, iż ślubu udzielał im sam Karol Wojtyła, późniejszy papież Jan Paweł II. Zbyszek jeszcze do niedawna bardzo aktywnie udzielał się w sporcie jeździeckim. Stara się być obecny na każdych zawodach organizowanych na pięknym hipodromie w Książu.





Jubileusz 80. urodzin Zbyszka Dąbrowskiego. Powozi Paweł Mazurek. Partynice – jesień 2005 r.



Ze Zbyszkiem Dąbrowskim na Mistrzostwach Polski w Ujeżdzeniu – Partynice 2004 r.

W czasach, gdy na Partynicach rok po roku urządzano mistrzostwa Polski w ujeżdzeniu, Zbyszek Dąbrowski wspólnie z Olkiem Metnerem i Tadeuszem Łanowym zasiadali w tzw. jury d'appel mającym swe stanowi-

sko przy wjeździe na czworobok. Zawsze obok nich gromadziło się grono sympatyków całej trójki.

Przyjaźnię się też z synami Zbyszka i Hani. Młodszy z nich Piotr jest znanym i popularnym aktorem teatralnym i filmowym, natomiast Wojtek przez całe życie, tak jak ojciec, związany jest z końmi. Rozpoczął jako skoczek, by z upływem lat przekwalifikować się na specjalistę od ujeżdżenia. Medalista wielu najwyższej rangi zawodów krajowych i zagranicznych. Na kilkanaście lat przeniósł się z żoną Anią do Turcji, gdzie prowadził ujeżdżeniową kadrę tego kraju. Dzisiaj udziela się jako trener i sędzia na zawodach.

Od kilkunastu lat wspólnie z Wojtkiem i Anią, którą **pieszczotliwie** nazywamy Pusią, Pawłem Mazurkiem i jego żoną Tereską i Włodkiem Kopysiem z żoną Bożenką spędzamy rodzinny tydzień gdzieś w Polsce. Tak się składa, że w czasie tych wyjazdów zawsze trafiamy choć na chwilę do miejsc, w których są konie. Nie inaczej było ostatnio, gdy w pobliżu dworku Henryka Sienkiewicza w Oblęgorku natknęliśmy się na malowniczo położony ośrodek jeździecki, a kilka dni wcześniej złożyliśmy wizytę państwu Uli i Jerzemu Białobokom w Michałowie.



Autor z tarantowatą, małopolską klaczą. Białorzeczka na Suwalszczyźnie – sierpień 2004 r.

W czasie jednej z ostatnich wizyt w Książu Hania Dąbrowska pokazała mi okazały portret Zbyszka namalowany ołówkiem na brystrze. Przedstawia on Zbyszka obejmującego jedną ręką łeb konia, a w drugiej



trzymającego kubek z grzanyim winem. Obraz ten został znaleziony przypadkowo, gdzieś za piecem remontowanego mieszkania pracownika stada. Przepuszczalnie został on narysowany w latach 70. XX w., kiedy to w stadzie często odbywały się obozy studenckie, a w tym plenery malar-
skie. Obraz tak wiernie przedstawia Zbyszka, że poprosiłem gospodarzy, by pozwolili mi zająć się jego oprawą. Kiedy był już gotowy, przywiozłem go do Książa, gdzie odtąd można go podziwiać na ścianie w salonie.



Ze Zbyszkiem Dąbrowskim w jego ogrodzie

W latach 80. ubiegłego wieku Polacy masowo wyjeżdżali do tzw. saksy. Głównym kierunkiem były Niemcy Zachodnie. Pracowali w barach, na budowach, w gospodarstwach rolnych, czy przy zbiorze winogron. Różnica pomiędzy wartością niemieckiej marki a złotówką była tak ogromna, że zarobki z takiej pracy były wielokrotnie większe niż za taką samą robotę w Polsce.

Wiele moich kolegów jeździło do RFN-u regularnie, niektórzy zostali tam na stałe. Mnie nigdy nie przyszło do głowy, by pójść w ich ślady. Wszyscy, którzy pamiętają te lata, wiedzą, jak bardzo wtedy brakowało na rynku praktycznie wszystkiego. Mle kupowało, ale zdobywało się meble, sprzęt gospodarstwa domowego, że o samochodach nie wspomnę. Swego pierwszego malucha kupiłem po odstaniu przez miesiąc w kolejce, w której porządku pilnował komitet kolejkowy. Każdego dnia trzeba było podpisywać się na liście. Trzy absencje oznaczały relegowanie z kolejki.

A tymczasem kumple wracający z saksów przywozili nie tylko duże pieniądze, ale też przedmioty, które dla nas w kraju pozostawały tylko w sferze marzeń.

W końcu i ja postanowiłem spróbować. Był marzec 1990 roku i był to ostatni czas, gdy wyjazdy za granicę dawały jeszcze jako taki zysk. Pracę załatwił mi Olek Metner, oczywiście za pośrednictwem niezawodnego Willy'ego Tschuschke. Była to praca na trzy miesiące w ośrodku jeździeckim niedaleko Koblencji. Ośrodek nazywał się Reitschule-Reiterhof Nassheck. Właścicielem był Heinrich Teschner, człowiek prosty, a momentami nawet prostacki. Starał się być wobec mnie miły i łamaną polszczyzną opowiadał mi bez końca ten sam sprśny i niesmaczny żart. Zupełnie mu nie przeszkadzało, że słuchając go, zachowuję kamienną twarz. Zamieszkałem w małym pokoju przy stajni. Sam ośrodek zrobił na mnie wrażenie. Stajnie przylegały do pełnowymiarowej hali (o ile pamiętam 70 na 30 metrów). Jedna z jej ścian była przeszklona, tak że siedzący w przyjemnej restauracji goście mogli, racząc się piwem, podziwiać popisy ćwiczących na ujeżdżalni. W podwórzu były jeszcze dwie stajnie, a także stodoła i wiata na maszyny rolnicze. Od frontu, na równo wystrzyżonym trawniku



z nadejściem wiosny uruchamiano bar i urządzano grillowanie, które większość Niemców uwielbia. Konie w stajniach stały głównie w boksach, ale te ze stajni przyległej do hali przeważnie w stanowiskach. Nie były to konie najwyższego lotu. Gospodarz kupował je też w Polsce, a że był, jak się później przekonałem, niezłym kutwą, nie lubił przepłacać. W obchodzeniu się z nimi trzeba było bardzo uważać. Zapamiętałem Cyrosa, który kiedy tylko wchodziłem do jego stanowiska, próbował za wszelką cenę połamać mi żebra, przyciskając do ściany. Inny imieniem Sherry przy czyszczeniu i karmieniu tak kopał i gryzł, że by go wyszczotkować musiałem wiązać go na krótko do haka w ścianie. Klacz Barbara również szalała w boksie, gdy do niego wchodziłem, choć akurat jej ruchy były łatwo przewidywalne. Raz jednak, gdy szedłem z nią na halę, połamała mi żebra. Akurat, gdy przechodziłem przez drzwi, ktoś ze stajni mnie zawołał. Zatrzymałem się, ale postępująca za mną Barbara już nie. Dobrze, że było to na krótko przed moim powrotem do Polski.



Na saksach lekko nie ma

Pracowałem ciężko, tak ciężko, że nigdy wcześniej i później nie bolały mnie tak ręce. Rano nie mogłem rozprostować palców w dłoniach. Do obiadu zajmowałem się karmieniem, opróżnianiem boksów i stanowisk, słaniem, a także czyszczeniem koni. Po dwugodzinnej przerwie – w dniach, kiedy nie robił tego osobiście właściciel – prowadziłem jazdy na ujeżdżalni. Wcześniej pomagałem przy siodłaniu i wyprowadzaniu koni na halę.



Przed wyjazdem z Polski wiedziałem z grubsza co będzie należało do moich obowiązków, więc starannie opanowałem terminologię jeździecką po niemiecku. Z każdym dniem dogadywałem się coraz lepiej z kursantami, bardzo się polubiliśmy. Do tego stopnia, że w przeddzień wyjazdu do Polski otrzymałem od nich piękny album, bogaty w fotografie ze wspólnych treningów. Obornik spod koni wywoziłem taczkami na płytę gnojową. Z czasem sarta obornika tak urosła, że z coraz większym trudem, po kładzionych jedna za drugą deskach, wjeżdżałem na górę.

Spośród wszystkich koni jeden wyróżniał się szczególną urodą. Był to czystej krwi siwy arab imieniem Sultan, oczko w głowie pani domu. Ja jednak serdecznie go nie znosiłem. Kiedy już, za pomocą dostarczanych przez Frau Teschner wymyślnych płynów i szamponów, wyczyściłem go tak, że nie było już na nim żadnych żółtych plam i stawał się nieskazitelnie biały, on, mając za nic moje wysiłki, natychmiast robił wielką kupę i się na niej kładł. Szlag mnie trafiał, ale cóż mogłem poradzić.

Początkowo razem ze mną w ośrodku pracowali dwaj Niemcy. Jeden z nich, młody chłopak, pochodził z NRD, drugi starszy – imieniem Ginter – zupełnie nie nadawał się do pracy z końmi, bo się ich po prostu bał. Słusznie zresztą, gdyż niedługo po moim pojawieniu się w Nassheck, Sherry ugryzł Gintera, niemal pozbawiając go jednego palca. Wylądował w szpitalu i stamtąd do koni już nie wrócił. Młody enerdowiec też długo nie popracował, gdyż którejś niedzieli wybrał się w odwiedziny do rodziny i tyle go widziałem.

Byłem wściekły, bo pozostało mi do obrządzenia 30 koni, a Teschner moich uwag o ewentualnej w tej sytuacji podwyżce płacy udawał, że nie rozumie. Złość moja była tym większa, że młody, nie wracając do pracy, przywłaszczył sobie moją nową torbę podróżną, którą pożyczyłem mu na wyjazd. Były to czasy, gdy walił się mur berliński, więc trochę się mu nie dziwiłem. Być może on też chciał uczestniczyć w tych pamiętnych, nie tylko dla Niemiec, ale i całego świata wydarzeniach.

Nie tylko na pracy w stajni i treningu na hali upływał mi czas w Nassheck. Z pobliskiej stodoły toczyłem do stajni wielkie bale słomy, śrutowałem owies na paszę, szprycowałem halę wodą z węża, by się nie kurzyło. Chodziłem wiecznie głodny. Wprawdzie posiłki były obfite i na czas, ale na zmianę była to sałatka kartoflana albo tzw. frikadelle, czyli małe mielone kotleciki. Te akurat lubię, ale podawane co drugi dzień przez trzy miesiące szybko mi się przejadły. W Nassheck poza gospodarstwem Teschnerów nie było innych, nie funkcjonował też żaden sklep, gdzie mógłbym dokonać zakupów. Radziłem więc sobie, jak umiałem.

Co kilka dni z piekarni w pobliskim miasteczku przywożono czerstwe pieczywo, które po wysuszeniu stanowiło uzupełnienie karmy dla koni. Teschner rozkładał je w stodole na wielkiej płachcie, by się dosuszyło.



Wieczorami wybierałem stamtąd co bardziej miękkie bułki i rogaliki, które potem moczyłem w herbacie i zjadałem ze smakiem.

Najlepiej czułem się w poniedziałki. Był to tzw. Ruhe Tag, czyli dzień bez jazd. Reitschule była zamknięta. Gospodarze wyjeżdżali na zakupy do miasta. Pozostawałem sam w całym gospodarstwie, tylko z końmi i psami. Robota szła mi szybko, miałem więcej czasu dla siebie.

Także i ja miałem co jakiś czas dni wolne od pracy. Jeździłem wtedy autobusem do Koblenz. Piękne miasto, na styku Renu i Mozeli, wracałem do niego w latach późniejszych kilkakrotnie. Odwiedziłem też rodzinę Willy'ego w pobliskim Rheinbach, gdzie spotkałem Olka Metnera, który pracował wówczas jako nauczyciel jazdy w wielkim ośrodku jeździeckim w Ettringen. Był wystawny obiad, lody i przejażdżka bryczką.



Autor z Olkiem Metnerem na bryczce w Rheinbach – kwiecień 1990 r.

W końcu kwietnia odwiedziła mnie Ewa Cybulska z Markiem. Zabraли mnie do siebie do Düsseldorfu, gdzie spędziłem dwa bardzo miłe dni. Nadchodził maj, czas kiedy w Niemczech bardzo barwnie obchodzi się Blütenfest, czyli święto kwitnienia. Odbývają się wtedy okazałe pochody konne, a wszyscy prześcigają się w przystrajaniu bryczek i koni. Wieczorem przychodził czas zabawy. Tańczyli razem starzy i młodzi. W jednym takim Kutschen Corso jechałem bryczką Teschnerów jako woźnica. Dobrze mi poszło, bo do zaprzęgu założono najlepiej do tego się nadającą parę

gniadych wałachów. Widząc, że dobrze sobie radzę na koźle, gospodarz od czasu do czasu pozwalał mi na prowadzenie tzw. Planwagen. Był to wóz przykryty plandeką naciągniętą na wygięte pałaki. Zabierałem nim gości Teschnerów, a także turystów na kilkugodzinną przejażdżkę w teren. W czasie jazdy było sporo klusa a nawet galopu, co, jak się łatwo domyślić, siedzącym na wozie podobało się najbardziej. Na długo przed powrotem do ośrodka konie już tylko stępowały, tak że wracały do stajni całkiem suche, a szef nigdy się nie domyślił, że w terenie trochę poszalałem. No cóż, mam całkiem inny niż niemiecki temperament.

Przy ośrodku w Nassheck przyjaciele i znajomi rodziny Teschnerów parkowali tzw. Wohnwageny, czyli przyczepy kempingowe, obok których w weekendy grillowali i popijali piwo. Poznałem wielu z nich.



Wyjazd w teren z turystami ze Szwecji. Z lewej autor

Szczególnie polubił mnie Wolfgang Junecke, urzędnik finansowy, który miał za sobą przeszłość wojskową jako feldfelbel. Rok później zaprosiłem go do Wrocławia. Wozłem go potem przez lata po całej Polsce, a on gościł nas co drugi rok u siebie.

Poznaliśmy w ten sposób wiele ciekawych miejsc, m.in. spędziliśmy cały dzień w słynnym ośrodku jeździeckim w Warrendorfie. Zagłądałiśmy też do Reiterhof Nassheck, ale już w charakterze gości. Podobało mi się to o wiele bardziej niż moja pierwsza tam wizyta.

Po latach, bodaj w 2013 roku, będąc z przyjaciółmi – Iwonką Płóciennik i Tomkiem Bielanowem – na wycieczce w okolicach Koblencki, odwiedziliśmy Nassheck. Mając już na Partynicach nową stajnię i dwie nowoczesne kryte ujeżdżalnie, ośrodek Teschnerów wydał mi się zapyziałym, prowincjonalnym grajdołkiem. Chodząc po stajniach i ujeżdżalni, nie mogłem odnaleźć niczego, czym tak niedawno się zachwyciałem. A minęło raptem nieco ponad 20 lat.



Stajnia sportowa na Partynicach

MAZURKI

Jak to się stało, że tak późno zetknąłem się z klanem Mazurków, doprawdy nie potrafię wytłumaczyć. W końcu z Wrocławia do Pankowa pod Świdnicą jest całkiem blisko, a jednak przez całe lata jakoś się mijaliśmy. Senior rodziny tata Kazimierz już nie żył, kiedy wreszcie, za sprawą Włodka Kopysia i po trosze Moniki Słowik, pierwszy raz znalazłem się w Pankowie.

Już przed wjazdem na obszerne podwórze widać było, że królują tu konie. Musieliśmy zatrzymać samochód, by przepuścić cały tabunik, który po kąpieli w pobliskiej Bystrzycy wracał klusem do stajni. Po lewej stronie od nigdy nie zamkniętej bramy stoi, chylący się ku ruinie, okazały zamek – tzw. ucieczkowy, czyli służący jako ufortyfikowane schronienie dla okolicznej ludności. Nieco dalej, w dużym domu mieszka pani Ludwika – matka Pawła, Grażyny, Jarka i Piotra. W podwórzu kręci się zawsze kilka jack russel terierów, one niezmiennie witają gości, radośnie biegając wokół nowo przybyłych.

Przyjechaliśmy do Pawła, najstarszego z klanu, który całe swoje życie – wzorem ojca – poświęcił hodowli koni. Tatę Mazurka – bo tak się o nim w Pankowie mówi – widziałem przed laty w Książu, przy okazji międzynarodowych zawodów w ujeżdżeniu. Pan Kazimierz wystąpił w przerwie między konkursami, prezentując się w swoim popisowym pokazie powożenia bałagułą, czyli prostej konstrukcji bryczką zaprzęganą w czwórkę koni idących w poręczy. Zaprzęg, cały w kolorowych wstążkach i kwiatach pobrzękiwał, charakterystycznymi dzwoneczkami w postaci obszytych skórą metalowych bałabonów, drewnianych kałatał czy najmniejszych z nich – blaszanych szeptunów. Pokaz był brawurowy, niemal cały czas galopem, co szczególnie w chwilach, gdy bryczka przechylała się niebezpiecznie na zakrętach, wywoływało entuzjazm wśród publiczności.

Paweł też powoził. W 2000 roku jako zawodnik SLKS Książ zdobył brązowy medal mistrzostw Polski w powożeniu parami. Hoduje głównie konie szlachetnej półkrwi. Przez lata w jego stajniach, jak nigdzie indziej, można było spotkać tarenty. Dziś także, choć już nie tak liczne, jak kiedyś.



Tradycje powożenia w rodzinie podtrzymuje najmłodszy z rodzeństwa Piotr. Zaprzęga nie tylko pary, ale też czwórki, dziś już nie tak popularne w Polsce, jak przed laty.

Tereska, żona Pawła, od kilku kadencji jest wójtem gminy Świdnica. Przez lata przekonałem się, jak jest lubiana i szanowana przez mieszkańców gminy. Paweł z Tereską mieszkają w pięknym domu, w którym często bywam. Tradycją już stało się, że w Wielką Sobotę jedziemy do Mazurków



Paweł Mazurek – jak zawsze w formie

w odwiedzin. Gospodarze, oprócz różnych smakołyków, podają na desce ogromną szynkę, do której obowiązkowy jest oczywiście biały chrzan i ćwikła. Aż łzy lecą, tak mocne.

Zajeżdżamy też do nich każdego pierwszego dnia Nowego Roku na bigos. Po przetańczonej całej nocy w pałacu w Morawie koło Strzegomia, nie mamy daleko. Za każdym razem gospodarz prowadzi do koni. Podziwiamy te, które już znamy, jak i te, które pojawiły się na świecie



wczesną wiosną. Stajnia w Pankowie jest boksowa. W wydzielonej części znajdują się też stanowiska. Stoją w nich matki i ich przychowek. Wzruszające momenty oglądałem w tym roku. Zdarzyło się nieszczęście – padły dwie klacze, pozostawiając żrebaki. Akurat, gdy wchodziłem do stajni, Paweł karmił je, podsuwając im miskę z mlekiem. W mgnieniu oka stała się pusta.

Przez lata naszej przyjaźni z Pawłem i jego rodziną obserwowałem, jak wielkim jest pasjonatem tego, co robi. Powtarzający się cykl wydarzeń hodowlanych stymuluje jego życie bez reszty. A przecież na głowie ma nie tylko konie, ale też wiele hektarów upraw roślinnych. Na szczęście rośnie godny następca – syn Maciek, który już teraz wyręcza zapracowanego ojca w codziennych obowiązkach. I robi to z nie mniejszym zapałem niż tata. Paweł opowiadał mi, że kiedyś, w czasie przejażdżki bryczką z małym Maciusiem po okolicznych łąkach, ten rozglądał się z zaciekawieniem dookoła i znacząco się uśmiechał. Nie odezwał się przy tym ani słowem. W końcu Paweł zapytał: „A dlaczego się tak tajemniczo uśmiechasz synku?”. Na to Maciuś odpowiedział: „A wiesz tata, to wszystko będzie kiedyś moje”.

Pewnego razu wybraliśmy się z Pawłem na przejażdżkę po okolicznych polach i łąkach. Oprócz nas ze stajni wyjechali także Włodek Kopyś i Przemek Wiśniewski, mój stały partner tenisowy. Paweł dosiadał gniadej Tigry, ja też klaczy, tyle że karej, której imienia już nie pamiętam. Wjechaliśmy w gęstą kukurydzę. W pewnym momencie jadący przodem Paweł wypłoszył z gęstwy złodzieja – amatora świeżych kolb. Ten, uciekając, spłoszył Tigrę tak skutecznie, że ta zrzuciła zaskoczonego Pawła na ziemię. Dalej jechaliśmy już ostrożnie, głośno komentując zdarzenie, które, jak nakazuje zwyczaj, kosztować miało pechowego jeźdźca butelkę wódki. Jeszcze dobrze nie wyjechaliśmy z kukurydzy, gdy drogę przecięło nam stado uciekających saren. Tym razem to ja, zanim się spostrzegłem, leżałem plackiem na ziemi. Zapowiadała się niezłe zakrapiana uczta.

Uwielbiliśmy te jazdy z Pawłem w teren. Pamiętam taką, kiedy wracaliśmy przez zaśnieżone pola do stajni. Był wieczór, ale jeszcze widno. Gdy wyjechaliśmy z lasu i ruszyliśmy galopem, nagle z lewej strony poderwało się do ucieczki stado kilkudziesięciu saren. Odbiliśmy w prawo, ale po tej stronie również pojawiły się sarny. Obie ich grupy biegly w tym samym kierunku co my. Wyglądało to tak, jakby stanowiły naszą asystę. Dopiero, gdy w oddali zamajaczyły zabudowania Pankowa, sarny odbiły na boki, a my już stępem dotarliśmy do stajni.

Wybieraliśmy się także konno do pobliskiego pałacu w Kraskowie. Ostatni odcinek pokonywaliśmy, galopując, płytką w tym miejscu Bystrzycą. Po przybyciu na dziedziniec przed pałacem kelnerzy serwowali nam na srebrnych tacach zmrożoną wódkę. Prawdziwe dolce vita.

Były też przygody dramatyczne. Pewnego dnia wybrałem się z Pawłem konno do pobliskiej wsi Wierzba. Zatrzymaliśmy się przed restauracją „U Jadzki”. Właścicielka lokalu to przyjaciółka domu Mazurków.



Ja dosiadałem Lwiego Pazura, a Paweł Farysa, oba gniade, szlachetnego eksterieru. W pewnym momencie Farys zaczął bardzo się pocić. Po prostu się z niego łało. Było to o tyle niepokojące, że przejażdżka nie należała do wyczerpujących, w przeważającej części zajęci rozmową jechaliśmy stępem. Koń Pawła słabł w oczach. Zeszliśmy z koni i dalej już prowadziliśmy je w rękę do stajni. Tam Farys poślizgnął się na podłodze przed boksem i upadł. Stękał przy tym i rzeził, dobywając resztek sił, by się podnieść. Do stajni przybiegł kto żyw. Pojawił się też najmłodszy brat Pawła, Piotr – z zawodu lekarz weterynarii. Wszyscy próbowaliśmy pomóc, by koń wstał. Aby utrzymać temperaturę jego ciała nacieraliśmy go wiechciami słomy i spirytusem. Piotr w tym czasie podawał niezbędne medykamenty. Jak się okazało, był to ciężki mięśniowchwat, który dla koni w wielu przypadkach może stanowić śmiertelne zagrożenie. Farys walczył. W końcu po wielu próbach, krzesząc spod kopyt iskry, zdołał jakoś wstać. Chwiejąc się, podtrzymywany przez nas z obu stron wszedł do boksu. Nie zapomnę chwili, gdy Paweł podał mu żdzłbo siana, a on, ostrożnie żując, je zjadł. „Ma się na życie” – oznajmił Paweł. Odetchnęliśmy.



Przed biegiem w Pankowie.

Od lewej: Przemek Wiśniewski, Włodek Kopyś, Paweł Mazurek, autor

Przez wiele lat w Pankowie obchodziliśmy hucznie dzień św. Huberta. Bieg prowadził zawsze Paweł, kilka razy jechała z nami jego córka Karolina, która startuje z powodzeniem w konkursach ujeżdżenia. Dziś



Karolina mieszka w pobliskim Bagieńcu, gdzie, a jakże, zajmuje się końmi, trenując je i przygotowując do sportu lub na sprzedaż.

Gdy po kilku godzinach w terenie i złapaniu lisa odstawiliśmy konie do stajni, przechodziliśmy do ruin zamkowych, gdzie przy ognisku

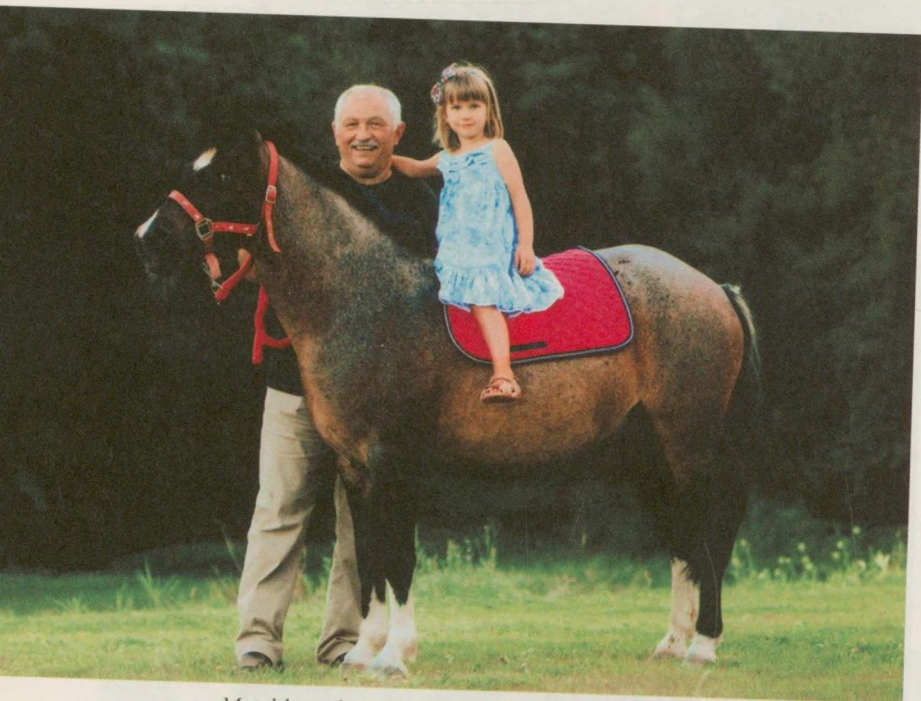


Wnuczka autora Matylda w stajni u Mazurków

rozpoczynała się biesiada. Gospodarze zawsze dbali o należytą oprawę tego wieczoru, ustawiając na murach wydrążone dynie z palącymi się w środku świecami. Nigdy nie brakło tam braci Pawła. Oprócz Piotra stawał się zawsze Jarek z żoną Violą, a także siostra Grażyna z mężem Romanem. Jarek Mazurek gospodarzy na wielu hektarach w pobliskim Bagieńcu. Od kilku lat tworzy tam kilkunastohektarową winnicę, z której wina, a szczególnie pyszne cuvée, bardzo nam smakują. Grażyna jest niestrudzonym kronikarzem wszystkich ważniejszych wydarzeń w rodzinie. Po każdym z nich otrzymujemy komplet zdjęć z przemyśłym komentarzem.



Do takich, wartych upamiętnienia wydarzeń, należy zbudowanie przez córkę Grażynę, Paulinę i jej męża Grzegorza, wspaniałego ośrodka jeździeckiego między Wierzbną a Bagieńcem. Nosi on nazwę Biały Las. Wszystko: stajnie, hipodrom, restauracja, maneże treningowe, hotel i domek sędziowski, zostało zaprojektowane na światowym poziomie. Czasami pomagam gospodarzom jako spiker. Lubię też zajrzeć tam, by po prostu zjeść obiad w restauracji, z której przez wielką szybę można podziwiać ćwiczących na krytej ujeżdżalni.



Matylda na kucu Groszek. Stajnia Biały Las

Co roku mój kuzyn Adaś Wyspiański – znany artysta rzeźbiarz – organizuje w Białym Lesie wigilię wigilii. Zawsze gdzieś w połowie grudnia. W tym dniu do Białego Lasu zjeżdżają się liczni goście, i to nie tylko ci, którzy mają coś wspólnego z końmi. Kuchnia podaje tradycyjne wigilijne potrawy, a każdy z przybyłych stawia na stołach rozmaite napitki, wśród których królują wymyślne nalewki. Adaś odgraża się, że to już ostatnie takie spotkanie, które urządza, ale nikt mu nie wierzy.

Corocznie do Pankowa i Białego Lasu zabieram wnuczki Matyldę i Helenkę na sesje fotograficzne. Uwielbiają kontakt z końmi i oblegającymi je mazurkowymi russellami. U ich mamy Magdy łapię w ten sposób sporo punktów.



ROZMAITOŚCI

W moich wspomnieniach nie może zabraknąć Andrzeja Szmyrki. On też, jak wielu innych, zaczynał w Śląsku Wrocław przy ulicy Mieszczkańskiej u płk. Janusza Gottwalda. Razem z nim swoich sił próbował w skokach jego brat Janusz, w swoim czasie popularny dziennikarz sportowy. Obaj startowali w zawodach na nieistniejącym już, kameralnym hipodromie przy ulicy Wyścigowej we Wrocławiu, gdzie dziś mieści się Novotel.

W 1981 roku Andrzej zdobył uprawnienia trenera jeździectwa I klasy, co w owym czasie było nie lada wyczynem. Dość powiedzieć, że przez lata był jedynym trenerem tej klasy na Dolnym Śląsku. Na Partynice trafił z początkiem lat 80. XX w. I wtedy bliżej się poznaliśmy. Ujmuje swą życzliwością. Nie słyszałem, by kiedykolwiek podniósł na kogoś głos. Ta jego łagodność czasem mu nawet przeszkadzała, by wyegzekwować u partynickich gwiazd należyty posłuch.

Sam też notował na swoim koncie sukcesy sportowe. W 1960 roku wraz z Antkiem i Tomkiem Pacyńskimi oraz Norbertem Wieją dwukrotnie był drugi w konkursach drużynowych na Mistrzostwach Europy Juniorów w Wenecji. Indywidualnie srebrny medal zdobył wtedy Antek Pacyński, Andrzej z Norbertem Wieją byli też wysoko, bo w pierwszej dziesiątce.

Dziś Andrzej nadal uczy młodzież jeździectwa, na własnym koniu imieniem Fidel, które wywodzi się od słowa *fidelis*, czyli wierny. Poznałem też żonę Andrzeja – Anię. Jest to kobieta o ciepłym usposobieniu, wspiera Andrzeja w jego pasji, a sama jako klimatolog była dwa razy z polskimi wyprawami na Spitsbergenie.

Szukając nauczyciela jazdy dla Magdy, nie mogłem nie trafić do Andrzeja. Prowadził wtedy szkółkę jeździecką w Wysokiej na południu Wrocławia, a więc niedaleko od mojego domu. Pewnego dnia obserwowałem wyczyny Magdy na ujeżdżalni oparty o ogrodzenie, na którym powiesiłem płaszcz. Kiedy po jeździe wróciliśmy do domu z przerażeniem stwierdziłem, że z kieszeni płaszcz zniknęła koperta, w której miałem pieniądze na zakup nowego samochodu. Gorączkowo usiłowałem sobie przypomnieć, gdzie mogłem ją zgubić,



aż w pewnym momencie doznałem olśnienia. Czym prędzej wróciłem na Wysoką, gdzie w gęstej trawie obok ogrodzenia ujeżdżalni znalazłem nie-naruszoną kopertę.

Jeżdżąc konno, zawsze marzyłem o przejażdżce w prawdziwych górach i brzegiem morza. Tej drugiej zachcianki nie udało mi się spełnić, za to tę pierwszą i owszem. Któregoś dnia dowiedziałem się, że na pograniczu Gór Bystrzyckich i Orlickich, nieopodal Dusznik-Zdroju, na rozległej polanie ktoś wyremontował stare schronisko i zbudował stajnie, gdzie trzyma konie użyczane do jazdy w terenie. Ośrodek nazywa się Rancho Panderosa, a założył go z początkiem lat 90. XX w. Leszek Janicki. Pojawił się tam jako człowiek nie mający nic wspólnego z końmi, prosto ze Szczecina, gdzie prowadził mały prywatny biznes.



Autor z Przemkiem Wiśniewskim na jeździe w górach

Namówiłem Przemka Wiśniewskiego i razem z naszymi żonami, wczesnym przedpołudniem, zameldowaliśmy się w Panderosie. Gospodarz od razu zaprowadził nas do przestronnej stajni, gdzie czekały już na nas trzy konie. Jeden folblut, którego dosiadł on sam, a pozostałe dwa były, jak twierdził, rasy wielkopolskiej, choć na mój sierakowski nos – niekoniecznie.

Nie posiadaliśmy się ze zdumienia, gdy Leszek od razu ze stajni ruszył galopem. Krzyczeliśmy do niego, by najpierw trochę postępował, potem przeszedł do kłusa, a dopiero później galopu. Ten, nie słuchając nas,



nadal galopował, by po chwili zniknąć w lesie. Nie znaleźliśmy drogi, więc chcąc nie chcąc ruszyliśmy galopem za nim. Myśleliśmy z Przemkiem, że to tylko taka krótkotrwała fanfaronada, ale Leszek nie zwalniał tempa. Z przerażeniem czekaliśmy, aż nasze konie połamią nogi na stromej, kamienistej ścieżce. Nic takiego się nie stało, więc gnaliśmy dalej. W pewnym momencie Leszek nieco zwolnił, ale nadal jego koń szedł galopem. Droga stała się kręta i spiralnie prowadziła ostro w dół. Leszek odwrócił się i zapytał, czy wiemy po czym galopujemy. Oczywiście nie wiedzieliśmy, na co z dumą odrzekł: „Po starym torze saneczkowym”. I rzeczywiście, gdy się bardziej przyjrzelśmy dostrzegaliśmy resztki drewnianych band. Leszek nadal dyktował tempo, oczywiście cały czas galopem. W końcu trochę zwolnił. Znaleźliśmy się na Jamrozowej Polanie – w tamtych latach centrum polskiego biathlonu. Konie po brzuchy tonęły w paprociach, więc, nie widząc podłoża, bałem się, że mogą sobie zrobić krzywdę, wpadając w jakąś dziurę. I tym razem nic się nie wydarzyło, więc pogalopowaliśmy dalej.

Trwało to niemal dwie godziny. Dopiero, gdy w oddali ujrzeliśmy schronisko i stajnię, Leszek pozwolił przejść do stępa. Do stajni wróciliśmy na całkiem suchych koniach. W boksie dokładnie obejrzałem nogi mojego konia, a tu nic. Najmniejszego skaleczenia, zdartej skóry, nic. Kiedy zasiedliśmy przy obiedzie, próbowałem tłumaczyć gospodarzowi, że tak nie można, że prędzej czy później taką jazdą wyrządzi krzywdę koniom. On tylko się uśmiechnął i odrzekł: „Widzieliście przecież ich nogi, one są przyzwyczajone”. Widząc, że nic nie wskóram, pożegnaliśmy się i nigdy więcej już do Panderozy nie wróciłem.

Po latach spotkałem Leszka Janickiego na Partynicach przy okazji zawodów w stylu western, któremu, jak się dowiedziałem, poświęcił się bez reszty. Potem jeszcze usłyszałem, że w czasie jakiegoś przemarszu z tabunem koni uległ wypadkowi i ledwie się wykaraskał z kontuzji. O ile wiem, nadal galopuje bez umiaru po górach.

Na wrocławskim Oporowie od wielu lat działa Ośrodek Rekreacji Konnej Hucuł prowadzony przez rodzinę Knolli. Szefem jest pan domu Bogdan. Żona Janeczka prowadzi całą buchalterię i kieruje ruchem kursantów, a syn Andrzej prowadzi jazdy. Od lat rodzinie pomaga Zbyszek Pilarczyk, czyli popularny „Klapek” – swojego czasu czynny zawodnik w skokach w Książu i WKS-ie Śląsk.

Bogdan ma żelazną zasadę, że nie można kilku rzeczy naraz robić perfekcyjnie, więc nie „bawi się” w żaden sport, skupiając całą energię na tatersalu. Bardzo dba o życie klubowe, które toczy się w przytulnym pomieszczeniu z kominkiem. To właśnie w Hucule moja wnuczka Matylda po raz pierwszy w życiu dosiadła konia – sympatycznego szetlandzkiego kuca imieniem Nemo.





Wnuczka autora Matylda na szetlandzkim kucu Nemo – październik 2012 r.



Zastęp husarii. Pierwszy z lewej – Bogdan Knoll

Bogdan **przez** wiele lat pasjonował się odtwarzaniem ubiorów polskiej jazdy, **szczególnie** husarii. Wraz z grupą podobnych mu zapaleńców budził sensację, kiedy strojnym hufcem pojawiali się na Partynicach, przy okazji biegów św. Huberta.



W jednym z boksów Hucuła stoi ulubieniec Bogdana, siwy już bardzo, arab Willet. Kupił go na Partynicach, gdzie biegał w barwach stajni Posadowo, jeszcze wtedy, gdy kierował nią Staszek Borkowski. Właśnie na nim, wygrywając setną gonitwę w karierze, została dżokejem Małgorzata Kryszylowicz, która do dziś startuje z powodzeniem w płaskich gonitwach. Willeta, poza Bogdanem nie ma prawa dosiadać nikt inny. Czasami wpadam do Hucuła na szklankę herbaty, by pogadać z gospodarzami bądź wspomóc ich przy mikrofonie na różnych imprezach.

Latem 2015 roku wraz z Mazurkami, Kopysiami i Dąbrowskimi spędziliśmy wakacje w Bieszczadach. Wśród wielu atrakcji, jakie zaplanowaliśmy przed wyprawą w te niezwykle góry, była wizyta u Janka i Ani Dudków w Czarnej Dolnej niedaleko Ustrzyk. Oboje to lekarze weterynarii. Od ponad ćwierćwiecza mieszkają w Bieszczadach, tam gdzie – jak mawia Paweł Mazurek – nawet wrony kończą swój lot. Janek w czasach studenckich związany był z klubem jeździeckim Zagon Pawłowice, skupiającym głównie studentów Wyższej Szkoły Rolniczej we Wrocławiu.

W Czarnej Dolnej Janek i Ania administrują wielkim kilkusethektarowym gospodarstwem rolnym. Oczywiście są tam też i konie – szlachetne i wyróżniające się harmonijną budową hanowerany.

Zanim zasiedliśmy do obiadu, Janek zaproponował przejażdżkę terenowym jeepem po okolicy. Pojechaliśmy w trójkę: Janek za kierownicą, a Paweł i ja jako pasażerowie. Niemal od razu po wyjechaniu z podwórza znaleźliśmy się na bezkresnych łąkach, gdzie trawa sięgała do połowy szyb naszego samochodu. Janek prowadził pewnie i bez wahania. Jak znajdował drogę w bujnej trawie, wiedział tylko on. Mijaliśmy wąwozy pełne kamieni, błotniste strumienie, strome zbocza – nic nie stanowiło dla Janka jakiegokolwiek przeszkody. Akurat tego dnia pogoda była piękna. W oddali majaczyły jeden za drugim łańcuchy górskie. Co jakiś czas Janek przystawał i pokazywał ślady łemkowskich wiosek, starych cerkiewek i cmentarzy. Łąki pełne kwiatów odurzały zapachami.

Zachwyceni wróciliśmy do domu, gdzie gospodarz poprowadził do stajni. Powitało nas rzenie kilkunastu jej mieszkańców, reszta przebywała akurat na padokach. Przy stole rozmawialiśmy przez wiele godzin, Janek opowiadał o trudach prowadzenia tak wielkiego gospodarstwa. To właśnie wtedy usłyszałem z jego ust opowieść o jednym z jego traktorzystów, którą zaliczam do perełek kazuśów z zakresu prawa pracy.

Otóż pewnego dnia, tuż przed sianokosami, jeden z najlepszych traktorzystów oświadczył Jankowi, że otrzymał propozycję lepiej płatnej pracy i zamierza się czym prędzej zwolnić. Janek, nie mogąc zaproponować mu konkurencyjnej podwyżki, rad nie rad musiał się zgodzić. Ci, co znają Janka bliżej, wiedzą, że należy on do coraz rzadziej spotykanego dziś „gatunku” pracodawców, którzy nie zatrudniają pracowników na tzw.

śmieciówkach. Wszyscy mają porządne umowy o pracę, zawarte na czas nieokreślony i sformułowane na piśmie. Każdy przeszkolony jest w zakresie bhp i ubezpieczony. Skrupulatny Janek zażądał więc, by traktorzysta przemyślał jeszcze raz swoją decyzję i jeśli będzie przy niej obstawał, ma się zgłosić następnego dnia z wypowiedzeniem umowy o pracę na piśmie. I rzeczywiście, wczesnym rankiem w kantorku Janka pojawił się rzeczony



Rys. Matylda Korczak – wnuczka autora

traktorzysta, kładąc na biurku wypowiedzenie o treści: „Od jutra nie robię i chuj”. A ponieważ pismo to zawierało imię i nazwisko autora oraz własnoręczny jego podpis, a przede wszystkim wskazywało datę ustania stosunku pracy, należało uznać je za wywołujące zamierzony skutek prawny.

Któregoś dnia trafiłem do ośrodka jeździeckiego Gostar w Goduszynie, małej miejscowości pod Jelenią Górą. Wcześniej wiele słyszałem o tym, jak pięknie jest położony i jakie wspaniałe warunki mają tam konie.



I rzeczywiście ośrodek zachwyca. Gdy tam trafiłem, prowadzili go Iwona i Rafał Szafirowie. Piękne, przestronne stajnie boksowe i pełnowymiarowa kryta ujeżdżalnia, która – podobnie jak otwarte place konkursowe – pokryta jest nowoczesnym kwarcowym podłożem. Podziw budzi gustownie urządzona restauracja, oczywiście z przeszkloną ścianą wychodzącą na ujeżdżalnię, gdzie ćwiczą jeźdźcy. Specjalność zakładu, steki, podawane w zależności od upodobań, mniej lub bardziej wysmażone. Nigdzie lepszych nie jadłem, a ci co mnie bliżej znają, wiedzą, że specjalnym amatorem wołowiny nie jestem. Jest też kameralny hotelik. Słowem, ośrodek w którym niczego nie brakuje.

Największym jednak atutem Gostaru jest jego położenie. Za stajniami trawiasty teren powoli pnie się w górę, aż do skraju rozległego lasu. Całkiem w oddali widać Karkonosze z charakterystycznym, czubatym szczytem Śnieżki. To właśnie chyba w Gostarze po raz ostatni siedziałem na koniu. Pojechałem z Rafałem na dwugodzinną jazdę w góry. Nie zapomnę jej do końca życia, gdyż widoki, na jakie co chwila natrafialiśmy, zapierały dech w piersiach.

Koń, na którym siedziałem, był mocno zbudowany i szeroki, przeciwnie czemu z minuty na minutę coraz bardziej buntowały się moje biodra i kręgosłup. Gdy w końcu obolały, ale zadowolony wróciłem do stajni i znalazłem się na ziemi, długo nie mogłem się wyprostować. W końcu jednak, szeroko stawiając nogi, ruszyłem przed siebie.

Chyba pora już kończyć – pomyślałem.



Moja ostatnia jazda



TOWARZYSTWO

Było to chyba 18 lat temu, więc nie pamiętam już, kto pierwszy wpadł na pomysł urządzenia zabawy sylwestrowej w pałacu położonym w Sadach Dolnych, nieopodal drogi wiodącej z Wrocławia do Jeleniej Góry. Skrzyknęliśmy się błyskawicznie. Od początku ster organizacyjny przejął Włodek Kopyś. Znamy się od lat, oczywiście „z koni”, razem dosiadaliśmy ich na Partynicach i nie tylko. Włodek to znany i niezwykle ceniony fizjoterapeuta. Człowiek wielu talentów, narciarz i jeździec. Od lat prowadzi gabinet, gdzie w poczekalni zawsze zastać można tłum pacjentów. Przez lata opiekował się słynnymi polskimi pingpongistami – Andrzejem Grubbą i Leszkiem Kucharskim, z jego pomocy korzystali nawet alpejczycy austriaccy. W każdą niedzielę można go spotkać na wrocławskim stadionie olimpijskim, gdzie czuwa nad zdrowiem żużlowców w czasie zawodów.

Ten pierwszy Sylwester w Sadach Dolnych nie należał do najlepszych. Pałac, w którym nas zakwaterowano, był świeżo po generalnym remoncie i nie wszystko było jeszcze gotowe. Fatalna była muzyka i wyżywienie. Najważniejsze jest jednak towarzystwo, a to było wyborne. Przybył Olek Metner z Elą Maryńską, Tadeusz i Teresa Łanowy, Mazurkowie, Staszek Borkowski z żoną Krysią, Maryla i Grzegorz Konarscy, Mariola Pietrzyńska i Heniu Geringer, Dzidka Przyjałgowska z mężem Borusiem, Kopysiówie, czyli Włodek z Bożenką, Iwonka i Heniu Orzechowscy i Danusia Grabowska.

Rankiem, gdy wszyscy czekaliśmy na spóźnione śniadanie, coś mnie napadło i zacząłem opowiadać zabawne historyjki, które po latach stały się treścią mojej pierwszej książki pt. *Kryminaliki*. A ponieważ dla kurażu popijaliśmy nie tylko regeneracyjną herbatkę, humory dopisywały wszystkim, a zaniedbania gospodarzy pałacu szybko poszły w zapomnienie.

I tak to się zaczęło. Bawiliśmy się w różnych miejscach. Po Sadach Dolnych przyszedł czas na restaurację „Śleżański Młyn”, pensjonat w Modliszowie, raz spotkaliśmy się w okrągłaku na wrocławskich Partynicach. Wszystkim tym zabawom towarzyszyły pokazy fajerwerków przygotowywane przez niezmordowanego Włodka. Ostatecznie, od wielu lat spotykamy się w pałacu położonym w Morawie koło



Strzegomia. Propozycja, by tam bawić się w Sylwestra, wyszła od Marylki i Grzesia Konarskich. Oboje są absolwentami zootechniki SGGW w Warszawie. Marylka, szczupła blondynka, do dziś imponuje zgrabną sylwetką, której pozazdrościć mogłaby jej niejedna nastolatka. Grzesiu, wysoki, kostyczny, z rozrzewnieniem wspomina czasy licealne i studenckie, gdzie oprócz koni próbował swych sił w koszykówce. Z końcem lat 60. XX w. zaczynał na stażu w Stadninie Koni Strzegom. Zabawił tam krótko, bo już po dziesięciu miesiącach wylądował w powstającej wtedy Stadninie Koni w Jarosławcu. To właśnie tam zastał go Bolesław Orłoś, ważna postać w polskiej hodowli koni, który widząc zaangażowanie Grzesia rzucił: „Ty pieprzona owieczko, chyba naprawdę chcesz być w przyszłości kierownikiem stadniny. Najpierw jednak musisz jeszcze trochę popraczkować”. I tak trafił na półtora roku do Janowa Podlaskiego pod skrzydła Andrzeja Krzyształowicza, legendy hodowli czystej krwi arabsów.

I znów przeprowadzka. Zadzwoił Czesław Sikora, dyrektor stadniny koni w Stubnie, z propozycją objęcia tam przez Grzesia funkcji kierownika gospodarstwa. Nie bardzo mu się to podobało, bo chciał zajmować się tylko ukochanymi końmi, a nie mieć na głowie jeszcze bydła, trzody i upraw roślinnych. Koniec końców i tak do Stubna trafił, i to na kilka lat. A Czesław Sikora swe zdziwienie jego początkową odmową skomentował



*Maryla Konarska i jej zwycięski wychowanek Joung Islander.
Z lewej Mieczysław Melnicki. Derby 2003 r.*



w charakterystyczny dla siebie sposób: „Kiej cholery nie chciał pan przyjść do Stubna?”.

Marylka, z którą Grześ wziął ślub jeszcze w Jarosławce, początkowo trafiła do Golejewka a potem do Janowa Podlaskiego, gdzie zajmowała się bydłem i sprawami gospodarczymi. W końcu trafiła do Stubna, gdzie był już Grześ.

W 1973 roku losy Grzesia zatoczyły koło. W Stadninie Koni Strzegom tworzono nowy oddział w Skarżycach i potrzebny był ktoś, kto zajmie się folblutami. W 1974 roku Grzegorz został kierownikiem stadniny i pracował na tym stanowisku niemal 20 lat, bo do 1992 roku. Zastąpiła go Maryla, która kierowała hodowlą aż do 2008 roku.

Strzegomska stadnina dała wiele wspaniałych koni. Nie sposób wymienić ich wszystkich, ale na pewno trzeba wspomnieć o najlepszym z nich – ogierze Hipoliner, który wygrał 17 wyścigów pozagrupowych w kraju i za granicą. Znacomity był gniady Cisów czy klacz Jaka Bądź, która wygrywała m.in. dwukrotnie w Warszawie i Berlinie, w nagrodach dla klaczy, czyli Oaks.



Puchar Świata w WKKW – na przeszkodzie w crossie

W 1973 roku przy stadninie powstał klub jeździecki Stragona Strzegom. Do chwili obecnej Grzegorz jest jego prezesem.

Dokonania rodziców fantastycznie kontynuuje Marcin Konarski. W Morawie stworzył ośrodek jeździecki klasy światowej. Dość powiedzieć,



że począwszy od 2003 roku corocznie na hipodromie w Morawie odbywają się zawody w WKKW z cyklu Pucharu Świata. W tym roku, jak stwierdził Marcin Konarski w wywiadzie telewizyjnym, zawody te osiągnęły już pełnoletniość, gdyż, mimo pandemii koronawirusa, udało się je zorganizować po raz osiemnasty.

Kalendarz imprez w Morawie to nie tylko WKKW. Niemal co tydzień zjeżdżają tu specjaliści od skoków, ujeżdżenia czy powożenia. Marylka i Grzegorz, choć dziś już na emeryturze, niestrudzenie wspomagają Marcina przy organizacji zawodów. Podobnie jak drugiego syna Pawła, który postawił na powożenie.



Pałac w Morawie

Nieopodal hipodromu w Morawie stoi pałac stanowiący obecnie własność Fundacji św. Jadwigi, założonej przez dawną mieszkankę Melittę Sallai. To właśnie tam zakotwiczyliśmy na dobre, by spotykać się w Sylwestra. Zjeżdżamy się na tyle wcześniej, by każdy mógł pochwalić się nalewkami własnego wyrobu. W kuchni prym wiedzie pani Ula, która przez lata witała nas w progu wyśmienitymi, gorącymi rogalikami nadziewanymi różą. Zabawie towarzyszą niezmiennie rytuały. Punktualnie o północy, z lewą nogą na stole wypijamy zdrowie konia, śpiewając chórem „Amaranty”. Następnie wszyscy ubieramy się ciepło i gromadzimy na rozległym tarasie, by podziwiać pokaz sztucznych ogni przygotowany przez Włodka Kopysia.



Rankiem niespiesznie schodzimy na regeneracyjne śniadanie, po czym obowiązkowo jedziemy do Pankowa, gdzie gospodarze Teresa i Paweł Mazurkowie raczą nas przepysznym bigosem. Oczywiście nie obywa się bez wizyty w stajni. To jednak nie koniec zabawy. Następnym przystankiem była Żółkiewka, gdzie w przestronnym, pełnym starych obrazów i antycznych mebli mieszkaniu Maryla podejmowała nas wspaniałym sernikiem. Dziś od paru lat Marylka i Grześ mieszkają w Kątach Wrocławskich, ale ta przeprowadzka niczego nie zmieniła. Obowiązkowy sernik musi być. Marylion – bo tak się do niej żartobliwie zwracam – podaje jeszcze deser w postaci bezy z malinami w bitej śmietanie. Palce lizać.

Sylwestrowe towarzystwo ma swój stały skład, ale co roku przybywają nowi amatorzy wspólnej zabawy. Tak przed wielu laty poznałem Jagę i Jarka Kochów. Jaga, córka Andrzeja Krzyształowicza, legendarnego dyrektora Janowa Podlaskiego, poznała Jarka jeszcze na studiach zootechnicznych. Urzeka elegancją i znakomitym poczuciem humoru. Związana przez całe życie z końmi, nie tylko za sprawą sławnego ojca, ale też poprzez pracę zawodową w stadninach Liski, Janów Podlaski i Widzów.

Jarka niezmiennie kojarzę ze stadniną koni pełnej krwi w Widzowie, gdzie przez lata był szefem i hodowcą znakomych koni wyścigowych. Któż z bywalców Służewca nie pamięta Dżamajki, San Luisa, San Moritza czy Diexielanda. Wielką karierą poszczycić się mógł ogier Dżudo, który biegał m.in. w słynnej nagrodzie Łuku Triumfalnego w Paryżu. W 1980 roku konie wyhodowane w Widzowie wygrały na Służewcu wszystkie sześć wyścigów zaliczanych do gonitw klasycznych dla koni pełnej krwi. Klacz Sinaja zwyciężyła w Nagrodzie Wiosennej, Nagrodzie Derby i Nagrodzie Oaks, ogier Dżudo wygrał nagrody Rulera i St. Leger, zaś Diexieland zameldował się jako pierwszy na celowniku w Wielkiej Warszawskiej. Spod ręki Jarka wyszły też tak świetne konie, jak Dipol – niepobity w Polsce jako trzylatek, czy Masini, bardzo dzielny koń przeszkodowy. Z Jarkiem i Jagą z czasem połączyła nas przyjaźń, którą bardzo sobie cenię.

Nie tylko o koniach przegadaliśmy wiele godzin. Jarek, podobnie jak ja, jest zapalonym narciarzem, i jak ja upodobał sobie włoskie Dolomity, a szczególnie dolinę Alta Badia. Bywamy tam często, więc każdej zimy wymieniamy się wrażeniami ze stoków. Aż dziw, że jeszcze tam razem się nie wybraliśmy.

Od lat Jarek pracuje na warszawskim Służewcu jako sędzia wyścigowy. Ja już od dawna nie sędziuję na wyścigach, ale z ciekawością słucham jego opowiadań o różnych wydarzeniach wyścigowych. Wyrażając swoje opinie, wracam do moich doświadczeń sędziego wyścigowego, co sprawia mi dużą frajdę. Odżywają w pamięci wydarzenia, ludzie i konie, tak jakby to było wczoraj. Może jeszcze do tego kiedyś



wrócę – kto to wie? Choć nadzieja jest niewielka – zbyt wiele na Partynicach musiałyby się zmienić.

W 2013 roku, kiedy – nie mając wyboru – zdecydowałem się odejść z Partynic, zadzwonił do mnie Jarek z propozycją spotkania się na sierpniowej aukcji koni arabskich w Janowie Podlaskim. Ucieszyłem się bardzo, gdyż w Janowie dawno nie byliśmy. Ostatnio, chyba w 1997 roku, kiedy Marek Trela był tam jeszcze lekarzem weterynarii i hodowcą, a dyrektor Andrzej Krzyształowicz był już na emeryturze.



Z Kochami przed Stajnią Zegarową w Janowie Podlaskim

Zaczęliśmy od spaceru po stajniach, a wieczorem spotkaliśmy się w nowym domu siostry Jagi – Barbary. Było nam bardzo miło, gdy obecny tam Marek Trela, przypomniał sobie, jak przed laty pokazywał Beti i mnie klacze z małymi na nadbużańskich łąkach.

Nazajutrz wybraliśmy się w czwórkę nad Bug, mijając po drodze padoki pełne koni. Na nasz widok przybiegały do ogrodzenia, oczekując zapewne poczęstunku. Zwracały uwagę ich temperament i dobra kondycja. Bug zrobił na nas ogromne wrażenie. Dziki i w dużej części całkowicie niedostępny. Zupełnie inny od uregulowanej Odry, czy pełnej piaszczystych łąk Wisły.

Na aukcji Pride of Poland spędziliśmy cały dzień. Rozmach całego wydarzenia, liczni goście z całego świata i tłumy zwykłych widzów na trybunach tworzyły niezwykłą oprawę dla popisów prezentowanych na placu





Aukcja – pokazy. Janów Podlaski 2013 r.



Jaga i Jarek Koch z autorem w skansenie Zaborek

koni. Gdybym mógł, kupiłbym je wszystkie. Na koniec pojechaliśmy do skansenu Zaborek. To takie miejsce, gdzie – jak informuje strona internetowa – arabscy szejkwowie wcinają cepeliny, a amerykańskie gwiazdy rocka dopytują o placuszki z serem i sadzą dęby. Tutaj, jak mało gdzie, sprawdza



się twierdzenie, że polską szlachtę zaściankową łączyły z wielkim światem wyjątkowy smak podlaskich potraw i miłość do koni. Wyjeżdżając z Janowa, zajrzeliśmy do tamtejszego kościoła. Trwała msza. Odprawiający ją proboszcz przez kilkanaście minut wyczytywał nazwiska parafian i kwoty, jakie ofiarowali na kościół. Byliśmy tym zniesmaczeni. Cóż – co kraj, to obyczaj. Nieopodal kościoła natknęliśmy się na stację benzynową, chyba jedną z najstarszych w Europie, wyposażoną w dwa czerwone, archaiczne dystrybutory, działające na zasadzie ręcznej pompy. Istne чудо.



Zabytkowa stacja benzynowa w centrum Janowa Podlaskiego

Jagę i Jarka odwiedziliśmy kilka lat później w Widzowie. Choć w stajniach gospodaruje nowy właściciel, udało się nam przejść po stajniach i oborze, a także odbyć długi spacer wzdłuż padoków. Gościliśmy też Jarków we Wrocławiu. Staram się każdorazowo pokazać im coś nowego w naszym mieście.

i na Dolnym Śląsku. W tym roku z uwagi na pandemię koronawirusa nie udało się nam spotkać, ale głowy mamy już pełne pomysłów na nieodległy, mam nadzieję, wspólnie spędzony czas.

Chyba dwukrotnie na zabawach sylwestrowych w Morawie gościliśmy Wojtka Ginkę z żoną Lusią. Wcześniej wiele o nim słyszałem, ale dopiero w Morawie poznaliśmy się osobiście. Wojtek związany przez dekady z ośrodkiem jeździeckim w Zbrostawicach zastąpił m.in. z podjęcia się produkcji sportowych bryczek maratonowych czy słynnych na początku lat 80. XX w. naczep do przewozu koni. Pamiętam czasy, gdy konie sportowe na zawody przewożone były wagonami. Bywało, że jak wyjechały z macierzystej stajni wiosną, to wracały dopiero jesienią.

Koniowozy Wojtka to była w owych czasach prawdziwa rewolucja. Budziły podziw i jednocześnie zazdrość tych, którzy jeszcze ich nie mieli. O Lusi i Wojtku można by opowiadać bez końca, lepiej jednak przeczytać książkę Wojtka pt. *Jeździecka dolina Zbrostawice*. Jest to pasjonująca opowieść o ludziach i koniach.

Od lat Wojtek zajmuje się poprawianiem relacji między ludźmi i końmi w programie „Natural dla klasyki, klasyka dla naturalu”. Szczególnie pasjonuje go praca z tzw. trudnymi końmi. Żona Wojtka, Lusia, która niedawno przegrała walkę z nieubłaganą chorobą, przez lata jako szef Wydziału Kultury Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego fantastycznie propagowała ten region kraju. Mieliśmy szczęście, że zdążyła pokazać nam wiele niezwykłych miejsc i opowiedzieć o nich równie niezwykle historie.

Bodaj latem 2015 roku razem z Bożenką i Włodkiem Kopysiami przejeżdżaliśmy przez Górny Śląsk, w drodze na krótkie, tygodniowe wakacje w Bieszczadach. Wcześniej zadzwonił do nas Wojtek, abyśmy zatrzymali się na jednej ze stacji benzynowych, gdyż chciałby się z nami spotkać. Gdy dojechaliliśmy na umówione miejsce, okazało się, że czeka na nas Wojtek w nieodłącznym kapeluszu, a wraz z nim... kilkusobowa orkiestra górnicza w galowych mundurach. Na znak dany przez kapelmistrza odegrała „Sto lat” dla Włodka, który tego dnia akurat miał imieniny. Następnie wysłuchaliśmy krótkiego koncertu jazzowych standardów. Taki właśnie jest Wojtek.

Opowiadając o ludziach z towarzystwa, nie mogę zapomnieć o Ani i Arturze Boberach. Oni także ostatnio bawią się z nami na Sylwestrach w Morawie. Ania to moja koleżanka z V Liceum Ogólnokształcącego we Wrocławiu. Zrównoważona i spokojna stanowi zupełne przeciwieństwo Artura. On wiecznie w biegu, pełen niezwykłych pomysłów. Związany przed laty ze Strzegomiem. Tu rozpoczął swą karierę jeździecką, by stać się wybitnym specjalistą w WKKW. Obecnie mieszka z Anią w Ochabach, gdzie prowadzi agencję jeździecką, a przede wszystkim sklep, w którym można znaleźć wszystko dla konia i jeźdźca.



Zajrzeliśmy do nich ostatnio naszą wakacyjną grupą. Wspólnie spędziliśmy niemal całą dzień w polsko-czeskim Cieszynie, a w drodze powrotnej wstąpiliśmy do Skoczowa, gdzie zaopatrzyliśmy się w efektowne kapelusze. Słomkowy, typu bahama, noszę do dziś.



Orkiestra górnicza grająca Włodkowi Kopysiowi „Sto lat”

Wczoraj, w upalne wrześniowe popołudnie, wybrałem się na hipodrom do Morawy, gdzie odbywały się Mistrzostwa Polski Młodych Koni. I znów była okazja do spotkania starych znajomych. Ucieszyłem się na widok, dawno niewidzianej, Kasi Milczarek – multimedalistki mistrzostw Polski w ujeżdżeniu. Powspominaliśmy jej starty we Wrocławiu z czasów, gdy mistrzostwa naszego kraju w dresażu odbywały się tutaj co roku.

Miło powitał mnie Czesiu Konieczny, zapraszając na kawę do Księża, gdzie nadal mieszka na terenie stada.

Zagaądał do mnie, nadchodząc z przeciwka, Rudek Mrugała, zwracając się do mnie nieodmiennym: „Cześć mecenasie!”. Pogadaliśmy chwilę o świetnym Gaudeamusie, który z Wrocławia trafił ongiś w jego ręce.

Spotkałem też Marka Wachela, inspektora hodowli koni, z którym widziałem się ostatnio bardzo dawno temu, chyba na jednym z przeglądów koni wyścigowych na Partynicach.

Wróciłem do domu późnym wieczorem, zadowolony. Znów byłem wśród swoich.



POSŁOWIE

Pomysł napisania *Osiodłanych wspomnień* rodził się w mojej głowie przez lata. Gdy aktywnie jeździłem konno, sędziowałem zawody jeździeckie i byłem komisarzem na wyścigach konnych, ciągle jednak brakowało czasu. Teraz, gdy przeszedłem w stan spoczynku, czyli prawniczą emeryturę, tego czasu także nie mam za wiele, jednak znalazłem go na tyle dużo, by udało się zasiąść do pisania.

Osiodłane wspomnienia to opowieść nie tylko o koniach, których dosiadałem, lub które spotkałem w sporcie czy na wyścigach. To także wspomnienia o ludziach, których poznałem w świecie koni, i z którymi dzięki nim nawiązałem znajomości oraz przyjaźnie.

Wielu bohaterów tej książki nie ma już dziś z nami, ale pozostały stare fotografie, a nade wszystko wspomnienia, które pozwalają zachować w pamięci piękne chwile, jakie przeżyłem wspólnie z nimi.

Właśnie po to, by czas nie zatarł ich bezpowrotnie, powstała ta książka.

Dziękuję wszystkim, którzy pomogli mi w jej stworzeniu. Bez ich życzliwych rad, przypomnienia faktów i zdarzeń, a także udostępnienia licznych fotografii z domowych zbiorów, książka ta, w takim kształcie, nigdy by nie powstała. Nie sposób wymienić każdego z nich, dlatego też, by nie pominąć nikogo, powiem tylko: Serdeczne dzięki wszystkim Wam.

Wrocław, wrzesień 2020 r.





Projekt okładki i opracowanie graficzne: Tomasz Stępień

Na okładce: obraz Marka Capały *Radość życia*

Ilustracje: Paweł Mazurek, Matylda Korczak

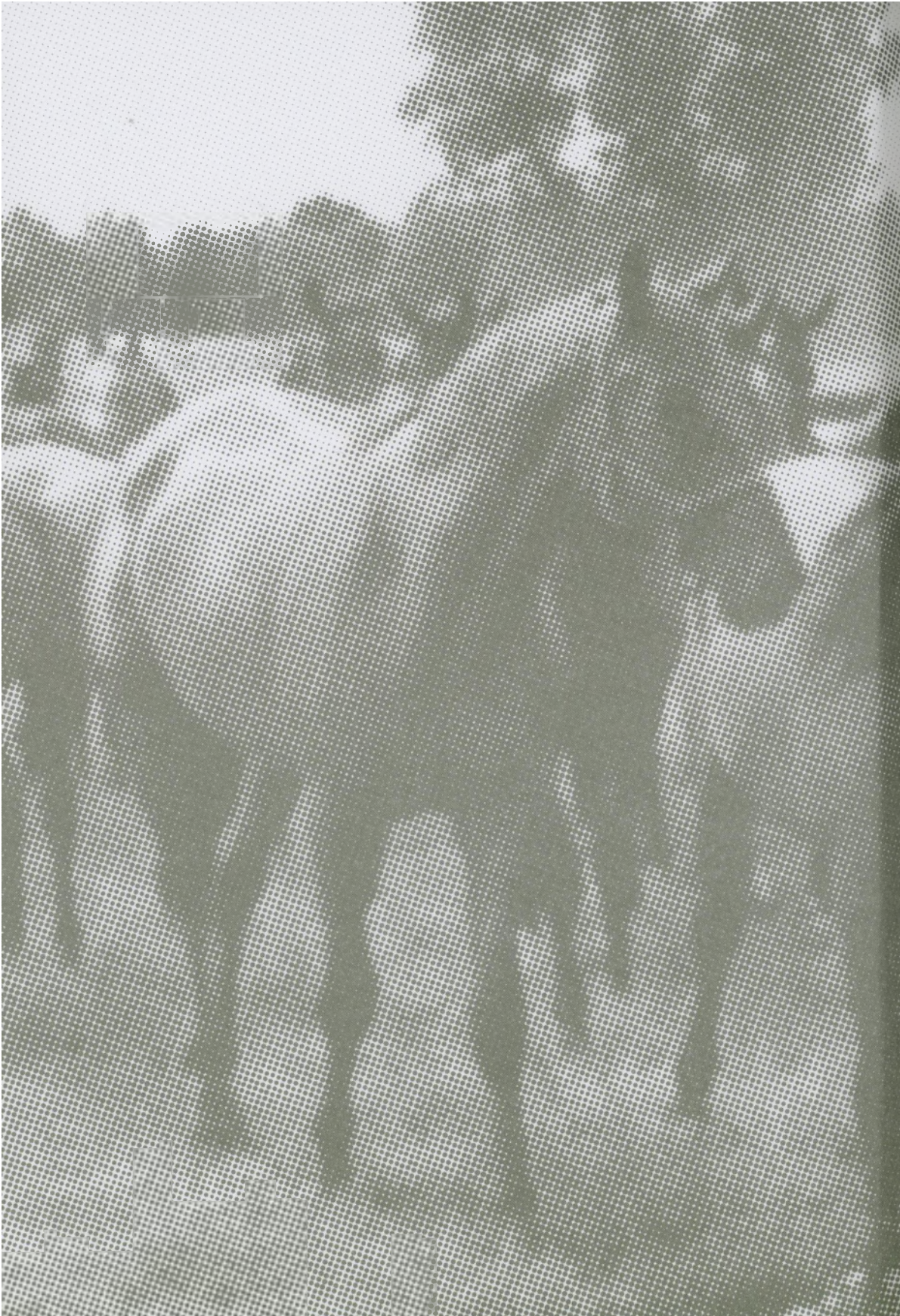
Fotografie: zbiory prywatne autora i jego przyjaciół

Skład: Tomasz Stępień

Korekta: Klaudia Pujer

Druk: Drukarnia Andrzej Maślanka

Wrocław 2021







Największe szczęście na świecie
na końskim leży grzbiecie